

Zbigniew Kruszyński

NA LĄDACH I MORZACH

Copyright © Zbigniew Kruszyński 1998

Spis treści
Na ładach i morzach
Errata
Ruptura cordis
Jan i Anna
Lekcje
Sektor
Emporium
Żebracy
Suweniry
In Dichters Lande

Na ładach i morzach

Przeciwnie do kierunku jazdy. Dalej niż czterdzieści centymetrów od krawężnika. Bliżej niż dziesięć metrów od przejścia dla pieszych. W zatoce dla autobusów. W obrębie przystanku. Na miejscu przekreślonym, zwanym też kopertą. Wzdłuż innego pojazdu, który nie jest rowerem ani też motocyklem, ale bez przyczepy. W obrębie znaku zakazu. W strefie. Z jednym kołem wychodzącym poza zaznaczony prostokąt. Przy wyjeździe z posesji, na zakręcie, blokując wytyczony żółtą linią dojazd. Parkowali, jak chcieli, z pogwałceniem przepisów, łamiąc niekiedy kilka zakazów naraz.

Wychodziłem przed ósmą, ubrany do pogody. Niestety, bywało, zmieniała się nagle, bez uprzedzenia, jak wysoko w górach. Rano świeciło słońce, tak że zostawiałem zawieszoną na krześle przy biurku marynarkę, a już koło południa zbierały się chmury, najpierw niewinne, białe, a potem ciemniejące, jakby ktoś ryż przyprószył cynamonem. Wtedy wiedziałem już, bez zadzierania

głowy, że spadnie deszcz, przelotny, ale dokuczliwy, kwaśny i brudny, wszędzie na asfalcie zostawiający tęczujące plamy. Trzeba było uważać, by nie zostać oblanym przez kierowców pędzących na złamanie karku, co nieraz mi się przytrafiało, mimo że z zasady bardziej interesuje mnie pojazd już zaparkowany. Przeczekiwałem deszcz na zadaszonych przystankach, wysepkach tramwajowych, w morzu błota, tramwaj przesuwiał swój ociekający kadłub. Potem znów wychodziło słońce i znaki zakazu, przemyte, zyskiwały nowy blask.

Mój rewir obejmuje Rynek (łatwiejszy, pozbawiony ruchu kołowego teren), biegnące od niego uliczki o nazwach związanych z innymi zawodami, potem odchodząc Szewską w stronę mostów, Planty z idącymi wzdłuż alei parkingami, nabrzeże i niewielki skwer, gdzie zakaz nie dotyczy pierwszych piętnastu minut (łamany nagminnie przez interesantów podjeżdżających na tyły poczty, łudzących się, że załatwią sprawę przez kwadrans).

Tam najczęściej przysiadam na ławce, wpisuję rejestracje do rubryk pod właściwą godziną. Czekam, obserwuję, notuję nieprawidłowości, których nie brak, tak że jeszcze się nie zdarzyło, by notes wystarczył mi na dłużej niż tydzień. Przechodnie, niczego nie podejrzewający, przechodzą mimo. Przede mną rozciąga się uporządkowane miasto, z wieżami kościołów do modlitw, z

kominem ciepłowni odprowadzającej energię rurami, które w zimie zaznaczają trawnik nie zamarzającym pasem, z dźwigiem, który zastygł na chwilę, zanim spuści ładunek. Nadlatują

gołębie w mylnym przekonaniu, że jestem ich karmicielem. Zaczepia mnie, sądząc, że znalazł rozmówcę, emeryt. Nie odpowiadam, prowadzę obserwację.

Ruch nasila się krótko przed dwunastą. Zajęta bywa już większość miejsc, gdzie parking

dozwolony jest przez kwadrans. Odliczam czas, minuta po minucie, od nowa dla każdego podjeżdżającego auta, jakby wskazówki ścigały się w sztafecie. Zdarza się, że ktoś zdąży w przepisowym kwadransie i mógłbym go wykreślić, zostawić samemu sobie, ale wiem z doświadczenia, że wcześniej czy później wróci, i takich ujmuję tylko – warunkowo – w nawias. Niekiedy ktoś przybiega w piętnastej minucie i nie wiadomo, jak to zakwalifikować, bo balansuje na granicy przepisów i wykroczeń. Takie przypadki traktuję na ogół liberalnie. Bywa jednak, że ktoś stara się mnie oszukać: parkuje, wraca niby w wyznaczonym czasie, wsiada, ale wcale nie myśli się oddalać, zostaje w samochodzie, potem znów wysiada, sądząc, że czas mu będzie się liczył od nowa. Nic z tego, złotko, czas się kumuluje.

Są tacy, którzy parking myślą z poczekalnią i nie opuszczają pojazdów w ogóle. Wyciągają gazetę, niedbale ją wertują, wielokrotnie wracając na tę samą stronę. Siedzą, czekają umówieni, sądząc, że są przed czasem, ale nie, ten płynie nieubłaganie. Ziewają, nudzą się, nic się nie dzieje. Ktoś nie przychodzi, minuty mijają, kwadrans – i czas zaczyna pracować na niekorzyść. Sam nie mam prawa jazdy ani samochodu, ale nie zdziwiłbym się, gdyby wyszło na jaw, że ci sami kierowcy, którzy tu zwlekają z odjazdem w oznaczonym terminie, gdzie indziej przekraczają prędkość, w ruchu, w terenie zabudowanym.

Nie pora na podsumowania, ale z obserwacji prowadzonych jedynie na przestrzeni tygodnia, od jedenastej trzydzieści do piętnastej, wynika, że w obrębie szesnastu miejsc postojowych, przewidzianych na maksymalnie kwadrans, łączny czas parkowania poza dopuszczalnym limitem wyniósł ponad sto osiemdziesiąt godzin, a więc prawie tydzień. Tydzień, licząc tylko do piętnastej.

Powinno to dać wyobrażenie o rozmiarach zjawiska. Można uznać, że średnio na przepisowy kwadrans przypada drugi kwadrans – nielegalny.

Jak wygląda to w praktyce? Jeżeli ktoś, dajmy na to, podjeżdża o dwunastej, w samo, dla uproszczenia, południe, gdy słońce zatrzymuje się między wieżą kościoła Najświętszej Marii Panny i ratuszem – jeśli akurat jest wrzesień, pogodny, tak że chmury zdążyły się rozproszyć – znajduje wolne miejsce, co, jak nadmieniałem, nie jest łatwe, szczególnie w dzień powszedni, zatrzaskuje drzwi, włącza alarm, a przedtem jeszcze zakłada na kierownicę drążek, który ją unieruchamia, oparty dłuższym końcem o szybę, wysiada, szybkim krokiem oddala się, znikając wkrótce za

rogiem – ma kilka spraw do załatwienia, nie cierpiących zwłoki, odebrać przesyłkę na pocztę, za potwierdzeniem odbioru, bo nadawca chce mieć sygnowany dowód, że dotarła do rąk adresata, kupić wino na proszoną kolację, tyle razy już przekładaną, że zapas skończył się przed tygodniem, zapytać w aptece o specyfik z przepisu lekarza, bo dolegliwość może się nasilić.

Kwadrans –

legalny kwadrans – upływa mu jeszcze na pocztę, w momencie złożenia podpisu przy okienku – kolejka zabiera kilka, dobrych tymczasem, minut. – Poproszę dowód. – Kwituję – kwituję z

zawijasem.

Jest dwunasta piętnaście i szereg czynności dowodzi, iż podejrzany ma pełną świadomość.

Wyjmuje list z koperty i czyta wezwanie do złożenia wyjaśnień w sprawach podatkowych, kiwając głową – tak – ze zrozumieniem. Zmierza ku wyjściu, nad którym stary stoper wskazuje osiem już po czasie minut. W drzwiach poczty spotyka świadka, dawno nie widzianego,

przebywającego

przypadkowo w rejonie. Co u niego? Jak żona? Mógłby kiedyś zadzwonić. Mogliby gdzieś wyskoczyć, pogadać, pozeznawać. Tymczasem musi lecieć, w sprawach do załatwienia, wzywany

dalej, w charakterze na razie podejrzanego.

W aptece, zajmującej ostry narożnik skweru, mija kolejkę i rzuca pytanie kobiecie w białym kitlu, z tytułem magistra. – Tak, jest, w kropelkach – i tutaj, niestety, musi wrócić do końca kolejki i odstać w niej swoje, współwinnę. W ten sposób traci dziesięć następnych minut, w stanie

samowolnego oddalenia od parkingu.

– Wino! – przypomina sobie już w drodze, jak się wydawało, powrotnej. Zawraca i znika w monopolowym, otwartym całodobowo wraz z mieszczącym się w przedsionku kantorem wymiany

walut. – Dwie butelki – zapłaci w lokalnej walucie i zgarnie jednym ruchem resztę do kieszeni. Wychodzi, niemal biegiem wraca na parking. Już z daleka wypatruje, czy jest mandat wetknięty za wycieraczkę na szybie. – Nie ma! – tym razem mu się udało. Zapala, odjeżdża. Nie wie, że wykroczenie zostało spisane i trzeba będzie wielu lat, nim zatrze je przedawnienie.

Długa jest lista czynów, jakich się dopuszczają, nie mająca, jak opaska, końca. Nabywają towary o różnym pochodzeniu, niewykluczone, że w celu dalszych czynności (prowadzonych poza

podległym mi terenem). Spożywcze, zawierające tłuszcze i cholesterol. Alkoholowe, zaliczone na poczet okoliczności. W aptece – preparaty o ścisłym dawkowaniu. W warzywnym – zależnie od

sezonu, świeże, chociaż niekiedy już przywiędłe, w główkach albo przeciwnie, zakwaszone, szatkowane. W biurze podróży rezerwują miejsce, zabezpieczając sobie w razie czego odwrót. Spotykają się i w porozumieniu wymieniają uwagi o pogodzie, chociaż mieliby prawo milczeć, odmawiać odpowiedzi, bo może im zaszkodzić, niechcący zgodna z prawdą, wraz z zanieczyszczeniem tlenkami. – Pada – i deszcz zaciera ślady. – Idzie na niż – i czują to w kościach.

– Wiosna – forsycje zabarwiają się na żółto, odwrotnie niż liście, które zielenieją.

Działają raz z premedytacją, z kartki, sporządzonej uprzednio, odczytują listę spraw do załatwienia według szczegółowego planu; innym razem w afekcie, żywo gestykulując. – Nic podobnego! – krzyczą, podając w wątpliwość obiektywne, zdawałoby się, ustalenia.

Niekiedy siadają na ławce nieopodal, biorąc pod uwagę czynnik zmęczenia. Odpoczywają, gołębnie zlatują się, łakome kaska. Dachy błyskają dachówką, kopuły nie chudną, rynny śniedzieją

6

na powierzchni, inaczej niż cegły – stygnące w masie. Ulicą idą dowolnie przybrane postacie. Pojazdy przejeżdżają, nie łącząc się w konwój. Zamazany na murze napis odznacza się śliwkową plamą bez składni.

Podnosząc głowę w lewo, po schodkach ku skarpie, obserwujemy szersze tło wydarzeń.

Rzekę, płynącą w kierunku wskazywanym przez strzałkę, podlegającą regulacjom, spławną aż do niewidocznego wśród wikliny jazu, przed którym biały wycieczkowy statek zatacza koło pełne wiru

– ci, którzy siedzieli przodem, odwracają się tyłem i przewodnik, ochrypli od chronologii, może chwilę odsapnąć, bo panoramę miasta z zamkiem i kościołami, zawsze żądnymi wyznań, zastępuje

obraz współczesnych nam bloków, zrozumiałych, nie wymagających wyjaśnień.

Wracamy do punktu wyjścia, na skwerek, czyli parking. Zmęczenie ustępuje, dachy lśnią, restaurację zamknięto na czas sjesty, nawet gołębie, zawsze głodne, napęlnia chwilowa sytość. Wydawać by się mogło, że stan faktyczny zastygł i nastąpiła przerwa w działalności, zaświadczone w dodatku przez słońce, które wskutek błędu optycznego zatrzymało się u Wizytek. Niestety, w

światle przytoczonych wcześniej okoliczności nie może być tu mowy o przerwie. Przeciwnie, obowiązuje nas domniemanie ciągłości, a późniejsza konfrontacja ustaleń płynących z różnych źródeł, niezależnych od siebie, każe podejrzewać, że więcej, nastąpiło połączenie w konglomerat, do którego stosują się przepisy o karze łącznej. Otóż wychodzi na jaw, że w czasie niepowrotu ktoś jednocześnie zalega z podatkami, ktoś zalicza go w poczet przepracowanych godzin, które ktoś z kolei inny fakturuje na czarno. Formalnie chorzy, legitymujący się wystawionym na oryginalnym druku zwolnieniem, poruszają się w najlepsze po mieście, podczas gdy w aptece stoi w kolejce

pacjent jeszcze bez rozpoznania, pomimo już widocznych symptomów, i kupuje masę tabletek, w tym witaminy. Jak już wspomniałem, czas się kumuluje.

Dlaczego – widząc to wszystko – nie interweniuję? Mógłbym na to pytanie dać różne odpowiedzi. Każdemu przypisane są inne zadania. Istnieją grupy szturmowe i analityczne. Wywiadowca zasięga języka. Fotograf frontowy – kadruje. Śmiem twierdzić, że bez gruntownych

badań, statystycznie uprawdopodobnionych, percepcja nie jest wiele warta, ot, jednorazowa, miękka, poetycka tam, gdzie trzeba twardych przesłanek. Fakty nie łączą się w system.

Porzucone w pół zgłosek, rymy próżno czekają na akcent. Gołębie, dachy, cegły, wiry na rzece, rynny, zachód słońca, schodzącego teraz ku jezuitom, istnieją każde osobno, samopas, nawet witaminy, złączone w jednej kapsułce z mikroelementami, nie pomogą, działając wybiórczo tam, gdzie trzeba mieć na względzie całość. Całość, czyli organizm.

Dlaczego nie interweniuję, widząc ów ogrom? Raz spróbowałem. Był to jeden z tych dni, kiedy nie wiedzieć czemu, wstępuje w nas nadzieja, naiwna, jak się okaże jeszcze przed

popołudniem. Pogoda utrzymuje się, śródziemnomorska. W radio grają nasz ulubiony przebój, z gazety dowiadujemy się, że wreszcie się udał zamach na tyrana na Bliskim Wschodzie, mleko nie kipi, przy goleniu wcale się nie zacinamy. Wychodzimy do pracy odwalić kawał roboty.

Przyszedłem wcześniej niż zwykle, wiedziony przeczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

Kobieta, w wieku lat około trzydziestu pięciu, podjechała fiatem. Nic, zdawałoby się, nadzwyczajnego, odnotowałem w rubryce: przyjazd, obok dziesiątków innych, typów i marek.

Jak

zwykle, poczta, pilna, potem apteka, w spożywczym kupiła najwyraźniej coś bez kolejki, być może na osobnym stoisku, zaraz przy wejściu. Zdążyła! już otwierałem nawias, a nawet w przypływie

dobrej woli chciałem ją zupełnie wykreślić. (Do dziś wstydzę się tej afektowanej wielkoduszności.) Na szczęście coś mnie tknęło w ostatniej chwili, kiedy już wyjmowała kluczyki. Owszem,

otworzyła drzwi od strony kierowcy, ale – zrozumiałem to w tym momencie – po to, aby odblokować klapę bagażnika, złożyć w nim zakupy, zatrzasnąć – drzwi i klapę, w tej kolejności – a potem odejść jak gdyby nigdy nic w kierunku przeciwnym niż ten, z którego przyszła.

Przyznaję, że dałem się unieść impulsowi. Zerwałem się na równe nogi, długopis upadł pod ławkę. Nawet się nie schyliłem, notes wepchnąłem do kieszeni płaszcza, kątem oka zobaczyłem,

że skręca w Joannitów. Prędko! – nie miałem ani chwili do stracenia – ruszamy za nią. Wcale się nie spieszyła, przystawała przed wystawami, w lustrze, którym wyłożona jest gablota kapelusznika, poprawiała makijaż i włosy, skręciła w Sienną, nie spojrzawszy nawet za siebie, najwyraźniej niczego się nie spodziewała. Wstąpiła do sklepu z butami i przymierzyła czółenka, zostawiając nowe, drobniejsze ślady. – Jak – wysunęła nogę w stronę sprzedawczyni – pasują? – Stałem w bramie po przeciwnej stronie, czekając na moment dogodniejszy do interwencji. Kupiła, pasowały.

Posuwała się w górę wąską, jednokierunkową ulicą, coraz bardziej się oddalając.

Spojrzałem na zegarek, mijalo pół godziny i dochodziliśmy do granicy rejonu. Powiniennem coś zrobić – przemknęło mi przez głowę – zanim ją przekroczymy. W tym momencie z przecznicy wyszedł, niemal na nas wpadając, mężczyzna w płaszczu, z teczką, nie pozbawiony, jak się miało okazać, wpływu na akcję. Zatrzymali się i padli sobie w objęcia. Musiałem przejść jeszcze kilkanaście metrów i stanąć przed sklepem z ziołami, udając, że studiuje *Ocimum basilicum* o wysuszonych, odbarwionych liściach. Nadaje się świetnie do mięsa.

Spotkanie, rzekłbyś, nie było zaplanowane, dochodziły mnie głosy, wyrazy spontanicznej radości – cieszę się, niech cię, uściskam, jak pragnę – a także, odnoszące się do przedakcji – tyle lat, Roman i pamiętasz (lub: pomięta – nie słyszałem dokładnie, bo rozmowę zagłuszył samochód dostawczy, w ruchu).

– Musimy to – zaproponował mężczyzna – opić. – Rzadko w ogóle używam alkoholu, a nigdy w czasie pełnienia obowiązków. Musiałem zdecydowanie odrzucić propozycję. Przeciąłem

im drogę, gdy byli już na schodkach do baru mieszczącego się w zaadaptowanym nieczynnym magazynie.

Ująłem ją za rękę, grzecznie, ale zdecydowanie. – Pani – powiedziałem – pozwoli.

Szarpnęła tak nieszczęśliwie, że potknąwszy się na stopniu, upadła, uderzając głową w metalową poręcz przymocowaną do starej, tu i ówdzie kruszącej się już balustrady z ozdobną kolumnadą wzdłuż schodów.

Z jego teczki, po tym jak cisnął nią w moją stronę, wypadły jakieś papiery, terminarz oprawny w skórę, nie rozpieczętowana paczka papierosów, notes z grzbietem w formie spirali, w którą zaplątał się grzebień.

W tłumie, jaki zebrał się samoczynnie wokół, przeważały nieprzyjemne nastroje, w pewnej mierze usprawiedliwione brakiem rzeczowej informacji. Nie było jednak warunków do jej przekazania. Ktoś wepchnął mnie w środek ciekawskiego tłumu. Wyrwałem się, aż trzasnął szew i patka załopotowała (jakbym miał podfrunąć). – Proszę – chciałem przywrócić spokój – się rozejść.

–

Ty ...synu – spotwarzyli mnie po kądzieli. – Ty... – przeklinali, nadal zgromadzeni.

Wyjąłem notes, aby im objaśnić, czarno na białym, przebieg zaistniałych wydarzeń. Ktoś wydarł mi go z ręki i w ten sposób dowody uległy częściowemu zniszczeniu. W trosce o integralność byłem zmuszony do odwrotu. Z godnością, szybkim, zdecydowanym krokiem oddalałem się, wśród wulgaryzmów. Ktoś rzucił jeszcze za mną, niecelnie, kamieniem.

Przyznaję, byłem wzburzony, nastrój poranka prysł dawno i miasto wydało mi się znowu wrogie, w znowie. Usunięty przed paru godzinami, wracał na swoje zwykłe miejsce zarost.

Powiniennem był wziąć wolne, odetchnąć od zamętu wywołanego ruchem, nie chciałem jednak zostawić parkingu bez dozoru, i tak już osłabionego. Postanowiłem wrócić jeszcze na skwerek.

Do dziś pozostaje nie wyjaśnione, nie dając mi spokoju. Są zasadniczo dwie możliwości: albo zakradł się złodziej, korzystając z naszej nieobecności, albo – i ta myśl mnie elektryzuje – działali z kimś trzecim, wspólnie i w porozumieniu. Tak czy owak, auto zniknęło i na jego

miejscu stało już inne – zanotowałem numer. Czy uległem zorganizowanej prowokacji? Nie sądzę.

Wszystko, jak się przyjrzeć, jest prowokacją. Auta wystawione na łup złodziei, zapłon, który pali się, by dać iskrę mieszance. Telefon z otworem wyprofilowanym na żeton, a gdyby ich zabrakło, obok drugi, na kartę, dla bardziej wylewnych. Sklepy sprzedające po obniżonej cenie. Klasztor obiecujący Bóg wie co, a na wieży słońce, które każe się rozglądać za cieniem. Deszcz i podlegające mu zadaszenie. Most i tory prowadzące ku rozwidleniu – wybieraj. Nawet archiwa, muzea, zdawałoby się, że w stanie hibernacji, mogą wywołać rozruchy. Wieczór, który jednym zsyła uspokojenie, podnieca drugich. Wylegają na trotuary i idą, zaczepiając się wzrokiem. Restauracje serwują potrawy, jeszcze gorące. Butelki wiszą nad kontuarem już odwrócone dnem do 9

góry. Nocne kluby wabią neonem i diodą wskazującą kierunek. Kina jak soczewki ogniskują spojrzenia. Kioski eksponują bogactwo, energię, baterie tylko czekają, aż sprzęgnie się plus i minus.

Kobiety obnoszą swą płeć ledwie zakrytą, gotową do zapłodnienia.

Oto dlaczego czekam, nie interweniuję. Czekam – jeszcze nie teraz. Jediną religią godną współczesnej teologii jest deizm.

Po południu podejmuję obchód, wiatr, jeżeli wieje, to na ogół od rzeki, przynosząc wyziewy. Idę niczym przechodzień, czasem przystaję, notuję. Nie wtajemniczeni biorą mnie niekiedy za artystę, który spisuje swoje spostrzeżenia. Nie wyprowadzam ich z błędu, w jakimś zresztą sensie – czyż nie należałoby przyznać im racji? I mnie patronuje idea porządku, wizja, która, wierzę, doczeka się swego czasu, wypełni się i wypleni chwasty. Być może nieprędko, ale nie brakuje mi cierpliwości.

Przeciwnie do kierunku jazdy, w strefie ograniczonego postoju, przed przejściem dla pieszych, blokując wjazd na parking, w zatoce, na przystanku, wzdłuż żółtej zygzakowatej linii. Mżawka jest niekiedy gorsza niż deszcz i wciska się pod parasol. Za blisko skrzyżowania, na moście, na miejscu dla niepełnosprawnych, w strefie zastrzeżonej dla pojazdów dostawczych. Dochodzimy do rzeki z zakazem kąpeli, za mostem jest mały park dla pijaków. Zapowiada się długa, wilgotna jesień. Zamyka się dla żeglugi akwen.

Errata

Poprawialiśmy także niedomagania stylu, długie okresy, w których zanika podmiot, spiętrzenia imiesłowów, jakby autor wszystko chciał wygarnąć od razu w rozwichrzonym zdaniu, ciężkie odczasownikowe formy rzeczownika i odimienne czasowniki, związki rządu rozchwiane, powtórzenia, pełno zbytecznych wtrąceń, zaciemniających myśl i tak najczęściej niejasną, nie mówiąc już o interpunkcji, nie lepszej niż w telegramie. Dochodziło do tego, że w naszych ingerencjach zamiast, jak przewidywał regulamin, eliminować treści, musieliśmy ich najpierw długo szukać, ze świecą, a często, nie znalazłszy (tu przykład, jak prawidłowo spożytkować imiesłów uprzedni), rekonstruować, dodawać.

I wszystko ręcznie, wówczas nie było edytorów tekstu. To my byliśmy edytorem. Śmieszają mnie ci, którzy uczenie analizują nowomowę ze starych gazet, wytykając jej pustosłowie, pleonazmy i arbitralność. Szkoda, że nie czytali tych artykułów takich, jakie docierały do nas. Nie czytali, bo nie dawały się czytać, i wątpię, czy dałby im radę nawet w instytucie lingwistyki wszystkożerny doktorant. Oskarżają nas o masakrę, o amputację wolnego słowa, tłumienie swobody wypowiedzi. Nas, którzy godzinami siedzieliśmy nad tekstem, nadając mu formę,

podsuwając protezy, tak aby poszedł, bo kulał od początku, zmasakrowany jeszcze przy porodzie.

Nie gustuję w prymitywnych alegoriach, ale jeśli stosować tu terminologię medyczną, to słuszniej byłoby mówić o kardiochirurgii, bo nieraz dokonywaliśmy operacji na otwartym sercu, ratując krwiobieg.

Nie oczekuję nagrody i nie zamierzam polemizować. Historia, jeśli by była sprawiedliwa, nie byłaby historią. Dziś zresztą pisze się samopas i aby nadać jej jaki taki porządek, trzeba by zwoływać Jaltę co tydzień. Historycy mówią, co ślina... – ale kiedyś zabraknie im enzymów i znowu trzeba będzie dozować. A my wciąż dysponujemy miarą, przechowywaną pieczołowicie, jak

wzorzec kilograma, litra i metra, aurea mediocritas.

Nie oczekuję nagrody, choć wiem, jak wielu jest mi wdzięcznych, przynajmniej od czasu, kiedy przeszedłem do sekcji twórczości oryginalnej. Tę pracę da się porównać tylko do jednego – veni, creator! Otrzymywałem bruliony, niekiedy konfiskowane, bo lęk prawdziwych twórców przed publikacją bywa przemożny i inaczej nie miałyby szansy w ogóle wyjść na światło.

Pokreślone,

nieczytelne, pełne wahań i w każdym akapicie upstrzone wersjami wzajem się sobie przyglądającymi, jakby pisać na lustrze palimpsest. Dostawałem stertę apokryfów, a miałem ustalić tekst kanoniczny.

Pierwszą zasadą jest odpowiedzialna selekcja materiału. Wszyscy wiemy, że najtrudniej przychodzi skreślać. Tylko czego nam szkoda? Metafor, ciemnych, nie rozświetlanych nawet przez księżyc, bo idzie noc, a zachmurzenie wcale nie zmniejszy się po zachodzie, przejmującym nas

drzeniem i gorączką poszukiwania określeń, na ogół nawiązujących do perforowania, takich jak sztylet lub, zamiennie, harpun zachwyty, metafor nie dających czytelnikowi ani chwili wytchnienia, o członach tak od siebie odległych, że zanika więź semantyczna i można by właściwie powiedzieć cokolwiek, a dowolność jest zabójcza dla formy, stylu, powoduje nieznośny manieryzm,

nieczytelność, niespójność tekstu, który tęskni do jednoznaczności, do prostych nazw, dających się nałożyć na desygnat niczym etykieta na butelkę o zawartości nieznannej, przezroczystej, pozostającej zagadką tak długo, jak długo nie opiszemy jej wyraźnie – czysta, kryształ, żytnia – bez popadania w ciemne translatio?

Czego nam żal? Porównań – jakby zawsze mówić w przybliżeniu, nie o tym, o czym chcemy – ciągnących się przez całe strony jak ptactwo w drodze na południe? Tyle że ono nie jest pozbawione kompasu i wie, dokąd zmierza, zdyscyplinowane, pod przewodnictwem, o wyraźnej

strukturze delty, trójkąta wbijającego się w powietrze z furkotem. Komu szkoda drobiazgowych opisów tam, gdzie wiadomo, jak rzecz wygląda, i wystarczyłoby ją nazwać, a kształt sam się ujawni, owalny, obły, wrzecionowaty, graniasty albo pozbawiony zabójczej regularności? Mamy oszczędzać opisy, retardacje, kiedy czas nagli? Wspomóżmy wątlą akcję, będącą tylko pretekstem do nie kończących się wyliczeń, jakby świat ułożony był szeregowo. Skreślajmy! Na skreśleniach możemy jedynie zyskać, jak w bingo.

Skreślałam i jeszcze raz skreślałam, z wyraźną ulgą.

Niekiedy zadaję sobie trud i tłumaczę adiustowany tekst na inny język. Wtedy cała jego redundancja ujawnia się bez litości i pozostaje mało co, jak w równaniu, z którego wyluskaliśmy

wszystkie niewiadome, okazujące się na koniec liczbami naturalnymi, bliskimi zeru. Tu należałoby szukać źródła niepowodzeń naszej literatury w przekładach. Tu, a nie w rzekomej nieprzekładalności tradycji i doświadczenia, w obojętności świata na los małych narodów czy w pogoni wydawnictw za zyskiem. Zwłaszcza języki germańskie lubią dokładność, której tak nam brakuje. Esencją nie jest to, co zanika w translacji. Esencją jest to, co zostaje, co daje się przetłumaczyć.

Oczyszczony manuskrypt oddaję do przepisywania i czystopis zakreślał ponownie, ale tym razem już wyrywkowo, tu i ówdzie usuwając tautologiczny przymiotnik. Niestety, często się okazuje, że tekst zyskał wprawdzie na wyrazistości, ale zachwiała się kompozycja. Skróty pozostają 12

niejasne dla niewtajemniczonych, elipsa goni elipsę, tam gdzie spodziewamy się płynnego przejścia, wyrasta nowy akapit ex nihilo. Mógłbym właściwie tak to pozostawić, bo nie jest moją rolą troska o kompozycję. Harmonia powinna się tworzyć samorzutnie, rzekłbym – organicznie, a nie poprzez żmudne wypełnianie kitem miejsc niedookreślonych. A jednak przekonałem się, że sprawdzając tekst w druku, niejednokrotnie cierpię, a w każdym razie odczuwam niesmak – nie wdając się tu w dyskusję, czy estetyka jest kwestią smaku, czy reguła – jakbym to ja odpowiadał za jego autorstwo, nie mogę zasnąć i frazy wyrywają mnie ze snu nad ranem opadającą kadencją. Dlatego dopisuję. Wcale nie z powodu odgórných dyrektyw, ideologicznych, jak się to teraz imputuje. Z powodu dyrektyw, tak, ale poetyki. Odgórných, idących od Stagiryty. Każdy tekst ma strukturę poetycką, jeśli uznać, że funkcją, która w nim dominuje, jest nastawienie na sam komunikat, i usunięcie jednego elementu, semantycznie obojętnego, powoduje zachwianie całej konstrukcji, jak w sonecie, gdzie nie można bezkarnie zmienić metrum albo usunąć rymu. Dlatego w korekcie, nazwijmy ją, addytywnej nie ma niczego arbitralnego. Ci, którzy zarzucają nam

falszowanie intencji twórczych, niech przez chwilę pomyślą o integralności dzieła sztuki. Czy na potępienie zasługuje konserwator nachylający się nad płótnem z pędzlem i jajkiem? Czy runąć ma gotycka katedra, w której oryginalne łuki się wykruszyły? Nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie sprzeciwiał się koniecznej restytucji.

Aby narzucić sobie maksymalną w takich wypadkach dyscyplinę, wzięłem na warsztat lirykę i aforyzmy. Niejedna strofa, której uczą się w szkołach na pamięć (przez serce, por. angielski, francuski), swój obecny kształt uzyskała na moim biurku. Szkolne wypracowania opierają się na cytatach, jakich nie uświadczysz w pierwotnej wersji. W werdykcie dorocznej nagrody poetyckiej pojawił się dystych, mający niczym koda streszczać całe dzieło, naniesiony na marginesie w

zastępstwie sformułowań nie do końca przekonujących, które zdecydowaliśmy się skreślić. Słownik terminów literackich podaje moją ingerencję jako przykład twórczej aliteracji, nie podejrzewając, że autor chciał nam tylko wygarnąć prawdę, pozbawioną instrumentacji głoskowej. Warto

pamiętać, że prawda składa się z morfemów.

Międzynarodową karierę zrobiła Księga myśli. Pracowałem nad nią przez kilka tygodni, ze szczególnym upodobaniem, choć przyznam, że mam wiele zastrzeżeń do aforyzmów. Przed wszystkim, są za krótkie. Rozumiem, mają porazić błyskiem, jak żarówka, która przepala się, niekiedy eksplodując światłem dwukrotnie jaśniejszym. Ale potem zapada ciemność i trzeba szukać nowej żarówki, o przepisowej liczbie watów. W aforyzmach jest sporo takiej nieodpowiedzialności, a myśl powinna przecież promieniować światłem trwałym, zamiast urządzać jednorazowe

fajerwerki.

Trudno było się oprzeć, czytając brulion Księgi, przykre mu uczucie obcowania z besserwiserstwem. – Oto potrafię zawrzeć w paru słowach głębię – zdawał się mówić autor. Zaproponowałem w kilkunastu miejscach rozbudowane poprawki, tak by czytelnik miał wrażenie,

że to on dochodzi do prawdy, a nie że jest mu ona serwowana w pozbawionej wyводу konkluzji, na tacy, na deser, który nie zastąpi kartofli. W ten sposób powstał cykl epigramatów uznany przez krytykę za odnowienie gatunku. Nie tak dawno dostałem egzemplarz japoński z nieco przesadną

dedykacją: Autorowi – współautor. Teraz czekam na chiński, który można potraktować jak sprawdzian, zarówno z punktu widzenia tradycji, jak i współczesnej kultury literackiej.

Wielkość piśmiennictwa nie polega, rzecz jasna, na mniej czy bardziej szczęśliwych sformułowaniach ani na mniej lub bardziej harmonijnej kompozycji. Wymiarem, którego brakowało naszej literaturze, zaściankowej, doraźnej, skąpanej w kolorycie lokalnym – jest dystans.

Słabe pisarstwo zwykle reaguje na rzeczywistość. Literatura ją tworzy.

Weźmy Schulza, Drohobycz był przecież zaniedbanym miasteczkiem, w letnie wieczory cuchnącym wcale nie cynamonem, z oficyn szedł tam odór omiatający również restaurację z tarasem i ogródkiem, schludnymi od frontu, ale ukrywającymi od kuchni tabuny szczurów. Bezpańskie psy biegały po ulicach, roznosząc wściekliznę. W domach publicznych szerzyła się kila, a w urzędach korupcja. W szpitalach brakowało penicyliny, jeszcze nie odkrytej, i środków uśmierzających bóle. Żebracy skręcali się, by wyżebrać pod kościołem kilka monet u biedniejszych od nich biedaków, a Żydzi gonili za nieludzkim zyskiem, nie zważając na szabas. W opłakanym

stanie była komunikacja, po deszczu drewniane trotuary przypominały tratwy dryfujące po błotach.

Nafciarz zapalał cygaro, niepomny na wybuch. W suterenach kwiliły niemowlęta o niejasnym ojcostwie i łaknęły witamin.

Już widzę tego Katona, który czyni zadość i wymierza sprawiedliwość miastu i światu.

Widzę na swoim biurku te stosy opowiadań, groźne wiersze, powieść bez polotu unoszącą się nad nieszczęściem, tragedię w pięciu aktach. A także alegorie, na pozór odnoszące się do innego miejsca i czasu, statki tonące, miasta dotknięte epidemią, bezludne wyspy, gdzie rozbitków ledwie wystarcza, aby utworzyć stany czy kasty. Słyszę ten lament, przy którym zawodzenie płaczków jest radosne jak gospels. Biorę do ręki ołówek i odmierzam nim dystans. I czekam, ciągle czekam na Schulza.

(Wiem też, że nie mogę tu liczyć na pomoc krytyki, która prześlepi wszystko i już raz odczytała go zupełnie błędnie, sytuując na marginesie rzeczywistości. Jego, który stał w centrum, a rzeczywistość zmieściłaby się w kulce od długopisu, gdyby wtedy już istniał długopis.)

Najwięcej kłopotów przysparzała mi dramaturgia. Nie współczesna, bo tej prawie nie ma, na szczęście – dramaturgia klasyczna. Najpierw dostawałem scenopis, który spowodowałby trzęsienie nekropolii w Atenach i Rzymie, obracając w ruinę to, co cudem się uchowało. Z mozołem

przywracałem mu oryginalną postać, rekonstruując trzy jedności. Nie ma plagi gorszej od reżyserii o twórczych ambicjach. Byłem zmuszony dodawać didaskalia dorównujące długością tekstem, a i

to nie wystarczało. Trzeba by właściwie pisać inny dramat, dramat z przedrostkiem anti-, zawierający inwentarz odstępstw morderczych dla pierwowzoru.

Dzięki temu wpadłem na koncept prowadzący do nowej definicji literatury, według której tekst trwa zawsze, a utwór jest tylko wyrwą, miejscem pustym w tym, co jeszcze-nie-powiedziane.

Rym stanowi jedynie wyłom w dyskursie, gdzie roi się od rymów. Fabuła to zaledwie jedna sekwencja wyłuskana z wielowątkowej rzeczywistości. Postać pozostawia za sobą kontur w galerii osób z krwi i kości, niczym czarny karton pod uzbrojonymi w nożyczki palcami karykaturzysty,

sprzedającego wycinanki na bulwarze. W tym rozumieniu moje ingerencje nie są niczym innym niż przywracaniem utraconego bogactwa, boskiej inwariantności, która zdążyła już zastygnąć w tekst, dotkliwie ograniczony, niepodatny na zmianę. Rozumiał to Gombrowicz, kiedy pisał o Dantem.

Niestety, musiałem być także na premierach, gdzie dosięgała mnie magia wieczornych toalet. Czy do biletów nie można by dodawać próbek perfum, tak aby ten sam zapach obejmował przynajmniej trzy rzędy? Do rzadkości należą odstępstwa od wersji ustalonej w ramach kolaudacji.

Nie chodzi zresztą o drobiazgi tam, gdzie pojawiają się wątpliwości bardziej zasadniczej natury. Otóż coraz częściej zauważa się – mając na myśli nie tylko dramat – że literatura jest głosem. Czym głosem? Chyba nie aktora, krzyczącego tak, że Eurypidesa by najpierw zbudził, a potem jeszcze raz dobił? Żarty na bok: literatura jest głosem, ale autonomicznym, należącym do dzieła, będącym instancją tekstu. Tutaj ukrywa się wielość, bogactwo, zagadka, których nie wydobędzie żadna modulacja i timbre. Wygłosić tekst ze sceny to znaczy zabić jego polifoniczność, bo głos, o jakim mówimy, należy do innego porządku, a o nim aktor na ogół nie ma pojęcia, miotany uczuciami, wzbudzający litość i trwogę.

Inna sprawa, że sam gatunek dramatyczny sprzyja uproszczeniom, rezygnuje z poszukiwań w obrębie języka, stającego się zaledwie wehikułem, zaparkowanym na proscenium. Repliki są pisane na obstalunek. Starannie przygotowany jest efekt zaskoczenia. Próbowali to przewyciężyć romantycy, którzy jednak traktowani są jako rezerwuar cytatów, źródło oklasków, wyrwanych z

kontekstu, przypominających śmiech nie istniejącej publiczności, zawczasu nagrany na taśmę i wklejany do programów wodewilowych. Dlatego zaproponowałem reorganizację urzędu: przesunmy dramaturgię, jeszcze w stadium tekstu, od razu do działu widowisk.

Powtarzają się pytania o to, czy moje ingerencje mają charakter autobiograficzny. W pisaniu autobiograficzne jest wszystko, styl i słownictwo, rymy lub ich nieobecność, narracja i składnia. Nie chciałbym powtarzać komunałów o tym, że autor dekonstruuje swoje życie, aby na jego gruzach wzniesić opowiadanie. To nigdy nie przekłada się prosto i ci, którzy dzwonią do nas z pretensjami, powinni wpięrow pomyśleć, że karuzela zaimków, raz puszczona w ruch, nie staje na

15

zawołanie, i kiedy piszę „ja”, nie oznacza to nic więcej niż formę posiadającą własne końcówki, osoby i przypadki, a i tak można mówić o szczęściu, jeśli język zachował jedno i drugie, casus i koniugację. „Ja” jest kimś innym, „ja” nie istnieje poza samym aktem wypowiedzenia, patrz: Benveniste, tom pierwszy.

Naciskany, mogę podać kilka faktów, a resztą niech zajmą się magistranci.

W domu czytało się na głos, klasykę, *O czym szumią wierzby*, *Cudowną podróż*, *Alicję*, a wcześniej baśnie Grimmów, od których nie można zasnąć. Ojciec przyciemniał lampkę, kładąc

na

abażur czerwoną chustkę w kratkę, która rzucała dodatkowy labirynt na ścianę, już i tak malowaną we wzorki. Zawieszał głos przy końcu każdej strony i sprawdzał, czy jeszcze słyszymy. Siostra zasypiała po kilkunastu zdaniach, ale ja przeciwnie, robiłem się coraz bardziej czujny, jakbym mógł upредить wypadki, nie dopuścić do zdrady i do śmierci królowny. Ta jednak umierała, w najlepszym razie w trakcie następnego seansu. Budziłem się zlany potem, czułem się współwinny.

Pamiętam wizytę w kawiarni, drewnianym pawilonie zbudowanym w parku i otwieranym tylko na lato, co roku odświeżanym pastelową farbą w tym samym odcieniu co barwnik dodawany

do waniliowych lodów. Obok kręciła się małeńka karuzela: rumak na kółkach, z główką przekrzywioną jak na średniowiecznej miniaturze, dwuosobowy samochód wyposażony w podwójny układ kierowania, co umożliwiało kompromis między kierowcami, i samolot z wysuniętym podwoziem, który kołował do kwadratu. W zielonej budce stała waga, własność kobiety tak grubej, że chyba już poza skalą. Na wadze się siadało niczym na tronie. Wysiedziana pluszowa poduszka służyła jako tarcza, bo w lekkich, letnich ubraniach, byliśmy ważeni netto, bez berła. Kończyliśmy właśnie na tarasie kawiarni lody w metalowych pucharkach, popijając gazowaną wodą, z każdym łykiem coraz bardziej bez smaku (żeby się nie przeziębic, bo teoria mamy głosiła, że lody są zabójcze bez picia) – kiedy do drżącej lady chłodniczej podszedł pan z chłopcem młodszym od nas i głośno, tak by wszyscy słyszeli, powiedział: – Proszę pani, prawda, że nie ma lodów? – Nie było, do dziś czuję ten smak niebytu, szczypiący w język bardziej niż gazowana woda.

Na konkursie recytatorskim czekałem na swoją kolej, chodząc tam i z powrotem na tyłach zaimprovizowanej w sali gimnastycznej sceny, wśród ciężkich piłek lekarskich; skrzyń i kozłów pachnących skórą zwierzęcą i potem ludzkim. Powtarzałem strofę za strofą. Wciąż jeszcze potrafiłbym je powtórzyć, z tą samą kadencją, z pauzą w tym samym miejscu, dzisiaj idącą w lata.

Z mikrofonem przy ustach, w trzecim czterowierszu zmieniłem zupełnie bezwiednie w ostatnim wersecie słowo: pogrom, na: program – i byłem pewny, że audytorium nie wytrzyma tej zmiany, że 16

pęknie, przygniecione jakby piłką lekarską rzuconą ze sceny. Nikt, oczywiście, niczego nie dostrzegł, dostałem drugą nagrodę i dyplom.

Na lekcjach religii odmawiałem różaniec, ale zmęczony jego monotonią, różnicowałem kolejne ćwiartki, w najlepszej wierze, bez złych intencji. Mimo to zostałem usunięty i po latach uważam za słuszne stanowisko księdza, szczupłego mężczyzny, który gdy go zobaczyć w garniturze zamiast sutanny, wyda się nagi. Wkrótce miałem poznać lepiej złożoną naturę tekstów liturgicznych i przypisywanie mi dzisiaj autorstwa poprawki: „[nasz], a także tych wszystkich, którzy nie podzielają wiary w ojcostwo, swoje pochodzenie wywodząc z innych źródeł” – dowodzi tylko pełnego niezrozumienia istoty mojego dorobku. Co w niczym nie zmienia faktu, że komisja ekumeniczna już któryś rok z rzędu pracuje nad nowym przekładem Biblii, bo nasze ułomne pismo nigdy nie jest dość święte.

Mieszkałem wtedy na stacji, z dala od domu, dzieląc lodówkę i łazienkę na strychu, obydwie dość zimne, z innym lokatorem, zajmującym izbę za ścianą. Za dnia go nigdy nie było, nocami słuchał Radia Luksemburg. Do moich uszu dobiegały piosenki, o prostej aranżacji i tekstach, których nie mogłem dosłyszeć, bo fala wciąż uciekała. Niekiedy do refrenu włączał się

głos niemiecki z sąsiedniej stacji, tubalny, jakby obwieszczał nalot. Zasypiałem, kołysany zmienną częstotliwością, niesyty i żądny treści.

W latach siedemdziesiątych podstawowym materiałem, w którym pracowaliśmy, był styropian, służący również na budowach do termoizolacji. Wycinaliśmy w nim kontury i hasła za pomocą rozgrzanego drucika montowanego na końcu blatu. Potrafiłem bezbłędnie, z pamięci, ciąć Tatry, linię rzek, Zalew i Mierzeję, niby lord Curzon. A także niektóre twarze, składane z mozaiki kawałków. Były dwie szkoły: jedna pozostawiała otwór w miejscu ucha, a druga

przeciwnie, kształtowała małżowinę wypukło. Styropian, gnieciony, pischczał jak małe zwierzątko. Odpady wyrzucaliśmy na śmietnik, skąd szybko znikwały, podbierane na ogół przez Cyganów, osiadłych pod miastem i budujących szopy, z czego popadło.

Zimą lód ściał rzeczkę i wybraliśmy się na łyżwy nieopodal ich obozowiska. Mróz był siarczysty i ściany, zbite byle jak z dykty, pokrywały się białym nalotem. Nagle na jednej z nich naszym oczom ukazał się napis, odtajały według szablonu, choć krzywy i ledwie czytelny. Czytaliśmy własne hasło, już mocno zatarte, wycięte w setkach egzemplarzy na zjazd partii jesienią, w porze obfitującej w hasła. Cygan ocieplił izbę za pomocą ścinków z naszej pracowni.

Przez cienkie ściany przebił się żar propagandy – ktoś zażartował. Dowiedziałem się potem, że w budownictwie zjawisko to jest znane pod mianem mostków termicznych. Należy ich unikać, a styropian przewyższając skutecznością wełna szklana lub skalna. Potem ten sam materiał był

wykorzystywany do rekreacji w czasie przerw w pracy, tak że nastąpiło pomieszanie pojęć i dzisiaj nie bardzo już wiadomo, co oznacza termin: styropianowcy – ekipy dekoratorów, organizatorów

rekreacji czy może Cyganów.

Adwokat mojej żony, utrzymujący, iż część zapisów z intercyzy miała charakter – cytuję – wewnątrztekstowy, jest dzisiaj zamieszany w aferę z praniem brudnych pieniędzy i skreślony z rejestru.

Co dodać? Wyznanie miłosne, na jakie się nigdy nie zdobyłem w obawie przed potknięciem? Studia niefilologiczne, wbrew powołaniu? Okrzyk wzniesiony na demonstracji, do protokołu? Rozmowę telefoniczną, której wysłuchałem niechętny, bo centrala łączyła nas masowo, w grona na konferencji? Pierwsze nieśmiałe próby, zaraz skreślane – skreślenia skreśleń? Wreszcie, spóźniony już, debiut w piśmie katolickim? (Debiutowałem wierszem.) Wystarczy, resztą niech zajmą się archiwiści. Nie powinni przynajmniej narzekać na brak wycinków.

Nie będę krył, że w kilku przypadkach współpraca zakończyła się fiaskiem. Raz zaginął rękopis. Raz autor wycofał się i zamilkł na lata, a u schyłku życia ogłosił późne wiersze, moim zdaniem najlepsze w powojennej poezji, zarazem ekstatyczne i elegijne, wertykalne – głębokie i podniosłe, niemal pozbawione metafor, przezroczyste jak woda z Lemanu. Któregoś dnia w

moim samochodzie, zaparkowanym w podziemnym garażu – jak na ironię, dzielimy go z ministerstwem

komunikacji – nieznanym sprawcą przeciął wszystkie opony, także i w kole zapasowym, włamawszy

się przedtem do bagażnika. Nic nie zginęło, choć miałem tam złożony sprzęt do wędkowania.

Nasi autorzy bywają bardziej urazowi niż Norwid, w ostatnich latach życia wcale nie drukowany. (Dwadzieścia wierszy ogłoszonych przez dwadzieścia lat tułaczki.)

Kilka razy otrzymywałem pełne wulgaryzmów anonimy, które nawet po ingerencjach nie nadają się do czytania. Nie interesowałem się ich atrybucją. Zawsze starałem się wyraźnie oddzielać dzieło od twórcy i eliminowałem błędy, a nie ich autorów, chociaż były po temu środki.

Nie uważam, by Prousta należało nawracać na heteroseksualizm.

Kiedyś wpadł mi w ręce zeszyt odbity na powielaczu, tak źle, że część błędów była zupełnie nieczytelna. Jednak łatwo rozpoznałem autorów, dwóch dość znanych pisarzy, którym pomagałem

się przebić – już choćby po kilku uchybieniach stylu, dla mnie zupełnie jasnych. Jeden miał silną tendencję do zdań wtrąconych, jakby wciąż porzucał temat, samemu sobie wpadając w słowo. Drugi piętrzył enumeracje, samobieżne, nowy człon wyłaniał się z poprzedniego jak teleskop albo taśma, ściśle zwinięta i od środka wypychana palcem. Także nieco archaizował, na przykład

zamiast: jakoś, pisząc: po jakimuś.

Nie zdradziłem nikomu tego odkrycia, nie chciałem narażać ich na nieprzyjemności.

Uważam, że twórczość musi mieć margines szaleństwa i że nawet bełkot, zalany podłg farbą drukarską produkowaną z pasty do butów, może wyłonić z siebie coś wartościowego. Należy pisać za wszelką cenę (i skreślać, skreślać), niechby i na matrycach, a wałki, powielając tych parę egzemplarzy, z czasem wyżmą to, co niepotrzebne. Istnieją błędy twórcze i niejeden utwór powstał

wskutek przejęzyczenia, a pomyłki drukarskie bywają, jak wiadomo, śmiertelne tylko w *Lekarzu domowym*. Ja sam nie wypieram się swoich juveniliów, choć dziś wiem, że inaczej należało je zakomponować. Kiedyś na starym nagrobku w Prowansji dostrzegłem w inskrypcji błąd ortograficzny – skreślony i, powyżej, poprawiony dłutem. Tak, kamieniarz był analfabeta – w kraju trubadurów! – i przenosił tekst z kartki na kamień na zasadzie obrazu, zachowując skreślenia. A czy w krytycznych wydaniach pośmiertnych nie podaje się wszystkich zachowanych wariantów tekstu?

Osobiście nie mam nic przeciwko wydaniom krytycznym.

Jest jeszcze kwestia publiczności, która na dobrą sprawę powinna mnie tu najbardziej interesować. Jak zakreślić granice rozpowszechniania tekstów eksperymentalnych? W ustawie określono je jako sto egzemplarzy. Nie byłbym w tej kwestii zbyt drobiazgowy. Liczby są sprawą względną, a jeden egzemplarz może być czytany przez wielu czytelników, jak obwieszczenia i psalmy, albo pozostać wcale nie rozcięty – wielostronicowy akt zgonu.

Czytelnik też jest czytelnikowi nierówny. Henri Beyle, lepiej znany jako Stendhal, dziś autor scenariuszy do znanych seriali, marzył o stu odbiorcach, będących, jak sądził, w stanie go pojąć. Ale dzieło O miłości – temat, zdawałoby się, pokupny – zostało sprzedane w ciągu dziesięciu lat po publikacji w liczbie egzemplarzy siedemnastu. Tak, siedemnastu. Dlatego zaproponowałbym tutaj sformułowanie bardziej elastyczne – „na użytek własny” – już przecież mające precedens w ustawie o środkach halucynogennych.

Jak skończyła się sprawa samorzutnych drukarzy? Dowiedziałem się o tym mimochodem z reportażu – zatrzymanego w jednym z tygodników i rozesłanego w formie okólnika po urzędzie – w którym kocioł przyganiał garnkowi, że ten zawiera nadpsute treści. Na trop drukarni wpadli sąsiedzi, regularnie podtruwani chemikaliami. Dziennikarz dywagował na temat ich rakotwórczych właściwości, najzupełniej dowolnie, bo przecież nikt tego nie sprawdził. Alegoria rodziła mu się pod piórem za alegorią, wszystko szyte dratwą, na okrętkę i z pasją też szewską. Najgorsi są

dziennikarze opętani misją. Ten, zdaje się, kiedyś nie dostał paszportu i traktował artykuł jako

odwołanie. Autorzy, nie dość, że się przyznali do publikacji, to przypisali sobie także szereg innych utworów, niektóre powstałe jeszcze przed ich urodzeniem. Zabawna bywa próżność twórców.

Uczestniczyłem kiedyś w półprywatnym przyjęciu, gdzie wielki poeta odczytywał swoje ostatnie produkcje. Po każdym wierszu wodził oczami po zgromadzonych, jak chłopiec oczekując poklasku.

Czasami zapadam na zdrowiu. Ogarnia mnie zniechęcenie, rozpacz, wstręt do słowa drukowanego, jakiś rodzaj agrafii, alergii, znanej dobrze wszystkim, którzy kiedykolwiek parali się pisaniem. Wracają dawne lęki, kwartalne sprawozdanie jest w stanie zabić sprawozdawcę, który nie zasnawszy do rana, czeka egzekucji jak wybawienia. Wkrótce nie potrafi już własnoręcznie złożyć podpisu i kasjerka w banku, podejrzewając oszusta, wzywa milicję. Spędza na komendzie kilka

godzin, straszony protokołem, nim sprawa się wyjaśni, i w miejscu, gdzie ma pokwitować zwrot sznurowadeł i paska, zostawi cztery drżące kreski, jak bliznę po ranie, najpierw ciętej, a potem jeszcze szarpanej.

Dostaje list, którego nie ma odwagi otworzyć, a w ślad za nim telegram o treści:

przyjeżdżam, ale treść nie dociera do celu. Z odrętwienia wyrwie go gong w przedpokoj, podłączony do gigantofonu. – Nie wyszedłeś na dworzec – mówi A., dotknięta, oczekująca przynajmniej objęć niby wtrącenie w nawias. Herbata cieknie, zaparzona z przyzwyczajenia, bo napis: Yunan, na puszcze stoi po starochińsku i oznacza katorgę. – Przywiozłam ci książkę – mówi A. i sięga po nią do torby, ale niedoszły czytelnik już zbiega po kilka stopni, wypada na ulicę bez nazwy i po paruset metrach zatrzymuje się, dysząc, pod kioskiem warzywnym. – Co dla pana? –

pyta kioskarka. – Szczypiorek? – Szczypiorek – widzi zielony pęczek, smukły, jakby pietruszkę ustawić na baczność. – Zapakować? – kioskarka rwie kawałek gazety, ale na sam ten dźwięk, zanim jeszcze widok, klient czmychnie i szybko się oddali w kierunku północ, zostawiwszy ją z banknotem o nominale – stanie dopiero w parku pod klonem, już niewidoczny, bezpieczny do chwili, gdy na korze dostrzeże napis: Tu byłem, i serce rażone strzałą.

Budzi się, kiedy jest już ciemno. Wstaje, otrzepuje ubranie. Nie ma portfela, dowodu i kluczy, co konstataje z wyraźną ulgą, bo teraz chciałby być nikim. Idzie przez ciemne o tej porze miasto, tu i ówdzie rozświetlone tylko neonem, w którym pewnie brakuje liter, czego jednak nie widzi, tak mrużąc oczy, aby napis zamieniał się w smugę. Kluczając, omijając kioski z gazetami, księgarnię, sklep papierniczy i nawet spożywczy, gdyż lepiej dmuchać na zimne, wystawione w witrynie, niestrawne z powodu napisów streszczających zawartość i konserwantów – dociera wreszcie do domu.

Drzwi są otwarte, wizytówka zaprasza do wnętrza, które zgodnie z rozwojem wypadków jest splądrowane (wolałby, żeby splądrowali także i wizytówkę). Na lodówce komunikat od A.: wyjeżdżam, odwrotność telegramu, nagryzmołony ze złością na kartce pismem wyraźnie wklęsłym.

Przez chwilę zastanawia się, czy nie iść za nią na dworzec. W pokoju wciąż nie brak wielu

przedmiotów, a zwłaszcza książek porzucanych w poszukiwaniu cytatu o Graalu. W barku pozostało spumante, otwarte i niedopite, z częścią bąbelków nadal aktualnych. Zginął gramofon, ale zachowały się, trudniejsze do odtworzenia, płyty, w tym Schubert, trio. W telewizji nic nie ma, zatem zabrano tylko niezależne od niej wideo. Nie wiedzieć co znaleźli – przemyka mu przez głowę

– ale tak czy owak bardziej żal tego, co zostawili.

Nad ranem dopada go znów ta godzina, wilcza, kiedy rozwożą gazety i powraca panika, rozpierając się w żyłach. Za trzecim podejściem udaje mu się wreszcie dodzwonić do wiecznie zajętej kliniki. Mówi coś morsem, pulsując. Tak, był już w niej pacjentem, któremu chwilowo pomogło.

Dostaje tabletki skruszone w porcelanowej miseczce, niby w mózdzierzu, tak że nie widać nazwy specyfiku, inkrustowanej na awersie, obok mocy ujętej w miligramach, słabej, niedostatecznej. – To mija, od tego jeszcze nikt nie umarł – zapewnia optymista psychiatra. Na szczęście, bo kto chciałby umrzeć bezimienny, dogrzebany do zbiorowej mogiły.

Z powrotem w domu, zgodnie z zaleceniem odcina emocje. Słucha muzyki, wyłącznie instrumentalnej, nie odpowiada na telefony, listonosz, wciągnięty do akcji ratunkowej, na kopertad

rozmazuje adres i odsyła je do nadawcy z dopiskiem: adresat nieczytelny. To mija, od tego nie umrze, nawet gdyby się przyplątało zapalenie. Czym jest jednak – myśli – lęk przed białą kartką wobec lęku przed kartką zadrukowaną?

W czasie tygodni rekonwalescencji wyruszą śladem moich mistrzów łowić, zależnie od pory, ryby, pisces, albo motyle, lepidoptera. Powracam do świata nazw od strony systematyki, posługując się kluczem do oznaczania. Tu nie ma zabójczej polisemii, lipa jest tilia, a wywar z niej ma właściwości kojące.

Motyle wymagają wyczerpujących spacerów, jeśli nie chcemy się zadowolić bielinkiem, dla którego nie warto schodzić z balkonu, lecz znaleźć okazy rzadsze, aż po pazia królowej.

Posuwam się lessowym parowem, porośłym... – mniejsza o florę. Kuszą mnie, zataczając koła, trzmielce i pszczoły – cierpliwości, kolej przyjdzie i na nie, tymczasem zajmijmy się rzędem lepidoptera.

Wcale nie występującym w gromadzie. Oddalam się coraz bardziej, coraz odważniej. Kłują mnie ostrokrzewy, drażnią pyłki rozsypane jak tabaka. Wreszcie jest, widzę go pośród głogu, przyspieszam kroku, czekam jeszcze chwilę, aż przysiądzie wygodnie, pewnym ruchem zarzucam

siatkę – i zaraz wyjmuję chloroform. Usypiam delikatnie, by nie roznieść pyłku, tym razem pożądanego. Sprawdzam dymorfizm płciowy – zgadza się, to samiec. Wsuwam go do pudełka, skrzydła już na zawsze rozwarte, zdolne tylko do lotów ślizgowych, pokryte łuskami stanowiącymi pozostałość po włoskach, wyłysiałych jeszcze u larwy.

W domu przypinam go do kolekcji i naklejam pod spodem łacińską nazwę, którą

wykaligrafowałem z mozołem. Potem dowiaduję się z podręcznika, że taki na naszej szerokości nie występuje. Przejęzyczenie znowu zbija mnie z tropu.

Jesień spędzam nad wodą, rozlaną wokół spławika. Szuwary, brzeg przeciwny, droga biegnąca po wyniesieniu wzdłuż topól, tatarak, w którym pewne gatunki lubią buszować, nawet czajka, ostrzegająca swym krzykiem – to wszystko, w przepisanej dawce, ma uspokajać. Złowioną rybę wpuszczam z powrotem do wody, a przedtem mierzę ją i ważę, oznaczam i klasyfikuję.

Niekiedy zdarza się, że dane się powtarzają, jakbym wyciągnął bliźniaka lub, co gorzej, tę samą, już raz zmierzoną. Staram się tym nie zrażać, nawet w ławicy okazy są jednostkowe.

I tak, nabrawszy oglądy wśród ryb i motyli, powoli wracam do świata tekstów i ludzi. Być może, nie zdobyłbym się na to ryzyko, gdyby nie moi mistrzowie, zawsze dodający otuchy. I oni odzyskiwali wiarę dzięki systematyce.

Nigdy nie będę wypierał się wpływów, mimo że porównanie to jeszcze nie dowód.

Zawdzięczam im wszystko i ostatecznym probierzem moich ingerencji będzie nieodmiennie pytanie, czy Es, czy S tak by napisał? Pytanie bez litości, wiem, że powinienem był więcej przerabiać, cierpliwiej – i kiedy sięgam do archiwum, prawie zawsze oblewa mnie rumieniec wstydu nad niedoskonałością wyrazu. Czasami jednak widzę, że zdanie wytrzymało próbę, jakby wyjęte z ich kanonu, z *Zapisków* albo *Opowiadań* – i wtedy czuję prawdziwą rozkosz, jak chciał Es, znak prawidłowej lektury, mrowiącej w krzyżu – chwilowa ulga, nagroda w ciągłej pogoni za niewyrażonym.

Nic tak mnie raduje jak oskarżenia o plagiat. Utwierdzają w przekonaniu, że jestem coraz bliższy wzoru, na dobrej drodze. Staram się jednak nie podchodzić do tradycji niewolniczo. Jeśli ma istnieć postęp, musimy się jej sprzeciwiać. Nie ma to nic wspólnego z rojeniem awangardy, która nonszalancję bierze za nowatorstwo. Nic nie drażni tak silnie jak nonszalancja po latach, nic nie starzeje się tak źle jak moda.

Weźmy teksty modne, które kiedyś wstrząsały publicznością, stanowiąc przedmiot kultu, jeśli nie bałwochwalstwa, książki, bez których nie można było się pokazać w towarzystwie, niczym bez spodni. Cytowano je z pełnymi ustami przekąsek na rautach. Znam szaleńców, którzy tapetowali nimi mieszkania, zużywając dwa egzemplarze, nieprzewidująco zadrukowane dwustronnie. I cóż zostało? Pałace uczucie wstydu. Tapety wyblakły. jedyne miejsca, które dają się dziś czytać bez zażenowania, to te, gdzie ingerowano. Często sięgam do zamierzchłych tekstów, dawno, zdawać by się mogło, odrobionych. Choć wiem, że nie znajdą już drogi do czytelnika,

wciąż je jeszcze poprawiam. Tak jak każde pokolenie powinno się zdobyć na własne przekłady klasyków, nie skażone przez humor epoki, tak i my powinniśmy na nowo redagować kanon.

Nie grozi mi bezrobocie. Przeciwnie, teraz, gdy rozwiązano delegaturę, mam więcej obowiązków niż kiedykolwiek i na wymuszonej emeryturze czuję się coraz młodszy, być może dzięki temu, że musiałem powrócić także do działu prasy, gdzie miałem swoje początki. Od niego zaczynam dzień, kupuję za własne pieniądze kilka gazet w kiosku na rogu – narodowych, katolickich, liberalnych i wczorajszych, popołudniowych, w formacie tabloidu. Przyjemnie! Przyjemnie jest skonstatować, że po latach nie wyszliśmy z wprawy i chwyt nadal pozostaje pewny jak prawidłowo ćwiczony w dzieciństwie backhand. Inna rzecz, że sporą część pracy już zrobiono za mnie, tak że gdyby kilka wydawnictw złożyć w jedno, powstałaby edycja prawie wzorcowa, niczym okólnik. jednak każde z osobna, w dobie upokarzających rozdrobnień, domaga się uzupełnień.

Obraz ogólny, przyznaję, nie jest ciekawy, dość powiedzieć, że kryzys gabinetowy powstaje wskutek przecinka źle postawionego w ustawie i ktoś, kto nam zarzucał cenzurowanie składni, dzisiaj cierpi z powodu interpunkcji, wadliwej, bo podległej interpelacjom. Niestety, jest za późno, aby ją zmienić, nikt nie posyła już nakładu na przemiał do centrali surowców wtórnych, na czym nie zyskuje ani ustawodawstwo, ani drzewostan i być może przesądzony jest też los central.

Zastanówmy się, ku czemu zmierzamy! Prezydenta szargamy jak dziwkę stojącą na rogu i obiecującą każdemu. Manifestacje chodzą długim korowodem od urmu do sejmu i tą samą drogą z

powrotem, aż jezdnia zryta jest obcasami jak po tańcach flamenco. Mnożą się oszustwa podatkowe, a giełda obraca pieniędzmi nie gorzej niż oscylator. Watażkowie powołują partie polityczne, których nie ma komu zamykać. Nieznani sprawcy wyrywają swoje dane z archiwum i zakładają

straż miejską, podczas kiedy liga obrony kraju zużywa resztki benzyny w pojazdach muzealnych, dwubieżnych. Nowy samochód wygrywiają radiosłuchacze za prawidłową odpowiedź na pytanie, kiedy się urodzili, a potem kierowca po pijanemu wpada na przystanek, powodując szkody materialne i obrażenia. Majątek narodowy jest rozkradany. Składki nie są regulowane. Tragedie rozgrywają się na oczach, ojciec rodziny zabija potomstwo, bo utracił wiarę i pracę. W potęgę za to rosną browary, bez których nie byłoby nie tylko piwa, ale także muzyki, sportu i gazet. Nawet Kościół utracił zdolność episkopalną i mówi nie swoim głosem, przez radio.

Czasami, dla porównania, kupuję wydawnictwa obcojęzyczne, niegdyś nam wrogie i niedostępne nawet w prenumeracie. Muszę przyznać z goryczą i wstydem, że dziś jest z nimi mniej roboty niż z prasą lokalną i z rzadka zdarza się tam zamach na cześć królowej. Paparazzi przenieśli się do nas i grasują w centralnej agencji. Oto jak ginie hierarchia. Wzięte na języki, upada imperium.

Po południu, zmęczony hukiem i zgiełkiem, wracam do fikcji, o ileż bardziej realnej niż doniesienia z rynku, do form odpomych na działanie czasu, wiecznych, męźnych niczym

heksametr:

Oto głupota wielka, błędy, grzech i skąpstwo
Toczą jak robak ciało, zatruwają duszę,
A my, jak żebrak, który żywi sobą rój wszy,
Podajemy sumieniu tę strawę palącą.

Dokąd zmierzamy? Czy możemy sobie pozwolić na nieingerencję? Przecież tu chodzi o wszystko. O młodzieży chowanie, wiarę ojców, o banki i system przedpłat finansujących rozwój, sojusze militarne, o bezpieczeństwo rodzin, połowy i import surowców. terminowość dostaw, szkolnictwo i sporty, tereny zielone, węgiel oraz paliwa płynne, transport i sądownictwo, metale ciężkie i lekką cynfolię, leśnictwo i kalafonię. Kontrola wtórna nigdy nie zastąpi pierwotnej. Czy możemy sobie pozwolić na grzech zaniechania?

Ruptura cordis

Na pogrzeb przyszły tłumy, tłumy. Kiedy odwróciłam się i spojrzałam w stronę bramy, zobaczyłam morze głów, rozlane, ludzie szli bokami wśród grobów, bo alejki nie mogły ich pomieścić. Zatrzymano ruch przed cmentarzem, korki dochodziły podobno do ronda. Stałyśmy dwie godziny, nim odeszli ostatni. Kwiaty sięgały gałęzi rosnącego za mogiłą drzewa, na wysokość jednego piętra, przykrywając także sąsiednie groby, jak gdyby tamci zmarli umarli od nowa.

Goździki, białe, czerwone, róże i chryzantemy. Hieny cmentarne kradły stąd jeszcze po tygodniu, sama rozpoznałam wiązankę z oderwaną szarfą, sprzedawaną przy bramie. Nawet po śmierci musiał

podzielić się dorobkiem.
Ksiądz powiedział swoje i usunął się do drugiego rzędu, ze świtą. Proboszcz i dwóch wikarych z naszej parafii na wsi, bo wszyscy, którzy służą w dzielnicy, odmawiali. Nie będą – oświadczyli – uczestniczyć w partyjnej uroczystości. Chciał już iść w pojedynkę, ukradkiem, jak za samobójcą, dopiero musiałam przypomnieć mu to i owo z czasów budowy kościoła i wcześniejszych. Są materiały.

Potem przemawiali ci z komitetu, który teraz nazywa się prezydium rady, bo nazwę można zmienić. – Nasz wzór i kolega – zdawało się, że Stefan ich uszczęśliwił. Bez niego ich życie nie

byłoby tym, czym było. Tytan pracy. Niezastąpiony. Kompas moralny. Mediator, w trudnych chwilach zawsze znajdował sposób, aby uniknąć konfliktu. Drogowskaz. Sygnatariusz porozumień.

Epoka. Żegnaliśmy epokę.

Rozległy się salwy. Odleciały wróble.

Przemawiał też ktoś ze związków, krócej, ale równie dobitnie. – Przeciwnik polityczny – dochodził mnie jego głos, wibrujący – ale sojusznik w walce o samorządność. W komisji zawsze głosujący zgodnie ze stanowiskiem wypracowanym na wspólnej platformie.

Na platformie – chcą rządzić, a jeszcze nie nauczyli się mówić.

Nad trumną rozsnuwała się demokratyczna przyszłość. Z dwojga złego już lepsi są ci, co kradną wieńce. Przynajmniej nie pozostawiają złudzeń.

Wróciłyśmy do domu jeszcze tą czarną limuzyną. Szofer czekał na parkingu, nie w żadnej, jak napiszą, liberii żałobnej, w zwykłym ciemnym garniturze. Nudziło mu się, studiował nekrologi w gazecie i porównywał je z klepsydrami na murze. Umierają bez dorobku, młodo, a potem się z

tym afiszują. W Niemczech i Szwecji te włoskie, rządowe samochody, które tu wznecają tyle namiętności, zupełnie nie są w cenie. Rdzewieją, po wypadkach zostaje z nich kupa złomu – z ministrem w środku – a na przeglądach prowadzą w klasyfikacji usterek.

Do wieczora czytałam kondolencje – zmarli nie mają wrogów. Odezwali się i ci, którzy go

niszczyli, i ci, co chowali głowę w piasek, kiedy trzeba było wystąpić i stawić czoło. Nawet tacy, których ja sama uważałam za zmarłych, aż sprawdzałam przez lupę stemple na telegramach, czy przypadkiem nie są zza grobu.

Nazajutrz zaczęłam opróżniać szafę. jeszcze raz uprałam ostatnie koszule, ze znajomym przez te wszystkie lata zapachem potu i papierosów. Uprasowałam je, przyszyłam brakujące guziki.

Stefan tył i ostatnio puszczały te dolne. Wyjęłam buty, przetarłam je szmatką. Zdjęłam wiszące na rozciągniętej tasiemce, po wewnętrznej stronie drzwi garderoby, krawaty. Rozłożyłam je na stole –

były jego pasją. Wiele z nich wybieraliśmy razem, zwłaszcza na placówce w Rzymie, dokąd zesłano nas w latach sześćdziesiątych, po oskarżeniach o odchylenie. Wtedy kupowaliśmy za dużo ubrań, jakbyśmy chcieli dać do ręki dowód strażnikom czystości doktryny. Pamiętam jedwabne,

kupione w Wenecji na Calle dei Fabbri. Wąskie, wkrótce potem przestały być modne. Zostały wyparte przez te szersze, wiązane w duży węzeł, podwójny.

Po powrocie, w latach siedemdziesiątych, rozluźniły się normy. Aparat się przebierał.

Spółdzielnia krawiecka Ambassador nie mogła nadażyć z krojeniem nowych marynarek, wciętych i

dwurzędowych. Filcowe kapelusze z szerszym, niby horyzont, rondem zastąpiły wcześniej obowiązujące płytkie myśliwskie kołpaki (gustowali w nich zwłaszcza ludowcy) i ozdabiały głowy twardogłowych.

Czy trudno było przewidzieć, czym się to skończy? Rzucili hasło, wezwanie do bogacenia się. Otwórz się, sezamie! Pokraczne małe fiaty – stonka, którą tym razem przynieśli nie Amerykanie – rozjechały się po terenie. Rano słychać było charkot, to rozrusznik po wilgotnej nocy nie dawał za wygraną.

Czy trudno było przewidzieć? Pieniądze rozbudzają apetyt nawet u ludożerców, nie umiejących liczyć. Przydziały wkrótce przestały wystarczać i partia zajęła się rozdzielnictwem

dóbr, jak ochmistrz. A dolary? Kto wpadł na pomysł, aby je sprzedawać po cenie urzędowej, na kartki? Co zyskaliśmy na tym przeliczeniu? Kolejki po paszport ciągnęły się kilometrami, a potem śmiano się z puszek z wołowiną otwieranych na tyłach restauracji, w której dobrze, jeśli pozwolono im zmywać. Czy ci ludzie nie mają prawa czuć się oszukani, wystawieni do wiatru? Wysłano ich

bez przygotowania, narażając na podłe dowcipy i propagandę. Ktoś opowiadał mi, jak to zapamiętał: w nogach ból, bo nie miał na tramwaj i przemierzał linie komunikacyjne różnym krokiem niczym inspektor trakcji. A w ustach smak przypraw, bo w domu, gdzie litościwie pozwolono mu przycupnąć na wakacje, pozostawiono tylko ryż i słoiczki z ziołami. I jeszcze te cyniczne instruktaże: Europa za sto trzydzieści dolarów. Dochodziło do tego, że produkty z importu, sprowadzone w ramach interwencyjnych dostaw, wywożono ponownie i odsprzedawano za pół ceny, w detalu. W ten sposób Zachód zarabiał na nas dwa razy.

I kto parł do, jak go ochrzczono, otwarcia? Ci sami. Ci sami, którzy wcześniej nas oskarżali

o odchylenie.

Przeszłam do gabinetu. Biurko, jego fajka – też dobry przykład. jakiś czas pozwalano mu ją palić bez przeszkód. A potem: – Wiecie, to się kojarzy niedobrze, przejdźcie na papierosy. – Dbali o zachowanie pozorów, a reszty dopełniała cenzura. Nie mieliśmy nic do ukrycia, w przeciwieństwie do tych, którzy biegali na Mysią, tuszując wszystko, życie – własne, kochanek, kuzynów i cinkciarzy zatrudnianych do interesów. Tu szło o grube pieniądze, węgiel, miedź, przemysł ciężki, zbrojenia, centrale handlu zagranicznego, przekształcane, jak tylko coś wychodziło na jaw. Co parę lat poświęcali kozła, delegując prokuratora na trop afery. Szybko ją wyciszano i rzeczy mogły dalej trwać w ustalonym porządku, przynosząc zyski godziwe, jeśli nie krociowe.

Jawność? – to słowo stało się modne już poniewczasie. Opozycja obnażała fasadowość.

Śmiechu warta opozycja, która kolejny pozór przyjmowała za prawdę. Stefan wrócił do papierosów, odkładając fajkę na okazje domowe. To też mu nie służyło, bez filtra, odpalane raz za razem, zanieczyszczone. Z tej poniemieckiej fabryki, od której zaczęły się strajki. Pamiętam pierwsze postulaty, kobiety żądały przeniesienia żłobka poza obręb zakładu, bo u jakiegoś dziecka odkryto nowotwór. Potem się okazało, że był dziedziczny. W całym zresztą mieście pachniało, jak w trafice, tytoniem. Matki oskarżały synów w wieku szkolnym o palenie, niesłusznie, bo tylko

prześlakli zapachem. Stefan pojechał i załatwił: zamontowano filtry i klimatyzację, dostali bezpłatne leki i uproszczony tryb przechodzenia na rentę. Więcej, niż się spodziewali. Teraz tam powrócili Niemcy, niczym do Guberni, i z miejsca zwolnili połowę załogi, dając jednorazowe odpawy, do wysokości trzech pensji. Co na to związki? Nie ma ekstramocnych.

Wkrótce potem przyszedł pierwszy zawał. Jeszcze nie tak bardzo rozległy. Wyjechaliśmy do Konstancina, niestety, nie na antypody. Przyjeżdżali osobiście, kiedy tylko przestawaliśmy odpowiadać na telefony. Oddani współpracownicy. Zamykali się z nim w pokoju. Słyszałam – już

przytłumione – głosy. – Jak temu teraz zaradzić? Jak to powstrzymać? – Trzeba było wcześniej słuchać dobrych rad, póki nie rozpętała się epidemia. Wtedy jeszcze nie rozumiałam, że naprawdę już pogodzili się z sytuacją i tylko szukali kozła.

Była jesień i chodziłam z Łatą do ogrodu. Jeże zwijały się w kulki. Rude wiewiórki biegały po pniach i opasywały je, podobne do skórki pomarańczy, obieranej jednak spiralnie, jak jabłko. Widziałam przez drzwi na taras jego postać krążącą w obłokach dymu. Wzburzony, gestykulował.

Wyliczał im to na palcach. Obiema dłońmi odsuwał od siebie ewentualność – jak się łudził – najgorszą. Chwytał się za serce, niepotrzebnie je ujawniając. A potem walił z całej siły fajką o biurko, aż z cybucha szedł popiół.

Żądali od niego wszystkiego, czego zabronili lekarze. Pracy ponad siły jednego człowieka, nawet o końskim zdrowiu. Stresów, terminów i nocnych nadgodzin. Tam gdzie zaleca się leżenie

–

nasiadówek. Zimnej krwi, na którą nie działa nitrogliceryna. Potem wracali do komitetu i wszystko robili na odwrót, wykorzystując jego nazwisko i podpis, którego nie udzielił. Tak było z

aresztowaniem S.Z. Kiedy Stefan zaproponował go na przewodniczącego stołu, podrzucili mu zaraz lipne materiały – wszyscy znamy tę kuchnię – a na boku rozpowiadali, że – poza wszystkim innym

– jest pedofilem. Pedofilem! Pedofilem był Kościuszko, a dzisiejsza dziatwa nawet do tego się nie nadaje. Po kilku dniach tamtego zwolnili, ale ciśnienie skoczyło. Wróciliśmy do miasta, do spalin.

Na chwilę usiadłam przy biurku, przy którym powstawały podwaliny. Czy kiedyś to docenią? już dawno przestałam się tym przejmować, inaczej musiałabym siedzieć na stołku w rogu pokoju i pilnować, strażniczka przyszłej izby pamięci. Nie rozmawiać za głośno, zachować odpowiednią wilgotność, a Łatę wypchać, najlepiej jeszcze nim zdechnie. Tymczasem przybiegła i położyła się w nogach. Dobry pies, który też przecierpiał swoje, bo spacerowały się z czasem coraz krótsze, po zawężającym się, jak pętla, kole. Wkrótce musieli zawracać jeszcze przed mostkiem, tak że nie dochodzili nawet do pergoli, wcześniej wyznaczającej dopiero półmetek. Nie rozumiała dlaczego. Szczekała, aportowała samopas patyki, już wcale nie rzucane, jakby potrzebowała chrustu na zimę albo może budulca na leże.

Zaczęłam przeglądać i segregować papiery. Ostatnie, już nie rozcięte koperty. Niewczesne zaproszenia na obchody, których nie zaszczyci swoją obecnością, z małżonką. Na rauty z opuszczonym toastem. Spotkania rady nadzorczej. Walne spirytystyczne zgromadzenia. Prezesi i ambasadorowie będą go czcić minutą ciszy wśród paplaniny. Nie wygłosi od dawna zapowiadanego

wykładu, nie reasumując w konkluzji. Nie będą otaczać go zwiędłym wianuszkim panie na balu dobroczynności. Nie obejmie honorowego patronatu, nie przetnie wstęgi, inaugurując to, pod co jeszcze zdążył położyć kamień węgielny. Przed naszym nazwiskiem będą stawiać skrót im., imienia; towarzysze, specjaliści od skrótów.

Używał ciężkiej bryły miedzi jako przycisku na biurku. Dostał ją w rocznicę porozumień, wtedy jeszcze jakoś dotrzymywanych. Od spodu uformowana w regularny prostopadłościan, od góry w stanie surowym, tyle że przez lata wyslizgana przez jego rękę, symbolizowała, można się domyślać, ideę kształtu, porządku. Tylko patrzeć, jak jakiś chybiony rzeźbiarz postawi mu pomnik.

Jeszcze raz położą mu kamień na sercu, tak jak Starzyńskiemu włożyli chomąto na szyję na placu Bankowym. Mam nadzieję, że nie dożyję.

– Czy pisał pamiętniki? – pytają mnie, zaniepokojeni, ich bohaterowie. Gorzej, prowadził dziennik. Dokładny, dziennik choroby. Tam jest wszystko, nie mogą się nie obawiać. Nie, nie w biurku, jestem przezorna. Rymarze, założyli mu teczkę. A on prowadził przeciw nim dziennik, niczym Gombrowicz. Tam jest wszystko, wszystko, co teraz, po latach, okazuje się jasne. jak chcieli wepchnąć go w aferę mięsną i po to odwołali do spółdzielczości. A kiedy się nie udało, to zaraz w rok po tym zmuszali, żeby ogłosił podwyżki, do czterdziestu dwu złotych za zwyczajną.

jak 28

wypchnęli go na zjazd kadeelów, wiedząc, że jest przeciwny i towarzysze będą go wałkować, aż zmięknie. Jak zasiadał w Radzie Ocalenia, bez prawa głosu. I jak przewidywał koniec, już w latach siedemdziesiątych. Są nazwiska, szczegóły, z pierwszej ręki, z której kiedyś mu jedli. Towarzysze odpowiedzialni za akcję Ferrum – adresy, konta, sumy i daty przelewów.

Stenogram z posiedzenia, na którym podjęto decyzję o wpuszczeniu metanu do objętej strajkiem kopalni – kto był za, a kto się wstrzymał. Seria wybuchów gazu w Śródmieściu, kto odkręcał. Katastrofa przy podchodzeniu do lądowania na Wnukowie, czarna skrzynka. Lista księży pracujących dla czwartego departamentu. Wypis z oględzin zwłok działacza zmarłego w wyniku powikłań. Raporty urzędu celnego.

Tam jest wszystko. A przecież – czy nie rozczuła naiwność ciekawskich, czekających na otwarcie archiwów? Czego jeszcze chcieli się dowiedzieć? Zobaczyć, dotknąć, wetknąć palec do rany? Czy nie widzieli, co się dzieje? Oślepli, patrząc na nic nowego pod słońcem? Spiski – czy muszą być roztrąbione? Tajemnice, czyż nie były obwieszczane w formie afiszów na słupie, jak listy gończe? W teatrze na forum mieściło się towarzystwo krzewienia przyjaźni, jawne, a szuka się dowodów na pokątne kontakty z rezydentem, w randze podpułkownika. jakie to ma znaczenie, w

randze czy bez rangi? Biała księga była publikowana na bieżąco i każdy, kto miał oczy do patrzenia, mógł do niej zajrzeć.

Z tygodnia na tydzień pogarszał się stan Stefana. Zaczęły mu dolegać duszności. Szedł krokiem spacerowym, noga za nogą, emeryt, a dyszał jak maratończyk po biegu. Stawał, rozluźniał

krawat. Lekarze widzieli konieczność operacji polegającej na wszyciu kawałka tętnicy, pobranego z uda, w miejsce niedrożne, wyraźnie widoczne w badaniu kontrastowym. Nie trzeba było dawcy,

zabieg miał się dokonać w jednym organizmie. To było warunkiem, bo przecież od nikogo by nie wziął. Odwlekał decyzję, a potem, kiedy się wreszcie zgodził, przesuwiał terminy, bo wzywały go obowiązki, coraz bardziej mordercze. Zwlekał tak z miesiąca na miesiąc, przez cały czas pracując.

Kiedy wstawałam, był już przy biurku, a kiedy szłam spać, o północy, dolewał sobie kawy. Zapewniał, że bez kofeiny. Raz spróbowałam – i długo nie zasnęłam.

Zaprzeczam, jakoby prowokacja miała na celu zerwanie umów. To był atak na serce Stefana, precyzyjny, bezlitosny atak. Drugi zawał przyszedł z dokładnością zegarka na zapalniku. Przyjrzyjmy się faktom.

Piątego wyjeżdża delegacja, bez żadnych prerogatyw, ale z zaleceniem podjęcia negocjacji zażegnujących nastroje. Zwróćmy uwagę – kto stoi na jej czele? Ten sam generał, który kierował rok wcześniej atakiem na politechnikę. Do strajku przyłączają się nowe wydziały. Ultimatum jest wyznaczone na siedemnastego. Pozorują rozmowy, jeszcze nic się nie dzieje. Po tygodniu wydaje się, że ustępstwa delegacji będą wystarczające, parafowane jest porozumienie, któremu towarzyszy protokół rozbieżności. Grupy robocze mają wyznaczyć terminarz dalszych rozmów.

Szesnastego podają komunikat o zaginięciu przeora i Stefan jest zmuszony wystąpić na konferencji zamiast nieobecnego rzeczownika. W przeddzień, na rutynowym badaniu w klinice, ekg wykazało zaburzenia przedsionka i lewej komory. Rozpuszczana jest plotka, że kapłan nie żyje. Stefan zmuszony jest dementować. Dwudziestego premier powołuje komisję.

Najprawdopodobniej

już wtedy wystąpiła skrzeplina w okolicy koniuszka. Na wieczornej naradzie naczelnik czwórki ujawnia, że działania podjęte przez wydział wobec księdza nie dają podstaw do przypuszczeń o zgonie. Stefan wciąż dementuje, już będąc przekonany o prowokacji. Na dwudziestego czwartego

region zwołuje manifestację. Zwłoki odnajdują się w przeddzień nad ranem. Wraca rzecznik. Zostaje wdrożone śledztwo. Echokardiografia w tydzień po zawale wykazała poważne zaburzenia

kurczliwości i zwłóknienie płatków zastawki.

Są tacy, którzy to przeżywają. Oszczędny tryb życia i dieta bez soli. Lekarstwa, mononit, captopril. Stefan nie mógł pogodzić się z tym, że odebrano mu możliwość sprostowania. Wiele razy analizował na zimno sytuację. Nie mogło być mowy o przypadku, wszystko okładało się w logiczny ciąg następstw.

Lekarze zabronili palenia w każdej formie, ale on coraz częściej sięgał po fajkę. Postarzał się o dekadę, wyglądał jak jego ojciec na zdjęciu zrobionym w cytadeli dwa lata przed śmiercią. Kiedy powiedziałam mu o tym, wyjął zdjęcie i odtąd trzymał je na biurku, oparte o wazonik. Nikt w rodzinie nie cierpiał na serce. Dziadek jeszcze w wieku lat siedemdziesięciu chodził w Tatry z plecakiem pełnym bibuły. Babka dożyła dziewięćdziesiątki, mimo że paliła mocne gauloisy, importowane z Francji.

Znowu zaczęłam gotować. Odprawiłam kucharkę, podejrzewałam, że w najlepszym razie dosypuje mu soli. Rano sama chodziłam na targ, szukając świeżych, nie przyskanych jarzyn z upraw jak najdalej od miasta. W czasach naszej banicji we Włoszech nauczyłam się je przyrządzać.

Peperonata, mimo że nie doprawiana, nadal mu smakowała. Przepadał za ravioli ze szpinakiem. Dobry szpinak – akcja żelazo. Jak na ironię, w całym kraju w tym czasie rozpętała się histeria głodówek. Głodowali o wszystko (czyli o cokolwiek). Tak się mówiło: – O co głodujemy? O lepsze jutro, o godność. – Naprawdę głodowali o pełny kołdun. Niejadkowie, którzy oddają się czezej propagandzie.

Zaczęły się miesiące rekonwalescencji. Wspominam je najmilej. Nareszcie mieliśmy czas dla siebie, bo płynął powoli, niczym krew w niedrożnym naczyniu. jeździliśmy po sanatoriach, odciętych od zdarzeń. Wieczorem na kolację zapraszał kardiolog, do pruskiej willi.

Rozmawialiśmy o starych czasach, popijając nalewkę z pigwy. Cóż z tego, że była jedna pasta do zębów, żrąca, i cukierki tylko karmelkowe, kleiste, pakowane w pergamin nie dość natłuszczony. A jednak żyliśmy według wartości, wśród szlachetnych przedmiotów. jeden stół, jeden dzbanek z kawą, tym lepiej, że zbożową, obok chleb, żytni, zawijany w płótno, nie plastik, i chowany do szafki. Sól i pieprz, biały 30

obrus. Zamiast bananów i mandarynek o ileż od nich lepsze śliwki i jabłka. Pościel wykrochmalona. Koszule z popeliny. Radio Pionier o krystalicznym głosie, na lampach. Było w tym coś religijnego, po luteriańsku. Gdyby nas namalować, wyszłaby surowa martwa natura. Niestety w malarstwie pozostały monumentalne, kłamiące w żywe oczy postacie, rubensowskie, tyle że ciosane, nie obłe.

Odwiedzaliśmy stare kąty, miejsca, do których kiedyś nas rzucano, na front walki z reakcją. Nasza carte du Tendre, nadal aktualna. Ten sam dworek, gdzie zbierał się aktyw. To samo gniazdo jaskółek dymówek, jeszcze nie spopieliałych, kwilących z taką samą jak kiedyś energią. Kozy

wpatrzone w nas uważnie prostokątną źrenicą. (Kiedy Stefan odkrył ich przecięte czarnym paskiem oczy – jak u przestępcy, tyle że każde z osobna – przesłuchiwał je godzinami.) jezioro z

nietkniętą taflą, może trochę bardziej niż wtedy zarosła trzcina. Weranda, na której toczyliśmy spory, tak żarliwe, że nikt nie dostrzegał świtu. Mleko wciąż prosto od tej samej krowy. W jakimś sensie pozostaliśmy młodzi. Przechowaliśmy dawne ideały, para starców wiernych im i sobie. Jeździliśmy naszym wysłużonym autem. Te włoskie nie są dobre, psują się i rdzewieją, a w wypadkach obejmuje je strefa zgniotu. Do wypadków dobre jest volvo. Jeździliśmy naszym wysłużonym autem, niemodnym, obserwując nowe spustoszenia. Wsie całe podłączone do

telewizji satelitarnej, jakby wysłane w przestworza. Samoprzylepne folie zaklejające pejzaże. Reklamy papierosów, coraz słabszych, prawie bez nikotyny. Młodzież pijąca piwo na schodach do kawiarni, ubrana jeszcze po sportowemu, ale w której zaginął duch rywalizacji. Młodzież! Jej wmawia się cokolwiek, łatwowiernej, nie podejrzewającej prawdy. Mami się ją mirażem kariery. Banki zatrudniają młokosów przemnażających miliony. W gazetach piszą żargonem, aby się przypodobać, w radio puszczaają zespoły o obcych nazwach, niezdolne wydobyć naszej pieśni z gardeł.

Kiedyś odnalazł Stefana jeden z tych młodych. Wydawał się inny, uprzejmy, nienapastliwy. Podawał herbatę i ciastka. jadł, chwalił. Chciał przeprowadzić wywiad dla „Tygodnika”. Pytania, jakie przesłał pocztą, świadczyły, że wiedział sporo. Potem przyjeżdżał jeszcze kilkakrotnie, na długie rozmowy. Nagrywał wszystko na taśmę. Stefan wyluszczał mu punkt po punkcie powody. Naświetlał z różnych stron, wprowadzał w tajniki. Wydawało się, że rozumie i może, choć częściowo, odda nam sprawiedliwość. Ale to, co potem przeczytaliśmy, to był paszkwil. Podły paszkwil, który przyspieszył ostatni zawał.

Już nie ufałam lekarzom, nawykłym do spiskowania. Tym razem umieściliśmy pacjenta pod przybranym nazwiskiem w zwykłym szpitalu. Rozdysponowałam łapówki przebranemu w biały kitel czterorękiemu Siwie, ale nie na wiele się zdało. Pilnowaliśmy na zmianę z Ludmiłą dzień i noc, ale szybko nas rozpoznano i ordynator przybiegł najpierw sam, przerażony, aby potwierdzić tożsamość, a wkrótce nasłał nam do separatki podstawionego chorego – wiem, że wyjadał

Stefanowi tabletki. Skrytobójcy, nie umiejący nawet zabić wprost, po rycersku. Spotkałam go potem pod Rotundą, szedł zdrowy. Po korytarzach roznosił się zapach kotletów mielonych i kompotów mieszanych, jakby śmierć można było obłaskawić kompotem.

Są tacy, którzy

nawet wbici w garnitur, wyglądają jak rozchełstani. Stefan, chory, w szpitalnym szlafroku, oplątany elektrodami, z niedowładem lewej części twarzy – umierał, nie tracąc nic ze swojej świetności, mąż stanu (zostawiając mnie, którą przezwał wdową systemu). Prosił, aby mu czytać gazety – on, jeszcze nie tak dawno napelniający je treścią. Do końca dyktował mi sprostowania. Nie wysyłałam ich, bo szkoda na znaczki. Co tu prostować, kiedy wszędzie małość i zadufanie. Niech żyją w

przeświadczeniu, że urodzili się wczoraj, a nam pozwolą spokojnie umierać.

Zebrałam rzeczy pozostawione w szafce. Zegarek i różaniec, kalendarz doprowadzony do przyszłego roku, nieaktualny. Ludmiła domagała się sekcji, ale ja byłam przeciwna. Sekcja wykazałaby ostatnią przyczynę śmierci, ale nie powód zbrodni. Wykazałaby? Dość się nasłuchiwałam o tępych narzędziach.

Wszystko jest tak, jak chciałeś. Zasadziłyśmy bukszpany i codziennie podlewam, bo upał nie ustaje. Na obiad robię chłodnik – mleko kwaśniej między lodówką a stołem. Pies wychodzi tylko wcześniej rano i nocą, a resztę czasu spędza na kamiennym podeście przy schodach piwnicznych, delektując się chłodem. Zgubiłam klucz do skrzynki i czekam, aż listy rozsada ją swoim naporem. W studni wyschło i nie pomaga już nawet dolewanie do pompy, która nie ma

czego zasysać. W zalewie kąpią się chłopcy i beczki ogórków. jedną z nich rozparło i teraz nie odróżnisz rzęsy wodnej od kopru. Czasem ktoś dzwoni, mówię, że pomyłka, a potem już nie odbieram.

Dostaliśmy medal, za długoletnie pożycie. Odesłałam, także w twoim imieniu. Nie będą liczyć nam lat, a czego jak czego, ale odznaczeń nam nie brak. Dzisiaj małżonkom przyznają je rozwodnicy.

Odezwał się twój brat przyrodni, z pytaniem o testament. – Tak – powiedziałam – zostawił. – I posłałam mu naszą ideową deklarację sprzed lat czterdziestu, nad którą siedzieliśmy w leśniczówce do białego rana, a potem jeszcze na zjeździe, broniąc niektórych sformułowań, atakowanych przez prawą stronę, rosnącą we wrogą nam frakcję. Nie zmieniałabym w niej przecinka. Niestety, dziś nawet interpunkcja wydaje się na wyrost. Dołączyłam też krawat, ten z włókna kokosowego, z już zawiązaną pętlą. Chciwi krewni – nie rozumieją, że testament obejmuje potomność.

W ogrodzie pojawiły się zięby, podobno jest ich więcej niż ludzi, tylko mniej rzucają się w oczy. Myślę, co by im tu zapisać.

Posprzątałam gabinet. Została mi sypialnia i druga garderoba. jeszcze raz przejrzałam

bieliznę i koszule. Kiedy byłam już pewna, że nigdzie nie brakuje guzików, zaczęłam jedną po drugiej zdejmować z wieszaków. Potem wszystko wyniosłam w workach do ogrodu, oblałam naftą

i podpaliłam. Ogień, tylko ogień jest sprawiedliwy.

Jan i Anna

Jana -nika – nazwisko ocenzone czarnym atramentem – poznałam w siedemdziesiątym czwartym, w lipcu. Skierowano nas na tę samą praktykę robotniczą, o szóstej wyjeżdżaliśmy z akademika, żeby na siódmą zdążyć do zakładów naprawczych, usytuowanych dobry kawałek za miastem. Niczego nie naprawiliśmy, sprzątaaliśmy hale, stolarnię i lakiernię, gdzie dusiły nas maski ochronne, tak że po ich ściągnięciu rozpuszczalnik nam pachniał niby eliksir. O dwunastej robiliśmy przerwę na obiad, którego nie jedliśmy z powodu tłuszcza i upału. Zupa nas nie regenerowała, woda mineralna, za ciepła i zagazowana, piekła w podniebienie, zamiast ochładzać.

Czasem jednak sprzedawano kefir w małych zielonych butelkach z aluminiowym kapslem, kupowaliśmy po dwie i siadaliśmy na drewnianych schodkach w cieniu zepsutego wagonu, czekającego na naprawę przy rampie. Rozmawialiśmy na tematy dowolne. O planach na wakacje.

O egzaminie, na którym był odsiew. O studiach, które rozpoczynały się demonstracją losu tych, co na nie nie poszli. Demonstrował go zwłaszcza majster, wynajdujący dla nas co rusz nowe śmieci, najlepiej toksyczne, unurzane w czymś mazistym. Musiał je importować z sąsiednich wydziałów. O czwartej wracaliśmy zmęczeni i brudni. Nasza świadomość rozwijała się niezgodnie z założeniami. Oto kim nie zostaniemy. Naprawczymi taboru kolejowego, choćby zepsuł się cały. Po południu, znów w akademiku, przesiadaliśmy się do sypialnych. Przesypialiśmy parę godzin, jeszcze rozdzieleni ścianą, na tapczanach nawet na kuszetki za wąskich. Wieczorem szliśmy do miasta, inicjatywa była symetryczna, obopólna. On deklarował zamiar, a ja przyklaskiwałam, bo jak się okazywało, w Rynku mieliśmy do wypicia to samo piwo, Piastowskie, w tej samej piwiarni.

Szliśmy od dzielnicy studenckiej przez wielki pusty teren, zrównany z ziemią przez Niemców,

pod lotnisko, które w środku miasta miało posłużyć jego ewakuacji. Wystartował stąd tylko jeden samolot, Niemcy się wynieśli lądem, pas startowy jednak pozostał i teraz kołowały na nim tramwaje, ciężkie odwołki, powolne, pozbawione skrzydeł, nielotne. Przechodziliśmy przez wiszący most, dudniący życiem miejskiej komunikacji. Pomijam tu Odrę, płynącą niżej, na niej kaczki, kajak bez sternika, a jednak sunący wyznaczonym szlakiem, równo, nierówno za to odbity łuk dawnego Amtu, przekształconego w nowy Urząd, oraz księżyc w górze, element

nieistotny, porównywany dowolnie, na przykład do monety nad skarbonką Muzeum, gromadzącego skarby kultury.

Annę -ównę – prawidłowo odmienione nazwisko – poznałem na praktyce studenckiej, w lipcu, w siedemdziesiątym czwartym. Zwróciła moją uwagę jej postać smukła, która – kiedy Anna wychodziła z roboczego skafandra – była podobna do statuetki wyłaniającej się z bryły. Co do

wzoru sukienki nie mam pewności. Raz zdaje mi się w groszki, równo rozsypane na płótnie, a innym razem w kratkę, falującą na materiale. Chodziła też w spodniach, jeszcze nie wąskich u dołu.

Zakwaterowano nas w akademikach, pustych w czasie wakacji. Nad łóżkiem na ścianie pozostawiono matę słomianą, przytulną, a na szafce konfigurację gwoździ służących utensyliom zawieszanym na sznurkach. Pracowaliśmy w zakładach naprawczych taboru, na drugim końcu miasta. Do pracy dowoził nas autobus przerobiony z ciężarówki, dla pewności oznaczony napisem: Uwaga, przewóz osób. – Towary – żartowali dowcipni, myśląc ani chybi także o Annie – towary,

wysiadać! – Nikt jednak nie wysiadał, grupa praktykantów zachowywała wzorową integralność, świadoma, że za chwilę zostanie poddana alienacji przez pracę.

Zamiataliśmy hale, i bez tego dość zakurzone. Kiedy chcieliśmy mieć wolną godzinę, zamykaliśmy się w którymś wagonie, za oknem nie przesuwiał się krajobraz ani nie nieruchomiał, wstrzymany semaforem, tylko czasem jakiś robotnik zakołysał hakiem od suwnicy, szukając części zamiennych, trudniejszych do wydostania niż ryby. Tam też doszło pierwszy raz do zbliżenia, jeśli za zbliżenie uznać zajęcie miejsca przy Annie. – Czy wolne? – zapytałem. – Nie – powiedziała –

przecież zarezerwowane dla nas.

Pamiętam, że inne pragnienia gasiliśmy zsiadłym mlekiem, dostarczanym za darmo przez mleczarnię, której nie udało się sprzedać słodkiego, w litrowych przezroczystych butelkach, z kapslem wybrzuszonym od fermentacji, z serwatką podmywającą brzegi śmietany. Majster szykanował nas umiarkowanie. Kiedy kurz od zamiatania utrzymywał się zbyt długo w powietrzu –

naprawiany wagon wyłaniał się z niego, jakby wypadł z torów na trakt polny, pylisty – wtedy majster brał po prostu szlauch i polewał całą halę, nic sobie nie robiąc z naszych protestów. Suszyliśmy się w słońcu na dworze.

O trzeciej wracaliśmy do autobusu, brudni, bo w łaźni nie działały prysznicze. – Tu nie kopalnia – mówił nagabywany przez nas inspektor higieny i bezpieczeństwa – nic wam nie będzie.

– Myliśmy się jednak do pasa w umywalkach, ziarnistą pastą, zmieszaną chyba z piaskiem, która dobrze rozpuszczała smary, ale zostawiała też czerwone plamy na skórze, egzemę na przedramieniu, od łokcia do nadgarstka.

Po południu kładłem się na tapczanie. Nie mogłem zasnąć, jak po długiej podróży, stukanie

kół zastępował pisk obrabiarek, nie gorszy, jakby wciąż hamować, nigdy nie dojeżdżając do stacji.

Na suficie widziałem Annę – przemieszczoną, bo naprawdę mieszkała za ścianą. Być może instynktownie chciałem naprawić pomyłkę, gdyż kierownictwo praktyk dbało, żeby piętra nie były koedukacyjne, tak że sąsiadowaliśmy niezupełnie legalnie, nie z naszej winy.

Wieczorem na ogół jeździliśmy do Rynku, rozchybotanym tramwajem, omijając remontowany most Cesarsko-Grunwaldzki. W oczy raziło słońce zachodzące gdzieś za kościołem

Panny na Piasku, łabędzie się zahaczały, a mijany po lewej Urząd Wojewódzki odbijał się w

wodzie regularnym łukiem, wygiętym przeciwnie niż zakole, tak że nurt, chociaż główny, jednak był wzięty w nawias.

Po praktyce wyjechałam do domu. Zostawiłam mu adres. Pierwszy list przyszedł gdzieś po tygodniu. Jan mnie pozdrawiał. Nie odpisałam. Potem przyszła kartka, nie pamiętam motywu, ale niewykluczone, że z zegarem, choćby ratuszowym, bo nadawca ponaglał. Czy nie dostałam listu? Czy może wyjechałam? Czy wszystko w porządku? I jak mi się podoba pomysł, aby iść we wrześniu w góry, na tydzień przed rozpoczęciem zajęć? Wydawał mi się mało oryginalny, w ogonie rajdu (dopełniacz, nazwisko zanonimizowane) po Tatrach, do którego zachęcali także inni agitatorzy. Pamiętałam, że na zdjęciach patron chodził pochylony do przodu, z rękami splecionymi za sobą, w tużurku z rozwianymi połami, tak że w górach tylko się potknąć i runąć. Zamiast tego pojechaliśmy nad jezioro pod namiot, komary cięły, a tatarak grał, przyciskany do ust, jak klarnet.

Niedaleko nas rozłożyło się wesołe towarzystwo z łódką i alkoholem. Trudno nam było odmówić.

jeśli nie napijesz się z pijakiem, to tak, jakbyś go spoliczkował. Nie szukaliśmy zwady.

W końcu lipca Anna wyjechała bez słowa, na szczęście miałem adres. Napisałem długi list, siłąc się na dowcip, który przystoi młodym. Nie odpisywała, a ja pomstowałem na pocztę. Potem wysłałem kartkę, pamiętam, że zdjęciem Zamarłej Perci, trudno było dostać w nizinnym kiosku górskie motywy, tak że musiałem dla tej jednej widokówki wykupić całą kolekcję, obejmującą zbyteczne tu krajobrazy i zabytki rozsiane od gór po Bałtyk. Proponowałem wspólną wędrowkę po Tatrach, z elementami wspinaczki, niekoniecznie po grani. Nie pamiętam, jak doszło do tego, że znaleźliśmy się nad anonimowym jeziorem, w zupełnie innym pejzażu: szuwały, brzeg lekko bagnisty, piasek czysty dopiero, kiedy wejdziesz się głębiej do wody, a wtedy, bez gruntu, już niepotrzebny, wylęgarnia komarów, perkozy.

Nie chcieliśmy też jednak pijackiej wspólnoty, amikoszonerii z – jak się okazało – hołotą. O nic nie poszło, po prostu jeden promil potrafi odwrócić sytuację o sto osiemdziesiąt stopni. Pijak, który czuje się dotknięty przez trzeźwych, rzuca się do łódki. Wystartuje w nocnych regatach, zobaczymy, dokaże czynu, a jakże. Ktoś go zatrzymuje, odepchnięty, upada. Po wodzie, ze środka jeziora, niesie się bełkot, mieszanka pieśni i czkawki. Za chwilę wszystko ucichnie i tafla będzie znów gładka, bez zmarszczek.

Wiele razy przedstawiałem okoliczności zatonięcia. W tym miejscu jezioro ma trzy metry głębokości, a nocą dno jest rozległe jak przestwór. Nurkowaliśmy przez godzinę, natychmiast po dopłynięciu do łódki. Rozsadzało mi płuca, na skroniach zaciskało mi się imadło. Cóż z tego, że świecił księżyc, perlistym światłem? Istotnie, perłę nie trudniej byłoby znaleźć na dnie.

Wydobyto go przed południem, daleko od miejsca, w którym zakotwiczyliśmy.

Po pół roku poznałam rodziców Jana. Wiele mi o nich opowiadał. Matka – z domu -owska –

była nauczycielką muzyki, dawała prywatne lekcje, które przynosiły wielokrotność państwowej pensji. W dużym pokoju stało pianino dla początkujących. Jan nigdy nie grał, mówił, że ściga go grymas matki domagającej się bardziej czystego uderzenia. Ojciec był tajemniczą postacią.

Wysoki mężczyzna, pracował w wojsku, ale kiedy o nim mówił, miało się wrażenie, że służy innej armii, niesojuszniczej. Może nas prowokował. Wszystko było idiotyczne i stało na głowie. Sklerotyczne dowództwo w rozsypce. Korpus oficerski zajęty remontem mieszkań przy użyciu wojskowych kontyngentów cementu. Poborowi torturujący się sami, na fali bez kadry.

Pan -

nik, podpułkownik w randze, tęsknił do innych porządków. Tęsknił do wojny, aliantów. Rodzice Jana byli opiekuńczy, rodzinni, byłem ich córką, przez dwadzieścia lat karygodnie zaniedbywaną.

Sobotnie obiady przeciągały się do poniedziałku. Przełykałam, jadłam, słuchałam opowieści o jedynaku Janku, jako dziecko grymaśnym i chorowitym. Teraz dostawał nowy zastrzyk chorób. Złociła się żółtaczka, rozkwitała różyczka, ospa się zablizniała na twarzy. – Mamo, przestań – błagał rekonwalescent.

Ojciec miał małe auto, zupełnie nieodpowiednie do wzrostu. Wyglądał w nim jak dorosły, który wyrósł z zabawki. Przy ładnej pogodzie brał nas w objazd po okolicy. Odwiedzaliśmy wioski, wszystkie leżące na szlaku bojowym. Front rozciągał się od stodoły przez piaski w kierunku

strumyka, znikał gdzieś na linii jałowców, wśród głazów, morenowy, polodowcowy. Ojciec sprawdzał to na mapce natarcia, korygował, archiwizował. Sam przechodził szlak na Bliskim Wschodzie i szukał potwierdzenia, że wojnę można było inaczej prowadzić i wygrać.

Przez rok Anna była fikcyjną, narracyjną sierotą. Ani razu nie wspomniała przy mnie o rodzicach. Próbowałem się czegoś dowiedzieć u koleżanek, ale one milczały solidarnie, jakby wychowywane w jednym sierocińcu. Nagabywana, kręciła coś o babce, Żydówce, której grób zamieniono na trawnik. W końcu, rozsierdzona, syczała. Żeby wiedział, urodziła ją babka – rodzice polegli w dialogu między wnuczętami.

Chodziliśmy na zniszczony cmentarz żydowski, na groby grobów. Omszałe monumenty, bo mech, podstępnie katolicki, odprawiał wśród nich po kryjomu swoje oficjum. Po roku matka ciężko zaniemogła, ujawniona przez Annę dopiero, kiedy niknęła już w oczach. Jeździliśmy do szpitala i potem sanatorium, dowożąc świeże owoce albo z nich gotowane kompoty. Pod koniec życia matka

została wegetarianką, ku uciechu mięsożernych pensjonariuszy, niesytych krwinek i białka. Nie miała zamiaru wracać do zdrowia. Zdrowie było nieinteresujące, zostawiła je dawno za sobą. Nie trapiły jej jednak żadne nazwane choroby, tkwiła w stanie pośrednim i lekarze zasłaniaли się słowem: ogólny, obojętny, nieżyt czy niedowład, zalecając głównie witaminy i tryb życia sanatoryjny.

Ojciec opuścił nas, według nie potwierdzonych doniesień, kiedy miałam mniej niż trzy lata. Pamiętam tylko rękę, wielką dłoń, którą odginałam i gryzłam. Pamiętam jej narkotyczny zapach. Były różne wersje, ale dzisiaj myślę, że nas porzucił. Nie udał się w podróż. Nie zachowały się listy z egzotycznym znaczkami, poste non restante. Nie przywiózł mi prezentu, pięknej lalki, która

zamykałaby oczy. Nie wsadzono go do więzienia, nie stracono z wyroku i kat nie zapłakał, celebrując proces rehabilitacji.

Roilał sobie niejedno, w dziewczęcej wyobraźni. Że idziemy do parku na lody i chłopcy ustępują mi z drogi, pierzchają, widząc wielki cień ojca. Tata unosi mnie i sadza na ramiona,

aby mogła zobaczyć to, czego nie widać za płótnem. Trzyma rower za kij umocowany gdzieś za mną i

biegnie w dół ulicy, a ja rozpędzam się, bezpieczna, coraz bardziej pionowa. Ma brodę. Goli brodę i drapie. Biorą go do wojska, znika na dwa tygodnie, a potem wraca któregoś ranka i siada do

śniadania w mundurze. Bawię się guzikami, z których byłby dobry pierścień dla lalki.

Na wakacje jedziemy nad morze. Wielkimi dłońmi szybko buduje z piasku zamki, niebezpiecznie podmywane przez wodę, tak że księżniczka więziona w wieży północnej nie doczeka, ulegnie erozji. Wchodzimy coraz głębiej, oplątuję nogami jego biodra, skóra cierpnie, gęsia, i czuję, jak woda pluszcze, zamknięta między naszymi ciałami. Podtrzymuje mnie ręką, najpierw pewnie, a potem coraz słabiej, na chwilę niknę, ale znów się wynurzam, unoszę się na fali jemu sięgającej do ramion, wiem, że nie mam już gruntu, pod sobą czuję głębię, on wciąż idzie gdzieś obok, ale ja, ja tylko przebieram nogami i – płynę, płynę sama. – Patrzcie, jak płynię Anna!

– wołają z brzegu obserwatorzy. Potem wciera we mnie szlafrok, aż parzy.

Czekają nas konflikty wieku dojrzewania. Konfiskuje mi szminkę i nie będzie tolerował znikania na noc. Muszę się opowiadać (muszę się opowiadać, z braku historii), dokąd idę, z kim i o której wracam. Nie wolno mi się spóźniać – ojciec mówi: spaźniać, jak wuj, brat matki – choćby o pół godziny. Nie wolno mi nie zdążyć na tramwaj. Kiedyś wracam już dobrze po czasie i czuć ode mnie alkohol. Gdzie byłam? – U koleżanki. – Wtedy jeden raz, jedyny, ojciec uderza mnie, otwartą dłonią w policzek. Długo nie mogę zasnąć, w głowie szumi mi piwo, pocałunki puchną na wargach, a policzek pali ze wstydu.

Puszczalam wodze dziecięcej imaginacji, mój ojciec się rozmnażał. Raz był wysokim mężczyzną, którego bałby się w szkole woźny, dokuczający mi, odkąd odkrył, że to ja przeciskam się przez dziurę w siatce i chodzę na skrót przez trawnik. Innym razem był mocno partyjny, tak że mogli nagwizdać nam socjalistyczni planiści, którzy chcieli nasz dom przebudować na mieszkania dla kolektywu. Kiedy chorowałam, był lekarzem. Kiedy grzeszyłam, księdzem, co ze względu na

mnie nie mógł utrzymać się w celibacie i papież go przeklął surową ekskomuniką. Był opozycją, kiedy rządzący mieli przegrać wybory. I rządzącym, kiedy opozycja mu już nie zagraża.

Próbowałem rozwiązać tajemnicę ojca. Zostawił Annie nazwisko. Pojechałem z cichą misją do archiwum. Brakowało wszystkiego, metryki, wpisu i aktu. W księdze parafialnej ktoś wyrwał całą kartę, wpędzając w mroki pogaństwa rówieśników spod tego samego znaku, Panny. W centralnym zarządzie zakładów karnych nie było go w ewidencji ani w rejestrze skazanych. – Być może – powiedziała mi urzędniczka – skazanie się zatarło. – Odnalazłem jednak i ten rejestr, skazań zatartych (naprawdę wszystko zostaje, nic nie ulega kasacji) – tak, było tam nazwisko, opatrzone gwiazdką, zmarł na pięć lat przed urodzeniem Anny. Należał do tajnej organizacji i nigdy się nie przyznał, a ustrój już obalił z za grobu.

Nie dały wyniku poszukiwania genealogiczne, rodowe. Drzewo skręcało się jak wiąz na starość, oplątany na domiar bluszczem przyszywanych kuzynów. Stojący w pustym polu pomnik przyrody. A obok samosiejka – puszczała pierwsze listki.

Czasami go sobie wyobrażam, wyobrażam sobie, że żyje. Przychodzi pod szkołę, po latach, już bezpiecznie obcy. Płoszy go woźny mający oko na pedofilów. Staje schowany za rogiem, na drodze do domu. Widzi, jak Anna wynurza się z za żywopłotu i w towarzystwie dwóch koleżanek go mija, nie przystaje, nawet nie zwalnia. Na plecaku zamiast tornistra miga odblaskowe czerwone światełko. Nie stopu, pozycyjne.

Mój pierwszy kontakt z odnośnymi służbami miał miejsce na drugim roku. Składałam podanie o paszport do krajów kapitalistycznych, kk, nowej Kakanii. Dostałam bez przeszkód. Pojechałam, wróciłam, trzeba było oddać paszport, żeby gdzieś nie zawieruszył się w domu. Wąsaty mężczyzna w skórzanej końskiej marynarce narzuconej na tenisową koszulkę podsunął mi

krzesło. – Herbata? – nagle zaproponował. W rogu pokoju na krześle stał ceramiczny, trochę obtłuczony dzbanek, podłączany do prądu. – Tu nie kosztuje funta. – Dostałam herbatę w szklance.

Piliśmy przez chwilę w milczeniu, nabierając śmiałości.

– I co, była pani? – zapytał.

– Byłam – odpowiedziałam.

– I co pani widziała?

– Co widziałam? jak to, co widziałam?

– No, co pani widziała, jakie obserwacje?

Okazało się, że trzeba było mieć oczy otwarte. Podałam jakiś adres, gdzie zatrzymaliśmy się w pierwszym łóżku ze śniadaniem, zanim dotarliśmy na willowe przedmieścia, do przyjaciela pana

-nika, sprzed wojny. Podałam kilka niewinnych faktów, do znalezienia w każdym przewodniku. Zdradziłam parę dat z życia domu Windsorów. Nagle oficer zapytał o Janka. Skąd wiedział, że byliśmy tam razem? Spłoszona, nie zaprzeczyłam. Pytał, w jaki sposób go poznałam. Pytał i

zapisywał. Potem przeczytał mi moją własną relację, dostosowaną – mówił – do potrzeb protokołu, zamiast: ten, pisał: tamten, i żeby osłabić niepożądany efekt powtórzeń, dodawał: tu już

wzmiankowany. Dopiłam i podpisałam.

Mieliśmy z Anną jechać do Anglii, po drugim roku. Zapraszał nas nieoficjalnie pan -mann, znajomy ojca sprzed wojny. Kiedy poszedłem po paszport, poproszono mnie do drugiego pokoju.

– Pan Jan -nik – przeczytał moje dane urzędnik z rozłożonej granatowej książeczki. –

Chcielibyśmy uzupełnić kilka informacji. Chcielibyśmy, żeby pan nam pomógł. Od razu zapytał o Annę. – Tak –

powiedziałem – ma znamię na lewej łopatce. – Nie mając nic do wyjawienia ani też nic do ukrycia, postanowiłem zarzucić ich masą nieistotnych detali. Do rzes używa tuszu wyłącznie czarnego. Lubi niesłodzony dżem z malin. Umiarkowanie przesądna, uważa, że kot, który przebiegł nam drogę,

zachowuje ważność tylko do następnego skrzyżowania, tak jak znak drogowy. Sypia wyłącznie na

boku – tu skłamałem, bo zdarzało jej się zasnąć przy stole. Czyta poezję klasyczną, powiazaną w sonety. Słucha kwartetów smyczkowych. Nie słucha oper. Z ptactwa imponuje jej kowalik, który więcej biega po pniu, niż lata. Z ryb lubi solę, ale obawiając się ości, połowę zawsze zostawia. Kiedy wypieka semik, mak przepuszcza trzy razy przez maszynkę do mięsa, żeby był lepki i miękki. Oficer tu nie dostrzegł sprzeczności, nie zapytał, co ma mak do semika.

– Anna – rozwodziłem się – ma pewne wady, z którymi należałoby walczyć. Nie jest punktualna, potrafi przyjść już nie tyle po czasie, co po prostu w innym terminie, twierdząc, że zasiedziała się chwilę. Wylewa fusy po kawie do zlewu, choć wie, że ten zaraz się zapcha. Nie odkłada rzeczy na miejsce, a zaklina się, że ich nie ruszała. Do irytacji doprowadza ją ręcznik, jeśli wisi wilgotny. Nie liczy się z pieniędzmi, a powinna.

Boi się panicznie pajaków. Odrazą napawa ją befsztyk krwisty, przepada natomiast za oleistą, mdłą chałwą. Nudzi się przy telewizji, ale w teatrze słucha z napiętą uwagą dialogów, kabotyńskich, jakimi celują w siebie aktorzy z przesadną dykcją. Kolekcjonuje koleżanki, jeszcze od szkoły podstawowej. Potrafi z nimi godzinami rozprawiać o rzeczach nieistotnych – (jak te, które nadal relacjonowałem).

– Jeśli chodzi o incydent w pociągu, to owszem, posiadała ważny bilet na przejazd do stacji, a jedynie odmówiła okazania go, gdyż uznała, że pociąg jest brudny, śmierdzący i – cytuję – zimno w nim jak w psiarni. Konduktor ujął się honorem całego kolejnictwa, wypisał mandat i bezprawnie zatrzymał legitymację. Dojechaliśmy na miejsce wieczorem, już dobrze po jedenastej, bo pamiętam, że tramwaj był nocny, z numerem jak negatyw, biała piątka na czarnej tablicy, a nie odwrotnie. Bilety sam skasowałem tym razem. Bieliznę nosi na ogół jedwabną, a bawełnianą tylko w czasie mrozów.

Od dawna widziałam jego zainteresowanie dla płci jako takiej. W sklepie wybierał kasę z kasjerką najmocniej umalowaną, której odrosty już zaczynały wkręcać się w papiloty. W tramwaju ustawiał się wśród pasażerek, a w pociągu, sędzę, że był w stanie zgwałcić cudzą miejscówkę, byle tylko siedzieć naprzeciw jakiejś wagonowej piękności. Na ulicy wzrok mu przeskakiwał od twarzy do twarzy, jakby kobiety szły nią zawodowo, gonił dla sportu plecy z widoczną pod bluzką haftką od biustonosza, a w sklepie obuwniczym patrzył klientkom na nogi. Niekiedy to zainteresowanie skupiało się na mnie. Przeważnie robił wtedy wszystko na odwrót. Zapalał światło, kiedy ja chciałam je zgasić. Odsuwał się, kiedy próbowałam go przyciągnąć, a przywierał, gdy ja szukałam dystansu. Uciskał za mocno i zwalniał uścisk w momencie, w którym właśnie należało zadzierzgnąć. Po akcie, zamiast zostać, zostawiał tylko po sobie miejsce. Dla kogo?

Latem nabrałam bardziej konkretnych podejrzeń. Wyjeżdżał służbowo, a wracał prywatnie, jednak nie do końca obecny. W łazience za długo lał wodę, jakby prysznic zamienić w fontannę. Napoczął nową kromkę, a poprzednia, ledwie nadgryziona, leżała wciąż na talerzu. Potrójnie słodził herbatę, odpowiadał zdawkowo na pytania wymagające obszernych odpowiedzi, pytany zaś o godzinę, rozwodził się nad upływem godzin.

Ninę (fikcyjne imię) znałam już z włosów, zostawianych dyskretnie na jego marynarce. Jej głowę z wybrakowaną fryzurą zobaczyłam pierwszy raz w oknie taksówki, z półprofilu, drugą połową zwróconego ku współpasażerowi, ładząco podobnemu do męża. Potem kilka razy miałam okazję podziwiać już całą postać, w zwiewnych sukienkach, wysoką na obcasach, w pantofelkach skromnie ograniczonych do pasków.

Postanowiłam na jakiś czas wyjechać, zniknąć, bo choć nic mnie nie ciągnęło, to wypychało wszystko. Czułam się jak tumor, który trzeba usunąć, nawet jeśli miał się odnowić.

Obserwowałam u Anny okresy irytacji, tak wzmożonej, jakby na kilka lat z góry przechodzić syndrom praemensis. Nie było właściwego miejsca dla żadnego przedmiotu. Żeby nie

zwilżać ręcznika, chemicznie myłem ręce, kawę wypijałem z fusami, udając, że neska, i befsztyk wysuszałem na popiół. To wszystko irytację doprowadzało do furii.

Cierpiało życie małżeńskie, zawieszona na kołku. Potrafiłem dotknąć Annę czymkolwiek, a szczególnie rozpalonym żelazem. Syczała, jak wtedy, kiedy się hartuje, zanurzane w naczyniu z wodą.

Inne kobiety w tym samym czasie emanowały spokojem. Kasjerki delikatnie podawały mi

resztę, a nie ciskały. Klientki w sklepach przymierzały kostium, nie szarpiąc za rękaw, i nie tupwały w nowych czółenkach. Pasażerki nawet na rozwężłach, kiedy tramwajem trzęsie niczym grzechotką, ocierały się o mnie delikatnie, jak smyczki o instrumenty. W pociągu dalekobieżnym

41

upływała nam podróż od słowa do słowa na pogawędkach i tylko przy zdejmowaniu z półki walizki, przez chwilę chybotliwej nad głową sztangisty, dochodziło do rękoczynów. Kelnerki nie radziły mi, żebym zrobił sobie obiad, jeśli jestem głodny. Bileterki wpuszczały mnie do kina, świeciły w ciemności latarką, na odchodnym ścisnęły za przegub i nikt do tego nie żądał, abym odwracał wzrok od aktorki.

Z Iną zaczytywaliśmy się eklogą. Upał w mieście nie dawał odetchnąć, więc jechaliśmy tramwajem do pętli na Zakroczyńcu, a stamtąd szliśmy wałem przeciwpowodziowym w stronę Lasów Opackich, wymieniając uwagi na temat roślinności łagodnie zaokrąglonej na skarpie. Wtórowały nam drozdy melodyjnym pogwizdem, powtarzanym jak w radio, Dawid, Filip i Dawid (imiona niefikcyjne). Siadaliśmy w miejscu ustronnym, niedostępnym dla świadków. Ina zostawała w sandałach, skąpych, zasłaniających niewiele więcej niż okulary (które mi zdejmowała, tak że korona klonu zawieszona nad głową traciła swoje liście pięciopalczaste, ostre, a zyskiwała –

kolosalny owoc –miękką kulistość). Teraz oddychaliśmy głośno, pomimo upału.

Kwestura opłaciła nam ten sam hotel, trzy gwiazdki, prysznic wiecznie ciekący – stalaktyt, biurko bez Biblii, ale pełne broszur zachęcających nas do odwiedzenia zabytków, kolegiaty, dawnego zespołu pijarów, z chłodną kryptą, zamienioną w winiarnię, za miękkie łóżko, zapadłe pośrodku jak krater. Piszcząco jednostajnie, niby rower z zatartym jednym pedałem, wspinający się na wyniesienie, skąd widać dobrze zachowane mury obronne, okalające miasto od strony potoku, za zakrętem droga opadała i piszczenie przechodziło w dźwięk przeciągły, niemal jednostajny, dopóki się nie rozpędzi i nie zatrzymać pedałów – wtedy jak ręką odjął, ustawało.

Po powrocie spotykaliśmy się w biały dzień, bo noce nadal należały do Anny. Nie wzbudzaliśmy podziwu ani skandalu. Bezdomni i bez samochodu, chowaliśmy się w kinie na seansach przedpołudniowych, niekiedy dwa razy oglądając ten sam obraz, stereoskopowy. Widzieliśmy, uprzedzając wypadki, co za plecami chowa charakter czarniawy. Raz natknąłem się na sąsiadkę przy kasie. Udała, że mnie nie poznaje. – Panie Janku, nie poznaję pana! – nie zawołała.

Raz zostałem przedstawiony koleżance. – Bardzo mi miło – skłamałem. Zaczęliśmy używać taksówek, gdyż tramwaj coraz częściej narażał nas na mijanki.

Ni stąd, ni zowąd – Anna wyjechała. Zgodnie z logiką wypadków powinniśmy w tym okresie wzmóc działalność. ja jednak zataiłem fakty i wieczorami nadal pozostawałem w domu, milcząc do lustra, domyślając się, czego mi nie zakomunikuje zgaszony telewizor, jadłem nie złożone kanapki – plastry sera połykałem osobno, piłem tylko mocny alkohol, pędzony na cokolwiek, za ciepły, bo lód skończył się już pierwszego wieczoru, a potem nie nadążył zamarzać. Anna nie powracała, zdradzałem kochankę.

– W tym punkcie chciałabym wyjaśnić, że okres nieobecności niesłusznie nazywany jest

separacją, gdyż nie czułam się oddzielona, przeciwnie, nigdy przedtem nie byłam równie zespolona, jedna, kiedy szłam przed siebie, siadałam na ławce, nawet kiedy się rozbierałam, odkładając

ubranie na krzesło, odczuwałam wyraźną jedność, jaką musi czuć kadłub.

– Nieobecność Anny bardzo zbliżyła mnie do niej. Żeby pomyłka niczego nie zakłóciła,

wyłączyłem telefon. Gotowałem podwójne porcje, nie blokowałem łazienki, a budzik nadal nastawiałem na siódmą, aby licha nie przespać. Od początku byłem nastawiony na powrót.

– Do L., ale marszruty nie trzeba brać dosłownie, bo jak wspomniałam, podróż była odśrodkowa i cel zostawiała za sobą. L. jest małym miastem, zabudowanym zgodnie z planem urbanistycznym, w którym na uwagę zasługuje koleżanka od lat nie odwiedzana, fara, zabytkowe nad rzeką spichrze i nie pozwalający zapomnieć pomnik ku czci, niestety zbezczeszczonego kubłem białej farby.

– Inaczej wyglądało wszystko i na dobrą sprawę należałoby od nowa relacjonować.

Czynności w takich razach wykonujemy rytualnie, z rozmysłem i na ołtarzu. Dokładnie co do stopnia zaparzamy napary. Recytujemy poranną gazetę, jakby sprzął ją heksametr. Golimy się dwukrotnie, niepomni, że maszynka z podwójnym ostrzem zapewnia doskonały rezultat już od pierwszego razu. Drzwi zamykamy i zamykamy, a skrzynkę na listy, odwrotnie, długo trzymamy otwartą i sprawdzamy, czy wiadomości ktoś nie przekazał bezpośrednio, rylcem na ścianie.

– Pisałam długie listy nie do adresata. Szczegółowo omawiałam okoliczności, pogodę, nieskazitelną, w pełni, ze słońcem w stanie rozkładu, harmonogram dnia poprzedniego i plany na bieżący, ujęte w dwóch wariantach, zależnie od tego, czy śliwki już dojrzały do knedli, czy też jeszcze warto poczekać i tymczasem zadowolić się nie gorszym omletem. Oddawałam sprawiedliwość historii, doceniałam twoje zasługi, jak mogłam ci jednak wybaczyć, że kiedy...

– Kiedyś odkrywamy dawno wyłączony telefon i nie możemy sobie darować zaniedbania.

Wbijamy wtyczkę do gniazdka i długo czekamy, zawiedzeni, że nic nie dzwoni, bo aparat nie przechował niedoszłych połączeń. Któregoś razu, wchodząc do mieszkania, słyszymy jednak dzwonek na alarm, biegniemy, lampa, dotąd stojąca, spada z kredensu i rozbija się na drobne, jakby światło trafiło na pryzmat, chwytamy słuchawkę – za późno, za późno o jeden sygnał.

– ...kiedy wyjechałam poprzednim razem, zupełnie zaszuszyłeś kwiaty. Mam nadzieję, że teraz pamiętasz, ten na oknie w łazience musi stać w wodzie, i co więcej, trzeba go jeszcze wstawić pod prysznic, z plastikowej butelki, nie z kranu, broń Boże. Wyrzuć paszтет z lodówki, bo na pewno spleśniał, nie zapomnij zapłacić raty, żeby znów nas zindeksowali, w wolnych chwilach módl się także za mnie (suplika grzesznika może być skuteczna), muszę tymczasem kończyć, nie ściskam.

– Mimo to mówiłem do słuchawki, która łączy ekspresję z percepcją w jednej oprawce. Nie zrażał mnie sygnał, jednostajny, niby słowotok, co zaciął się na spójniku. Wygarniałem wszystko, 43

terapeutycznie, wzięwszy głęboki oddech brzuszny. Kto zepsuł przekładnię, redukując biegi tak, że wsteczny wskakiwał od razu po trójce? Kto trzyma za długo otwartą zamrażarkę i hoduje w niej

złogi lodu? Kto zbił ze złości kryształ o ileż cenniejszy od lampy? Kto śpiewał głupi refren i mimo że prosiłem, nie przestał? Dlaczego zbliżenie wydobywa dystans? Co z nami, których pluralis nie ma już za grosz majestatu? Co z fikcją?

– Będziemy ją ciągnąć – zapewniała Anna – w odcinkach, niech pęcznieją teczki i skoroszyty, niech pieni się woda. Ufarbuję włosy na rudo. Ty zapuścisz dla symetrii brodę i będziesz sprawdzał ręką, czy prawdziwa, przeczesywał ją palcem jak szczotkę do paznokci. Będziemy przeplatać wątki i będą się mnożyć postaci, zwłaszcza na imieninach, urządzanych w zgodzie z kalendarzem. Zapłodniona jeszcze zimą, urodzi się dziatwa, zatem jesienią infantylizm ogarnie dziadków. Chłopiec – będzie trochę seplenił. Dziewczynka – odziedziczy piegi po matce, co do jednego. Tymczasem bobasek, kłębowisko genów, niech bawi się pod stołem (a niedaleko

stąd, w kolejnym sanatorium mama naprawdę umiera, po wyczerpaniu całego rejestru chorób). Antoś urodził się jakiś miesiąc przed śmiercią mamy i płakał na pogrzebie, pewnie z głodu, bo chyba nie za nią. Rodzice Jana znowu otoczyli nas opieką. Matka karmiąca, wiozłam go tam co sobota, na weekend z pełnym wyżywieniem. Czasem był głodny już w pociągu i odsysał mnie dyskretnie, pod swetrem. jednak i to wywoływało zgorszenie. – Tu nie Wars – warknął raz współpasażer, właściciel kanapki z masłem.

Był dobrym dzieckiem, wcale nie chorował, nogi rosły mu proste, a włosy zakręcały mu się za uszami. Gaworzył, sylabizował, seplenił. Rósł szybko, wyrastał z kubraczków, przeskakując co dwa numery. Niestety, był trochę podobny do ojca. W policzkach mu się robiły dołeczki, nadając twarzy wygląd niepoważny, z powagą nie licujący. Nos zapowiadał się niewąski, z miejscem na

katar. I usta, tylko patrzeć, jak się wygną w łuki połączone wspólną cięciwą, napiętą, wyrzucającą celną odpowiedź. Tymczasem o nic nie pytałam, pchałam wózek przed siebie, przy wjeździe zaś na krawężnik przeciwnie, ciągnęłam, bo trzeba było uważać, żeby nie nadwerżyć koła, które lubiło w takich chwilach odpadać.

Urodził nam się syn, Antoni, dla którego odtąd wszystko będziemy robić. Będziemy zarabiać, odkładać i mnożyć przez mnożnik inflacji. Zaszczepiać mu wiedzę, zasady i rozrzedzone zarazki odry. Życie nabierze sensu i kolejności, co dzień fotografowane w albumie, wyskalowane –

odkąd tylko stanie – na framudze w drzwiach kuchni, dokładnie, tak by nie uronić ani milimetra przyrostu. Podobny do matki, udał się nam jednak bez powikłań (ją charakteryzujących). Miał ciemne oczy, które nie wyjaśniają, błyszczące od gorączki patrzenia. Słuch czujny, w uszach odkrytych jak do paszportu. Wargi czekające na wyraz. Smak dobry, wyspany z mlekiem. Nos

znaczny, węch zapewniony.

Zmienił się stosunek Anny do mnie. Porównywała nas obu, aby zawczasu pokierować rozwojem, omijając rafy i wady. Przyglądała mi się uważnie, pod różnym kątem, kiedy z szafy wyjmowałam ubrania i przymierzałam, zakładałam jedno na drugie, jak model cebuli, na którym się przecinają kierunki, trendy go opasują, cisną się spodnie, furkoczą marynarki, wielorzędowe, wielostronnie modne. – Spróbuj zebrać się w pasie – proponowała Anna. – Podwiń rękawy. I poluzuj krawat. – Przecież nie mam krawata – oponowałam. – Nie szkodzi, i tak poluzuj, wytwarzasz napiętą aurę, która wypacza rozwój, kiedy on wkracza właśnie w fazę, raczkując. Pozostawaliśmy dla siebie niedotykalni. Nie powiem, było mi z tym dobrze. Nie tęskniłam do ciała, które pachnie potem i dezodorantem, zamiast oliwką i moczem. Nie marzyłam już, aby ktoś się położył koło mnie i objął mnie ramieniem, boleśnie pociągając za włosy. Żeby przywarł, przyciskał, jeździł palcem po łądzwiach, delikatnie, tak że prawie parzy. A potem znowu mocno, całą dłonią, szorstką niby gąbka bez wody, po udach, coraz słabiej strzegących wejścia, jak portier, co omdlał. Mięsił piersi, z których nic nie cieknie, mimo że gotowe są pęknąć. Na chwilę przestał, skupił się na pępku, gdzie zawsze mi się gromadzi mały kłębek włókna startego z ubrań, jakby

podkoszulki chciały przeniknąć pod skórę. Przewrócił mnie z pleców na brzuch, a potem znowu na plecy i turlał niczym z górki. Zatrzymał i sprawdził, czy się nie skaleczyłam w duży palec u nogi, na wszelki wypadek go possał i rozmasował, wspinał się dalej w stronę kolan, zlizywał miejsce przy miejscu. Łaskotało i wbijałam mu pięty w bok jak ostrogi. Potem czułam tylko ślinę, gorąco, wewnątrz ślizgało się, przesuwano, nie znajdując nigdzie oparcia, na szczęście, tak że nie było jak przestać. Czym jest błogość? Płynem, skoro rozlewa się po ciele, limfą? Mięśniami, który ściąga, tkanką w spazmach? Nerwem czy przeciwnie, uśmierzeniem nerwu, jeśli wszystko

znika, jak ból,

gdy go odjąć. Można wcale nie tęsknić. Czuć ulgę w łóżku jednoosobowym. Ucho nie jest od tego, aby je penetrować językiem. W piersiach zbiera się mleko, nie dla mięsożernych. Sama radzę sobie z gąbką sięgającą łopatki, półobrót dobrze służy obu obojczykom. Brzuch też sam wraca do normy, nie od głaskania, a mięsień trójgłowy obywa się doskonale bez czwartej, od której tylko ambaras.

Antoś spał, ile się dało. Budził się głodny, jadł, a potem znowu zasypiał. Chodziłam z nim na długie spacerunki po parku: hibiskus; aster, bratki, prymula i trawa, a wśród niej mlecz wynikały z zaniedbań ogrodnika.

Osobiście uważam, że dziecko powinno mieć ojca. Spędzam z nim co drugi weekend, a w ciągu tygodnia dokonuję okazyjnie drobnych napraw, jeśli coś zapcha się i pozostaje niedrożne, korki pójdą z powodu odkurzacza, pralka udaje, że płucze, nie zmieniając wody, albo junkers płonie, chociaż ją zakrecono. Najczęściej idziemy do parku na huśtawki. Antoś huśta się, a ja napędzam. Annę poznałem na praktyce w zakładach naprawczych, w siedemdziesiątym czwartym,

miała niebieski kombinezon, który ściągała od góry i w pasie zawiązywała rękawy.

Lekcje

Nie wiem, skąd się biorą, nigdy nie zamieszczałam ogłoszeń, jakie niekiedy się czyta przyklejone na słupie: doświadczony nauczyciel udziela lekcji – tutaj wymieniony jest język – w każdym zakresie, na wszystkich poziomach, dla zaawansowanych i nieuków, numer telefonu powtórzony kilkakrotnie u dołu kartki, pociętej w szerokie frędzle, tak że tylko oderwać swój skrawek i dzwonić, i jeszcze przez telefon brać się do nauki. Nigdy nie zamieszczałam ogłoszeń, nie jestem emerytowaną nauczycielką, której młodszy koledzy podsyłają uczniów o nietęgich głowach, co przez dziesięć lat w szkole nie zdołali zapamiętać stu słówek, nie jestem także znaną w całym mieście Angielką, udzielającą konwersacji z każdym otwarciem ust, chcąc nie chcąc – pozostałością po wojnie, aliantką zapraszana przy okazji rocznicy pod pomnik, gdzie kamienieje w swych pożółkłych koronkach, z czarną torebką przytrzymywaną jak lejce, oburącz, bladą staruszką, marmurową na tle oficjeli w porządku niedoryckim, jałtańskim, gipsowym, wymownych w nowych

narzeczach o ubogiej, prostej gramatyce z przewagą imperatywu. A jednak muszę opędzać się od alumnów, skądś przekonanych, że tędy właśnie wiedzie droga do wiedzy, przez furtkę, ustępującą dopiero, kiedy popchnąć ją nogą, przez ogródek trochę zaniedbany, alejką wysadzaną marniejącym bukszpanem, na ganek z zepsutym dzwonkiem i przypiętą obok wyblakłą, prawie nieczytelną

kartką, żeby pukać, nie dzwonić.

Pukają tylko nowi. Starzy wiedzą, że drzwi są otwarte, wystarczy nieco je unieść – bo przez tyle lat zawiasy lekko się opuściły i dolna krawędź blokuje się w rowku powstałym nie wiadomo od czego – energicznie pociągnąć do siebie, z głośnym szcęknięciem ustąpią, wtedy trzeba wejść, rozebrać się w holu, jeśli nie mamy akurat ciepłej jesieni i nie przyszliśmy w samej koszuli, wejść do pierwszego pokoju, usiąść przy pustym stoliku i chwilę czekać, przeglądając zeszyty, albo też podsłuchiwać wymowę dobiegającą z gabinetu, zanim przyjdzie wreszcie nasza kolej, dzień dobry, starym zwyczajem najpierw opowiedzmy, jak minął weekend i tydzień.

Ustalałam godziny tak, by dać sobie między nimi chociaż kwadrans wolnego, zagrzać

herbatę, zakrzętnąć się w kuchni, coś przegryźć lub pociągnąć łyk koniaku, kiedy dokuczał reumatyzm i tliła się nostalgia, niedokładne tłumaczenie saudade. Lekcje zawsze się jednak przeciągały i dopiero szczęknięcie drzwi od ganku przypominało o końcu godziny. Miałam ich powiązanych w pary, wiedziałam, że gdy wychodzi Anna, na swoją kolej czeka już Waldek, bo następują po sobie jak po trzeciej czwarta i choć tylko mijają się, czasem co najwyżej podsłuchują, już opanowane, końcówki praeteritu, choć składają swoje wiadomości w osobne teczki – to w

istocie przestają ze sobą, konwersują, korespondują, stawiają pytania w szyku pytającym i udzielają rozwiniętych, wyczerpujących odpowiedzi, którym przemieszczenie o kwadrans nadaje wymiar

epicki.

Niekiedy ktoś nie przychodził i wtedy to ja czułam się jak sztubak, któremu ofiarowano wolną lekcję, wyłom w murze – szybko przeciskajmy się tędy, póki nikt nie widzi i nikt nas – hola!

dokąd? – nie zatrzyma. Co można zrobić w ciągu godziny? Niejedno, przejechać sto kilometrów, wielokrotnie ryzykując życie, albo przelecieć nad połową kontynentu, zobaczyć miasta i Alpy. Można dać wykład, przedstawić wiekopomny dorobek, zrozumieć kilka teorii, wypowiedzieć się, przyjąć sakrament, zapłodnić, zostać zapłodnioną. Można też zgłodnieć, przejść do kuchni, znaleźć wczorajszą bułkę i posmarować ją masłem. W lodówce miałam niewiele ponadto.

Topione sery w

srebrnej folii, wciskającej się w zęby jak plomba, bo nigdy nie dającej się rozwinąć do końca. Pomidory z usuniętym smakiem pomidora. Paszтет albo pastę, trudne do odróżnienia i stare, przeterminowane.

Też czułam się przeterminowana, od dawna jadałam już tylko regularnie obiady, przynoszone przez opłacaną posłankę z jadłodajni za rogiem, dokąd jednak sama nie chodziłam, żeby się nagle nie znaleźć w wielodzietnej rodzinie zebranej nad strawą przy stole. Robiłam mocną herbatę bez żadnych dodatków. Parzyłam ją przez pięć minut, piłam bardzo gorącą. Dochodził

ostatni kwadrans. Cóż można zrobić przez kwadrans? Tyle co zawsze, przejrzeć tygodnik, uważając żeby nie zasnąć, posprzątać ości (idealny dla rzeczy rzeczownik, złożony z samych resztek)

rozwłócone po podłodze przez kota. Wychodziłam do ogródka nazbierać kwiatów, niech pachną komuś, kto był zapewne już w drodze.

Okazał się debiutantem, musiałam mu otworzyć. – To są kwiaty – wyjaśniałam. Męskie kwiaty, nieokreślone, mniejsza o ich dokładną nazwę (nazwy nigdy są wystarczająco dokładne). Stoją w wazonie na stole. Pachną. Więdną, ale nie od razu. Proszę uważać, żeby ich nie stracić – jak spadnie, kryształ rozbije się na dziesiątki kawałków, których nie połączy żaden klej ani tryb łączny, używany w wypadku niebezpieczeństwa, które na razie czyha, gotowe jednak nastąpić – tu

wybiegłam daleko za program. Rozumiał, przytakiwał.

Co robił w ciągu tygodnia? Ach, nic takiego, doprawdy. Uczył się – co właśnie udowadniał. W kinie był dwa razy, na filmach zbyt powikłanych, aby je opowiadać. Grał w piłkę. Wygrał? Nie, przegrał, niestety. – Ile? – Cztery do zera. – W piątek wieczorem udał się do kolegi na urodziny. –

Które? – Osiemnaste. – Moje gratulacje. – Jedli kanapki z pasztetem, nie pili, to znaczy soki, tak, owszem. Kupił przyjacielowi płytę na prezent. – W prezencie, nie mówi się: na prezent. – Jaką

płyte? – Z muzyką – której tu nie wydobędziemy.

Robili błędy, ich prawo, ale co gorsza, zatajali przede mną prawdę. Nie wspominali o zniechęceniu, które ogarnia, kiedy trzeba wstać rano, a zupełnie nie ma do czego (mówi się:

wstawać od i do, formy w pełni poprawne). Przemilczali stany lękowe, o których przecież zdrowiej jest krzyknąć niż milczeć, krzyknąć, wołać o pomstę. Nigdy z ich ust nie wydobycie się przekleństwo, a przecież było co przekląć. I nigdy, nawet szeptem, nie nazwali mnie starą wiedźmą, choć dbałam, aby to słówko ozdabiało ich słownik. Nie sądzę, aby mówili je po lekcji – wtedy

milkli zupełnie.

Ja też – muszę wyznać – nie odsłaniałam im wszystkiego. Bardzo rzadko przyznawałam się do wątpliwości. (Wahałam się co do akcentu w słowie: akurat.) Pomijałam rozległą, ale zawikłaną sprawę zgodności imiesłowów z czynami. Kiedy opowiadałam o latach studiów i emigracji,

przeskakiwałam epizod z R-em, bo do dziś mnie przyprawia o mdłości (słyszę jego głos, trzaśnięcie drzwi, kroki na głośnych schodach, pisk bramy i potem zwykły ruch na bulwarze, dźwięki nie

skierowane już do mnie).

Przemilczałam czasy przyjaźni z Norą, jej anglosaski akcent, wyzywające maniery – nawet teraz siałaby zgorzenie papierosem doklejonym do wargi, nie zająknęłam się zwłaszcza o ostatnich miesiącach w azylu, dokąd jeździłam codziennie, najpierw metropolitanem, a potem omnibusem z

trudnością wspinającym się na wzgórze, ostrożnie je trawersującym w dół po zachodniej już stronie

– słońce prześwietlało kurz, którego zawsze są kłęby, wieśniak siedzący po prawej mrużył oczy i zmarszczki na jego twarzy zapadały się głębiej, w skiby i rowy – wysiadałam tuż przy bramie, kierowca odprowadzał mnie wzrokiem, a pielęgniarka witała uśmiechem: – Zasnęła, lepiej jej teraz nie budzić. – Nigdy nie wyjaśniłam im palącej aktualności form zaprzyszłych, jedynek, które

aspirują do prawdy.

Anna była zaawansowana. jak wszyscy, pochodziła z dobrego domu, co tutaj oznacza mieszkanie w szarym bloku z widokiem na śmietnik, trzepak i piaskownicę lub kwietnik, trudne do odróżnienia, jednakowo pustynne, wymarłe. Anna wyczerpująco mnie informowała o życiu. Ubierała się, jak sądzę, modnie. Czym bowiem wytłumaczyć rajstopy zawsze czarne, kusy, nigdy nie zapięty cardigan, buty nie wiadomo na jakim obcasie, bo ginął w grubej podeszwie, spódnice krótszą niż szorty i kolczyk zmieniający miejsce co tydzień, przeskakujący od brwi, przez nos, do wargi. Na głowie nosiła dyskretny aparat słuchowy, słuchawki, które nawet raz przymierzyłam. – Ciszej! – wrzasnęłam podobno, a więc zadziałały. Wciąż dobrze słyszę, a okulary zakładam tylko do gazet, drukowanych petitem. Anna, z niewielkimi błędami, opowiadała.

Kiedyś wracała od koleżanki. Było już późno, paliły się lampy, deszcz przestał padać i światło odbijało się wyraźnie od kałuż. – Może lepiej – odbijało się w kałużach, nie od kałuż. – Nie spieszyła się specjalnie, przystawała przed wystawami nigdy nie gasnącymi. Było pusto, z rzadka przejechał samochód, na przystanku pod dachem nie było nikogo, wszyscy się doczekali na ostatni 49

autobus.

Miała już niedaleko do domu, kiedy z bramy wyszedł mężczyzna, i nie może powiedzieć, że

rzucił się w pogoń, ale ruszył, ruszył za nią. Anna szła coraz szybciej i zaniepokojona, co chwila zerkała przez ramię. On trzymał dystans, jednak zbyt łatwy do połknięcia, nie dłuższy niż parędziesiąt metrów, trzy, cztery domy. Co najgorsze, do przejścia pozostawał fragment z przylegającym do ulicy parkiem, pozbawionym świateł i wystaw. Anna przewidująco przeszła na drugą stronę. Mężczyzna przeciął jezdnię dokładnie w tym samym miejscu, pod takim samym kątem. Brakowało jej odwagi, by krzyknąć, i siły, aby pobiec. jeszcze raz odwróciła się, na dobre przerażona – i zobaczyła pustą ulicę, prześladowca gdzieś zginął. Skręciła w następną, pewna, że dla odmiany wyrośnie tuż przed nią. Nie wyrósł, Anna bez przeszkód dotarła do domu. Była uratowana, przeżyła. – Świetnie, z tym, że w pogoń się puszcza, a rzuca do ucieczki, nie odwrotnie, i nie wiadomo, co szybciej.

Anna umykała przed niebezpieczeństwem. Co tydzień zjawiała się u mnie zdrowa i cała. Przyglądałam się jej od dawna, widziałam, jak dojrzewa, jak wargi wypełniają się bez pomocy szminki i gumy, którą kazałam wypluwać ze względu na nosówki. Zawijała ją w folię. Czy była do mnie podobna? Tak, pomijając kolczyk. Widziałam w jej oczach tę samą, już zapomnianą, ciekawość, co każe chłonąć, oglądać, jakby obraz był nałożony na płótno, nawet jeśli na nim widniała tylko ja, dziś bezbarwna, stara, podparta na szeszlunku, bo tak ich przyjmowałam, półleżąc, żeby uniknąć opuchlizny na nogach. W ich relacjach brakowało wielu szczegółów, bardziej może interesujących niż akcja. Żyli szybko, bez troski o detale, całkiem pochłonięci przez czynność. Nie znali retardacji, smaku gerundiwu, deskrypcyj tkanych ciepłowie niczym koronka, którą zresztą się dzierga. Pili haustem, połykali w całości, ramboidalni. A przecież nie sztuka skończyć, sztuka wytrwać, przetrzymać. Musiałam wszystko pracowicie rekonstruować, domyślny

archeolog, co na kościanym grzebieniu odkrywa łupież Egipcjan.

Uczyłam ich wspominać, nieskłonnych do gromadzenia wspomnień. Tylko tak można sprostać przyszłości, nostalgicznej z godziny na godzinę.

Ja też kiedyś myślałam, że trzeba zapomnieć. Po odejściu Nory przenosiłam się z miejsca na miejsce, gorączkowo, zawsze w drodze na dworzec. Nowe mieszkania stały w amfiladzie.

Adresy

zastępowały domy. Byłam prekursorką o pół wieku późniejszych komiwojażerów – wielonarodowe

korporacje rzucają ich przez kontynent jak armię, z plikiem kart kredytowych i pełnomocnictwem do zawierania kontraktów. Byłam w ciągłym ruchu, lekkim, baletowym.

Ustawiało tarcie i

grawitacja. Nie czułam się związana i jeśli osiadałam, to na wiklinowym krześle, na tarasie kawiarni, obserwując przechodniów, którzy nigdy nie przechodzą dwa razy. Żyłam jak uciekinier, chociaż nikt mnie przecież nie gonił. Nie pamiętam, kiedy się ustatkowałam.

Już prawie nie wychodzę. Krzątam się do obiadu, coś czytam, najchętniej starodruk gazety sprzed roku. Potem przychodzą oni, emisariusze od świata. Widzę wszystko, po Annie widzę, jak zmienia się moda. Obcisłe się wciska pod luźne, a czarne jest wypierane przez rude.

Czuję, kiedy robi się zimno, ich płaszcze i kurtki zasłaniają w przedpokoju lustro. Słyszę w ich głosach lęki, wywołane mutacją. Odróżniam obcy akcent, którego się nie pozbędą, i niepewny, nie przebijający się na drugą stronę przegłos. Widzę wszystko, pyłki, które powodują alergię, kiedy skóra puchnie, ledwie utrzymywana przez żyłki. Czuję zapach papierosów, palonych potajemnie,

we mgle, tak by dym nie zdradził. Wiem, kiedy na topie zmienia się melodia, po ruchach objętej pałąkiem głowy i ramion. Odgaduję także ich związki miłosne – z piętka widać zakręt, gdzie

przystają i depczą chodnik, czekając aż zjawi się umówiony po lekcji partner. I słucham, słucham

–
to sztuka dziś zupełnie zanikła, nawet u spowiedników.

Wiem dokładnie, co robią, życie nie ma tajemnic, rozdarte przez słownik i składnię. Uczą się, oczywiście. Uczyc się to czasownik zwrotny, oznaczający nie skutek, lecz czynność. Uczęszczają do szkoły i pod ławką trzymają książki podważające to, co zaleca podręcznik leżący na niej. Zresztą nie ma już ławek, zastąpionych przez stoły. Jest nowocześnie, na krzesłach spawanych z rurek. Przez całe lata nauki nie opanowali ani jednego wiersza na pamięć. Znają tylko piosenki, które gdyby zapisać, ze wstydu zacerwieniłyby się atrament.

Pamięć nie jest serdeczna. Zamieniona w zera i jedyńki zajmuje niewielką przestrzeń, a i tak jej brakuje, jeśli tylko tekst opatrzyć jakąś prostą ryciną. Okazuje się, że ilustracje potrzebują więcej miejsca niż teksty. Tutaj relacjonuję ich skargi, sama używam ołówków, dobrze zatemperowanych.

Od pewnego czasu dostaję kompozycje nie odręczne, ale wypisane w domowej drukarni, często iluminowane rysunkiem o kresce – szczególnie na krzywiznach – ząbkowanej, dziwnie zjeżonej, jakby cały motyw marzył albo drżał ze strachu. Nanoszę poprawki i potem jeszcze raz dostaję tekst, bezbłędny, niby wyjęty z książki, korektę erraty. A jednak kusi mnie, żeby i w nim coś zmienić.

Podziwiam prostotę stylu i bogactwo czcionek! Uwielbiam zwłaszcza te cieniowane, kilka razy przekręcą lampę, bo wydaje się, że to światło rzuca na papier cienie. Sprawdzam na kartce, dotykam liter palcem. Są płaskie. Chwała Bogu, że jeszcze nie grawerują.

Niekiedy przynoszą i tu te instrumenty. Wyjmują plastikowe pudło, płaskie jak bomboniera, i ostrożnie kładą je na mój sfatygowany chippendale. Podnoszą wieko, które zastyga w pionie i częściowo zasłania mi widok. Kiedy podaję im brakujące słowo, szybko bębnią palcami w klawisze

– zapisują, modernizują gotyk. Lubię ten dźwięk, jakby cicho szczękały zęby. Dawniej ja także się spieszyłam, nawet nauczyłam się stenografii. Podśluchiwałam cudze rozmowy i żeby nie wyjść z

wprawy, w pamięci zamieniałam je w wężyk. Coraz prędzej, coraz prostszy, bo ludzie mówią przecież wciąż o tym samym, narzekają, mają ubogi słownik, dla początkujących. Na kursach

szybkiego czytania nauczyłam się czytać całymi akapitami. Pochłaniałam książki jak skaner. Byłam czujna, byłam megahercem, czytnikiem, który zabija czytanie. Dzisiaj, zamieniona w słuch,

spowolniałam. Nie można słuchać szybciej, niż grają.

A jednak wyszłam z domu. W końcu sprowokowali mnie do tego swoimi niezdarnymi opowieściami. Dotkliwym brakiem detali. Opisami miejsc pozbawionych sztukaterii. Streszczeniami, w których drzemie, czekając na ujawnienie, bogactwo. Aby nie rzucać się w oczy, wyszłam o zmroku, wieczorem. Doskonale pamiętałam trasy, tyle razy przez nich opowiadane,

mogłabym w każdej chwili je wykreślić na planie.

Sporo pamiętałam też ze swoich własnych spacerów, z czasów, kiedy w ciągu jednego dnia widziały mnie resursa, kino, dworzec, sklepy i magazyny, a także sprzedawcy uliczni i straganiarze, nie mówiąc już o wystającym na postoju dorożkarzu, co z wysokiego kozła śledził mnie spod

daszka, póki nie zniknęłam za kościołem Zbawiciela na placu Trzeciego Maja, błysnąwszy mu tylko klamrą u paska. Wyszłam przygotowana na długi spacer, w wygodnych pantoflach, z

torebką przerzuconą przez ramię, ubrana w skromny, nie poddający się modom żakiet. Było ciepło, nie wilgotno, nie duszno, nie czuło się wcale powietrza, które tym samym znalazło się jakby poza pogodą, wbrew zawsze czyhającym na zmiany meteorologom. Jeszcze się obejrzałam, dochodząc do rogu. Widziałam światło zostawione w kuchni. Wiem, że jak zwykle do zlewu kapą woda, stygł chleb, wcześniej odgrzany na blasze, i grało radio, odstraszające złodzieja arią. Szybko przesłam odcinek do parku, na którym nie ma nic godnego uwagi, już zamknięte sklepy, te same co dawniej, kiosk, gdzie minister przestrzega przed paleniem, wysoki mur z cegiel, co długo stanowił intrygującą zagadkę, aż pewnego dnia zobaczyłam przez otwartą bramę zwykle podwórko, nagle bezwstydnie odkryte, pełne odpadów, metalowe porzewiałe części nie wiedzieć od czego, zrzucone byle jak na trawę, deski na pewno zbutwiałe, przykryte kawałkiem papy, i hałdę piasku, którego już prawie nie odróżnisz od ziemi. Od tej pory mur był tylko ogrodzeniem. Sterta rupieci, oto co pozostało z ukrywającego się za nim edenu. Nigdy nie prosiłam ich o opis tych ostatnich metrów między parkiem a domem. Nigdy nic się tu nie wydarzało. Ot, niespecjalny efekt rzeczywistości, umykający streszczeniom. Wiem, że gorączkowo powtarzali lekcję, zbliżając się do celu. Nie dostrzegali kiosku, sklepu i muru, nie pozdrawiali przechodniów. Co godzina przemykali się niewidomi, otoczeni obcą aurą idiomów. Dopiero za światłami na skrzyżowaniu przy parku zaczynała się właściwa domena ich opowiadań. Tam też, w chwili gdy czekałam na zielone i cierpliwie przepuszczałam samochody o nieznanych mi markach i kształtach – zbyt w każdym razie liczne jak na tę cichą uliczkę – odkryłam pierwszą nieścisłość, odstępstwo od oryginału. Otóż górka od północnej strony parku, 52

którą świetnie pamiętałam z pierwszych ślizgów na sankach – zimne deszczułki, rurki przyspawane do kątownika – i która nieraz występowała w relacjach jako, w naszym nizinnym mieście, istotny punkt odniesienia, górka ta była teraz niemal zupełnie płaska, rzekłbyś, niewielka fałda, zaprasowana żelazkiem w miejscu, gdzie materiał się zmarszczył. Stałam, nie wierząc obcej topografii, aż ktoś na mnie zatrał, bo już dawno paliło się zielone i zapraszało do przejścia (mnie, która tyle razy powtarzałam, że światło się świeci, nie pali). Na żółtym, nostalgiczna, szybko przebiegłam. Podeszłam do resztek po górce. Ostrożnie oparłam o nie pantofel, jak na ścieżce przez bagno, która w każdej chwili grozi, że się zapadnie. Jednak stawiały opór. Wdrapałam się, lekko pochylona do przodu, nie więcej niż kilka metrów na górę – odtąd nazywajmy ją wałem – popatrzyłam ku fontannie, dokąd z łatwością się dojeżdżało na pierwszym śniegu. Nie było żadnej fontanny. Jej kamienne obramowanie rozsypało się do tego stopnia, że ledwie przypominało okrąg. W środku na wysokość metra sterczały rury, nagie, kompromitujące ideę wody bijącej u stóp posągu (po którym nie została głowa, tors, tunika, trójząb ani węże oplatające mu nogi) – jakby przeniesione wprost z podwórka za murem. Na Boga, dlaczego nikt mnie nie zawiadomił! A tyle razy omawialiśmy park i wszystko, co zawiera. Poza górką i fontanną oranżerię, pergolę, dokładnie drzewostan, akacje, kasztanowce, szypułki, z nich buki, w tym czerwonolistne, i graby. Nie jestem przeciwna zmianom, zwłaszcza w parku. Sama pamiętam, że nieraz go nie rozpoznawałam, kiedy spadł śnieg i mróz ścinał wodę w ślizgawkę, kiedy liście

jednej nocy żółkły, a potem leżały na ścieżce, podobne przerdzewiałym blaszankom, albo gdy którejs

jesieni wycięto wszystkie topole, nieuleczalnie chore na astmę. Teraz jednak zmiany zaszły na dobre, nic nie zapowiadało powrotu do stanu i normy, przeciwnie – udeptywane, wzniesienie zapadnie się już prędzej w wąwóz.

Zostałam oszukana podwójnie. Najpierw dotknęła mnie strata, a ja mimo to lata całe żyłam w fałszywym wyobrażeniu pełni, nawet nie domyślając się braku. Mało tego, podsuwałam je innym, a ci przytakiwali. – Tak, tak, górka – powtarzali. – Tak, tak, w parku.

Ruszyłam dalej i szybciej, niż myślałam, znalazłam się przy głównej ulicy, w miejscu, gdzie Anna uwolniła się od swego prześladowcy, po którym ślad nie został w kronikach zaginięć. Nie było we mnie ciekawości i strachu, chciałam w czasie wizji lokalnej potwierdzić fakty.

Wszystko się zgadzało z wyjątkiem deszczu i zdobień. Nie padało, więc trudno, aby światło odbijało się od zagłębień w chodniku, gdzie normalnie występują wylewy. Nie można jednak pominąć klasycystycznych kwartałów o przeciążonych fasadach, półkolumn, kolumn, pilastrów, tympanonów i gzymsów, które ciągnęły się wzdłuż, prostopadłe do chwilowo beczynnych rynien.

Stałam, udając, że kontempluję wystawę u jubilera, sprzątniętą na noc, puste atlasy

udrapowane na pieńku szyi, bez głowy i, co gorsza, pozbawionym koralu, wyściełane pudełka po obrączkach, jakby na noc się rozwiesić. Naprawdę patrzyłam w głąb ulicy, na tyle, na ile pozwalał jej zakręt, łagodny łuk, odczuwalny dopiero z pewnej odległości. Już miałam... kiedy zobaczyłam go w oficynie, w jasnym płaszczu, wyraźnym na ciemnym tle z pokostu.

Zawiązywał pasek – nie zapinał – a więc ledwie co wyszedł, zdążyłam na sam początek tym razem. Rękawiczki trzymał w lewej ręce, obie, i uderzał nimi o udo. W prawej niósł krótki, niezgrabny, którym się nie podeprzesz, nie stukniesz w chodnik, ułomny, kulawy jak kuternoga, ale jednak parasol. A zatem spodziewajmy się opadów! Jestem pewna, że mnie nie dostrzegł, odwróconej ku kosztownościom, po których zostały tylko ceny, i dla rabusia słone.

Szłam za nim, zachowując proporcje, rozsądny dystans kilkunastu jardów. Teraz ja musiałam być sumaryczna, pomijałam sztukaterie, gzymsy, kryptoportyki, raz tylko skorzystałam ze zwykłej obskurnej bramy, skąd wieje amoniakiem, kiedy zatrzymał się i nieoczekiwanie odwrócił – zapalał papierosa pod kinem i osłaniał się od wiatru ramieniem. Przez chwilę mignął mi ognek. To dobrze – pomyślałam – od zawietrznej nie wyczuje mnie, a ognek nie pozwoli mu zginąć w ciemnościach. Szedł prosto, znał świetnie drogę, nie rozglądał się, nie wahał i kiedy wchodziliśmy w zakręt, brał go pewnie jak tramwaj wiedziony przez szynę.

Przecieliśmy skwerek przy filharmonii i na krótko zamarłam, bo zobaczyłam w bocznej uliczce taksówki czekające, aż skończy się koncert – nie dostrzegłam afisza, umknęła mi melodia

–
na szczęście tylko je minął i skręcił w Nożowniczą. Jeszcze raz skręcił – w Wałową. Domyśliłam się, że przez Stare Miasto chce dostać się na Zamłynie, do nowej, nieznannej mi dzielnicy. Nie szkodzi, nie przeraża mnie nowość. Krok w krok idziemy, gramy marsza, za nim.

Za bramą dawniej oznaczającą rogatki miasto traci swoją średniowieczną zwartość, zaczynają się bloki, stawiane, jak popadnie, równoległe i w poprzek, a czasem diagonalnie, połączone samorodnym systemem błotnym parkingów i schodków z kruszonego betonu, wzdłuż których biegną pręty złomowane pod poręcz – tyle, zważywszy na mrok i pościg, zdołałam dostrzec.

Przyznaję, czułam się zagubiona. Nie chroniona już arkadą, kolumnadą, filarem ani pilastrem, do których można by przylgnąć, naśladowując ozdobne tynki, bez oficyny, dokąd da się,

pominąwszy amoniak, zawsze czmychnąć pod przybrany adres – poczułam się samotna, wystawiona do wiatru, który na domiar wiał teraz nieprzewidywalnie, raz tak, raz odwrotnie, a potem przestawał. Na stromych – nie wiadomo, skąd ta stromizna wśród płaszczyzn, najpewniej usypana – na stromych i gliniastych podejściach ślizgały mi się pantofle i byłam już bliska upadku

– uratował mnie obcas. Dopalił się papieros i musiałam trzymać się teraz tylko płaszcz, ledwie widocznego, coraz dalej. Jeszcze widziałam poły unoszone wiatrem. Jeszcze mignął mi złożony

parasol jak pałka bojówkarza w powietrzu. A potem drzwi tylko trzasnęły, żelazne, ale łatane dyktą, na klatce zapaliło się światło i zaraz zgasło, jakby zepsuł się migacz.

Nie wiem, ile tam stałam, pod ścianą z oknami, w których pokazywały się postacie podobne lalkom z gałanka. Czasem któraś zastygała na dłużej. Stawiała na parapecie słoik z ogórkami. Ścierała kurze. Znowu widziałam ostro. jakiś chłopiec na pierwszym piętrze łapał chodzącą po szybie muchę do szklanki, tak blisko, że mogłam dostrzec jej mechaniczne podbrzusze i chitynowe skrzydła w potrasku. Po chwili znudził się i ją przygniótł. Na szybie została plamka. Ktoś wyszedł

na obwarowany prętami balkon i wśród stojących tam rowerów, wiaderk i garnków robił miejsce

na walcowaty ciężar, który szkoda wyrzucać.

Nie wiem, jak długo stałam. Czułam wyraźnie zimno i wilgoć, inaczej niż zaraz po wyjściu. Gлина oblepiała pantofle, ściśle niczym odlew. Chciałam się zapiąć wyżej, brakowało guzika, ktoś wyrwał go z materiałem i oto dziurki teraz były w dwu rzędach, dopraszając się zapinki, której nie miałam. Dla symetrii puścił także zatrzask w torebce, zabrałam ją dla elegancji i zmyłki,

wysypywały się stamtąd stare, skasowane bilety na metro – tekturki nieważne od czterystu tysięcy godzin, niemagnetyczne. Spłyną z zapowiedzianym deszczem i w końcu znajdą gdzieś tunel.

Nie wiem, jak długo bym tak stała, chyba do skutku – tylko co jest skutkiem? – gdybym kątem oka nie dostrzegła, że wyszedł z sąsiedniej klatki, przemknąwszy najwyraźniej przez strych albo piwnicę, w okularach, z wąsami, już bez parasola i w płaszczu przerobionym na kurtkę.

Rzuciłam się może nazbyt gwałtownie i po kilku krokach zrozumiałam, że nie mam – tak, dla pewności popatrzyłam na nogi – nie mam prawego pantofla, który został, wryty, wdeptany w glinę.

Cofnęłam się jeszcze gwałtowniej, jak bramkarz do długiej piłki, i kiedy już dosięgałam stopą czółenka, nie całkiem zatopionego, poślizgnęłam się i upadłam. Nie leżałam nawet sekundy. Od razu zerwałam się na równe nogi – równe, chociaż niesymetrycznie obute – tak że nawet torebka, przy upadku wyrzucona jak z katapulty, nie zdążyła opaść na falisty, powalany szarym cementem daszek nad stojącym w dole śmietnikiem – niewykluczone, że otwarta niczym spadochron, nabierała powietrza do czasy. Mniejsza o to! Nie miałam czasu szukać torebki, słusznie wyrzuconej na śmietnik. Pobiełam za tamtym, z głośnym chlupotem w butach.

Wracał po swoich śladach. Szedł jakby trochę inaczej, jak ktoś, kto się postarzał, zgarbiony, mniej rażny pomimo kurtki, szurając butami o trotuar, do którego wreszcie dotarliśmy, pokład gliny zostawiwszy za sobą. Bez przeszkód minął rogatki, minął filharmonię, gdzie już skończył się

koncert – z postoju zniknęły taksówki, za to pojawiła się grupka spóźnionych melomanów, kobiety w długich sukniach, mężczyźni w błyskających spomiędzy szalików krawatach – o jedno

za dużo,

szalik albo krawat, elegancja nie dopuszcza takich koniunkcji.

– Elegancja! – miałam powody, aby o niej wspomnieć. Zaraz za filharmonią natrafiłam na wielkie lustro w drogerii, rześcicie oświetlonej i pełnej, bo tu, inaczej niż u jubilera, z wystawy nie sprzątało na noc klejnotów cery. Zatrzymałam się z konieczności, mój przewodnik także stanął

kilka wystaw przede mną i kontemplował cokolwiek, jeszcze nie mogłam dostrzec, książki, miękkie i albumowe, roboty kuchenne, noże, filizanki lub części garderoby. Ja kontemplowałam swoje

odbicie pośród pudrów i kremów, które już nic tu nie mogły... Wyglądałam, jak wyglądałam.

Włosy zlepione gliną, ale rozwiązane spadały mi do ramion. Z lewej brwi, w lewym rogu lustra, płynęła zakrzepła strużka kiwi, jeśli zakrzepłe jeszcze może płynąć. Na policzku miałam otarcie – z nim było mi najbardziej do twarzy, dziwnie poblądłej, domagającej się różu, rozłożonego w witrynie obok. Cofnęłam się o krok, aby się zlustrować do kolan – z których jedno puchło i bolało – ale zabrakło mi czasu, bo w tej chwili figurant ruszył przed siebie.

Minęłam jego wystawę – to był optyk, oprawki rozłożone wśród wyciętych z planszy wielkich i małych liter o charakterystycznym kroju dla krótkowidzów (powinni nim drukować prognozy rozwoju). Aha – pomyślałam i już byłam przygotowana na kolejną odmianę. Nie zdziwiłabym się, gdybym zobaczyła go w szklach kontaktowych. Przyspieszył, teraz już ignorował

witryny. Czyżby dokądś miał zdążyć? Tak, przewidziałam to, nauczyłam się przewidywać! – w miejscu, gdzie przedtem zapalał papierosa, skręcił do kina. Nie miałam zegarka, ale odnalazłam tak dobrze mi znany rytm godzin. Musiało być po dziewiątej – wemknie się na ostatni program, nie

zauważony.

– Torebka! – syknęłam, bo w tym momencie uświadomiłam sobie, że obok biletów na metro był tam jeden banknot, jedyny, jaki ze sobą zabrałam. Nie miałam siły, aby wracać do gliny. Musiał

zresztą spłynąć wraz z biletami. Zaczęłam przetrząsać kieszenie, znalazłam – brązowego centyma, sprzed wymiany. Co robić? – jednak weszłam bocznymi drzwiami do hallu. Na moment mnie

oślepiło. Na ścianach wisiały podświetlane afisze ośmiu różnych programów. Rozumiem – wydawało mi się, że rozumiałam – zapowiadają filmy na miesiąc do przodu. W kasie siedział młody bileter bez mundurka. Nie utrzymałby się za Gaumonta! Za jego plecami podobna do Arletki aktorka całowała mężczyznę do nikogo niepodobnego.

– O której – zapytałam – kończy się obraz?

– Jaki obraz? – nie zrozumiał. – Aktualnie gramy pięć filmów.

Nie mówi się: aktualnie – pomyślałam, ale go nie poprawiłam. – Czy dają państwo zestaw filmów krótkich? – powiedziałam głośno.

– Fabularnych, pełnometrażowych, to jest multipleks, multikino – podkreślił przedrostek. Dopiero teraz rozumiałam sprzeczności w ich relacjach na temat kina. Chodząc do tego

samego, utrzymywali, że widzieli całkiem różne obrazy, w tym samym kinie i o jednej porze.

Kładłam to na karb niedokładności i kręctw, prawdę mówiąc, było mi wszystko jedno, nie wychodziłam, nie zamierzałam sprawdzać. Ostatni raz w kinie byłam chyba w Bazylei, niemal za życia braci Lumiére'ów. Pamiętam jednak, że już jako dziecko domyśliłam się, co znaczy słowo:

fabularny, stawiane zaraz po tytule. Fabularny – znaczyło baśniowy.

Przyznaję, straciłam impet. Stałam bezradna w pustym westybulu, rozjarzonym, pachnącym kukurydzą, prażoną na wypadek, gdy komuś zabraknie strawy duchowej. Nie stać mnie było na kino, nie miałam czym zapłacić, tym bardziej że aż za pięć obrazów. Mogłam byłam czekać, schowana w sąsiedniej ulicy, na tyłach głównej; w ciemnej, pozbawionej splendorów ulicy, na którą się wysypywali po seansie widzowie. Czekać na kogo? na co? Wszystko już było jasne, w blasku

magnezji, wolałam sobie oszczędzić następnych rozczarowań.

Ciastka w cukierni Reiza już nie będą takie. Wiem zresztą, że dziś młodzi chłopcy w kaszkietach serwują w tym miejscu szybsze od eklerek fast foody, do strawienia od razu. Nie będzie walców, fokstrotów na balu dobroczynności w resursie, w której usadowiło się towarzystwo

leasingowe i, dobroczynnie również, daruje pierwszą ratę, jeśli cyrograf podpisać na dłużej.

Wcale do nich nie tęsknię, nie będę tańczyć. Wiem, że w miejskiej czytelnicy stanął bank kredytowy, a dawną kasę pomocy przerobiono na hotel. Wiem więcej, jestem na bieżąco. Wiem, że jedną partię przewodnią zastąpił mnogi posiew dokuczliwych drobnoustrojów, na które nie jesteśmy jeszcze odporni.

Byłam już blisko parku, wracałam. Cóż jeszcze może mnie rozczarować? Japońskie drzewka ozdobne, bonsai, co zamiast urosnąć, skarłały? Śmieszne małe kamery, cyfrowe, ale kształtem nawiązujące do wiekowych Leik? Telefony z samej płaskiej słuchawki, bez korbki i tarczy, wcisnięte w etui od okularów? Okulary sprowadzone do soczewki, bez oprawki?

Policjanci nie imponujący wzrostem i ich wąsy, bardziej szczeciniaste? Proszki do prania w kapsułkach, na brud za paznokciem? Alkohol w kroplach, na lekarstwo, w miniaturach butelek, zwanych nie

wiedzieć czemu orangutankami? Wszystko maleje, w tym mikroprocesory, które nigdy nie były znaczne.

A przecież jestem już stara. I wszystko mnie powinno przerastać. Miasto, rakowate, ciągnące do przedmieść. Mężczyźni maskujący się wyglądem. filmy grane w multikinie jak w oszalałym bębnie fotoplastykonu. Nawet drobnoustroje, bakterie wobec starego człowieka zieją swoim ogromem.

Byłam niedaleko od domu, kiedy zaczął padać deszcz, już tu wzmiankowany. Nie zmoczył mnie doszczętnie. Włosy i tak miałam zresztą umyć, deszczówka nie jest gorsza od szamponów chowających dwa w jednym, a co do pantofli, to już wcześniej nadawały się do wyrzucenia.

Drzwi 57

wejściowe, jak się okazało, zostawiłam otwarte. Żaden złodziej się nie wkradł. Chleb wystygł, woda wykapała, radio grało może nie arię, ale też wcale nie requiem.

Leżę na szezlongu, wygodnie. Skończyłam ostatnią na dziś lekcję, drzwi się zamknęły za Anną. Nawet stąd potrafię doskonale odróżnić ich skrzypnięcia do i od, pchać i ciągnąć. Zaraz wstanę i przekręcę zamek. Dzisiaj przyszła szczęśliwa, roześmiana, w obcisłym, śliskim trykocie, jaki zakładają kolarze. Opowiada coraz swobodniej i barwniej, chyba myśli, że na starość staję się daltonistką. Upiera się jednak przy niektórych błędach. – Aktualnie – mówi. Nie mówi się: aktualnie.

Sektor

Nikogo nie zmuszamy, przyjeżdżają sami. Musimy ich odsyłać, bo Dom pęka w szwach, a

wojewoda wstrzymał sprzedaż sąsiedniego. Każdemu coś dolega, lekarze są bezsilni, medycyna jest sprawą ludzi małej wiary. Mała wiara nie przenosi guzów.

Moglibyśmy założyć tutaj miasto, bo ozdrowieńcy nie chcą się oddalać. Trzeba ich przekonywać, kupować im bilety, wyposażać na drogę, z której i tak zawrócą. Ci, co zaznali bliskości, boją się oddalić. Nie wiedzą, że nasz dotyk sięga wszędzie, wszędzie, że będą nosić z sobą jego piętno.

Śmieszni aparatczycy starają się nas nękać. Kiedy w lesie wycięliśmy pięć chorych drzew, nasłano na nas policjantów z psami. Jeden z tych psów położył się pod gankiem i już tam został, wypowiedział służbę. Jeden z tych policjantów wrócił po tygodniu, błagając, żeby zdjąć mu klątwę z węzłów chłonnych. Nikt z nas nie rzuca klątw, a choroby, które przechwytyjemy, nie są już

zakaźne. Kordon, co jakiś czas tworzony wokół Domu, jest anty-sanitarny i jeśli komuś szkodzi, to tym, co pozostają z tamtej, niewłaściwej i zainfekowanej strony.

Wiele razy proszono mnie, bym pielgrzymował. Nasi wyznawcy przygotowali trasy, znaleźli miejsca, trawiaste pagórki, ogromne, opuszczone gospodarstwa rolne, łąki, w miastach stadiony – mogły się zapęlić na długie seanse, jakby ekstraklasa niezmordowanie grała mecz z meczem – wielkie owale torów wyścigowych, gdzie Papież błogosławił, ale nie uzdrawiał.

Odmawiałem za każdym razem w obawie o rozruchy. Nie będę konkurować z imprezą sportową, gdzie kibicuje spustoszenie wokół, z wiecem wyborczym, pełnym kłamstw, obietnic rzucanych na pożarcie tłumom, z gonitwą, w której nieuczciwy dżokej wstrzymuje konia, aby zgarnąć pulę.

Jeździłem sam, bez ochrony i anonimowy, w kasie na dworcu kupowałem bilet. Widziałem poczekalnie, w których biedni ludzie wymieniali się cierpieniami, nie zaznając ulgi. Zapadali w sen wsparci na tobołach, płytki koszmar na kwadrans przed odjazdem. Przytuleni do plastikowych

worków, tak że polimery otaczały ich aureolą, pierścieniem z Saturna. Żebracy krążyli, mrucząc swoje mantry, niekiedy im wciskałem zakażony pieniądz i przy tym lekko dotykałem, muskałem nadgarstkiem. Widziałem ich popłoch, kiedy znikwały objawy, ulgę widoczną poprzez zawodowy grymas. Kulawy spuszczał i podnosił laskę, którą sondował klinkier wokół ławki. Ostrożnie stawiał

kilka chybotliwych kroków, jakby poruszał się po równoważni. Ślepy zakrywał oko, nie chciał tego widzieć. Spod dłoni jednak błyskało mu białko rozpalone ukazującym się obrazem. Po chwili

całkiem odejmował dłoń i rzucał się do wyjścia z okrzykiem: – Ja widzę! – Rozdawał utarg przed dworcem, teraz już nieuczciwy.

Wybierałem zatłoczone przedziały drugiej klasy. Sąsiadka z prawej czytała gazetę, jej prawa dłoń co chwilę dotykała mojego ramienia. Kobieta naprzeciwko, w błyszczących pończochach, czubkiem buta pisała list na moich spodniach. Staruszka z lewej wprawdzie odgrodziła się torebką, ale przy większych wstrząsach nasze łokcie łączył impuls, wystarczający choćby na reumatyzm.

Stawałem w wąskim, zadymionym korytarzu, za oknem się przesuwiał rozplątany widok.

Przechodzili palący, z zaczątkami raka – ledwie zdążyłem zniszczyć je w zarodku, bo w tym samym czasie od strony toalety już wracali cierpiący na prostatę. Otarł się o mnie także rewizor, na rozstawionych nogach z żylakiem. Przyjeżdżałem do miasta, mieszałem się z tłumem, statystyki

odnotują to po latach, uczeni będą się pochylać nad wykresem znaczącym tę trasę spadkiem zachorowań.

Po powitaniu w Domu zawsze zastawałem kogoś nowego, wziętego na próbę. Nie staramy się o adeptów, przeciwnie, usiłujemy ich przekonywać do powrotu. Zgadza się dopiero, kiedy widzimy, że poza Domem nie ma szans przeżycia. Wyznaczamy im krótki okres rekonwalescencji.

Wbrew temu, co piszą gazety, nie mieliśmy zejścia. Grób za altaną, na końcu ogrodu, pochodzi z czasów wojny, najprawdopodobniej ktoś z miejscowych odsypał go z większej, zbiorowej mogiły pod lasem, tak aby mieć swoich zmarłych w obejściu, na własność. Pielęgnowujemy go jak obiekt muzealny, zmarłym należy się szacunek. Nie twierdzę, że nasi pacjenci będą nieśmiertelni, ale jak na razie, dobrze rokują.

Zamiast rzucać pochopne oskarżenia, radziłbym się zastanowić nad przyczyną ucieczek.

Gazety co tydzień drukują nowe zdjęcia w rubryce zatytułowanej: *Kto widział?* Kto widział? – to mi przypomina repertuar kina, gdzie z afisza nie schodzi film grozy, niemy, jeśli nie liczyć wrzasku przerażenia. Dzisiaj spytajmy raczej, kto nie widział. Nie widział, bo dalekowiedz, ślepy na to, co dzieje się pod bokiem z jego bliskimi. Nieszczęśnik ubrany w podkoszulek sprzed roku z reklamą tenisówek na plecach powinien był zamieścić swoje zdjęcie wcześniej, z podpisem: – To ja,

znikam, może ktoś mnie widział? – Zniknięcia nigdy nie bywają nagłe. Znikamy przez lata, po kawałku.

Mamy całą encyklopedię przypadków, tomy, akta, archiwum. Jeśliby wyciągnąć na światło wszystkie te ciemne sprawy, całe miasto by zgasło, jak po awarii głównego kabla. Typowe? Nie ma typowych, ciężar nosi się w sobie, każda rana jest na własnej skórze.

Anna przyjechała autobusem, ale nie znając dokładnego adresu, wysiadła na złym przystanku i potem szła dwie godziny, pytała chłopów, a ci wskazywali jej co rusz inny kierunek. W końcu jakoś dotarła, boso, bo buty zostały w glinie, mamy tu wokół lessy, które niemało rodzą, ale czasem coś wchłona. Była mokra, przemarznięta, usta zupełnie sine, jakby szminkę rozetrzeć na 60

popiół, próbowała coś mówić, ale trudno było zrozumieć, w jakim języku. Daliśmy jej koc i herbatę, piła drobnymi łykami, podnosząc przy tym głowę, niczym z kałuży wróbel. Grzaliśmy wodę na kąpiel i prześcieradła, co niewiele pomogło, bo owinięta nimi drżała nadal, dotknąłem całą dłońią jej czoła i poczułem z zewnątrz żar, a w środku chłód, jakby izolację rozciągnąć na skórze.

Nie od razu udaje się zlokalizować signum, ośrodek. Anna wydawała się zdrowa, kiedy po tygodniu różnica temperatur wróciła do normy. Braliśmy ją do koła, aby wyrównać prądy, ale żaden nie kształtował się wrogo. Żeby była kaleką, żeby toczył ją rak, sclerosis na którymkolwiek z terytoriów, wtedy energia sama szukałaby drogi. Nie – wszystko wskazywało na to, że nie ma

skażenia, nawet grzech pierworodny nie dawał swojego normalnego obrazu. Najtrudniejsza jest terapia tych, którym nic nie dolega.

W takich razach najlepiej czekać, nie szkodzić – znana dewiza, w myśl niej wszyscy lekarze powinni się przekwalifikować. Czekaliśmy, oddając się codziennym medytacjom. Jak zobaczyć znak na odległość? Jak odetchnąć – całym sobą? Jak nie zasklepić się? Co zrobić na obiad z liści i kielków? Jak z drobin ułożyć ogrom i czy obejma wystarcza, aby go objąć? Anna nie włączała się, chociaż siadała w okręgu, jadła, milczała, meła, a wzrok jej błędził po ścianach, oderwany od oka.

Czekaliśmy cierpliwie, starając się nie dotknąć za wcześnie. Niestety, stan się zaostrzał i Anna oddalała się na własną rękę, zamiast na wspólnej stopie się zbliżać. W nocy wstałem i

przyjrzałem się śpiącej. Dostrzegłem wąskie widmo, ujawniające się tylko wtedy, kiedy padał na nie fiolet księżycy. W ciągu następnych tygodni dokonaliśmy pracy epokowej, jak stachanowcy. Sam prowadziłem seanse, Anna mówiła i z każdym słowem widać było, że się uwalnia, że kamień

spada jej z serca. Szkoda, że nie ma nagrań, które można by roztrąbić, jak hejnał na wojnę. Anna ją wygrywała. Kapitulował ojciec, przyciskający dziecko do łona niby kochankę, i matka, nigdy go nie obejmująca, nawet kiedy bluzkę mu zapinała z tyłu na haftkę. Bracia doprowadzający do płaczu, jakby główki mieli z cebuli. Nauczyciel ze stalówką rozdzierający wyrażenie zapisane łącznie, jak kłaczce. Książd łączący w jeden grzech dwa fakty, z których każdy wystarczałby za dobry uczynek. Pierwszy amant, który połknął kij, cały sztywny, ale w tym jednym miejscu wąły jak witka.

Można żyć, trwać przez lata, trawić, asymilować, rabarbar też się odnawia co roku, i nawet coraz większy, i trawa zarasta rowy, chociaż nie hodowana. Anna tak żyła, na dowód chuchwała na lusterko i ono pokrywało się mgiełką, tym wyraźniejszą, im zimniej. Siadała z nimi do śniadania i smarowała masłem z tej samej kostki. Zaparzała herbatę, mocną, aż rdzewiejącą. Prała w proszku enzymatycznym i potem rozciągała z innymi prześcieradła, napięcie się tworzyło między ręką a

ręką. – Wszystko w porządku – odpowiadała na akustyczne pytanie, stawiane przez głuchych. – Wychodzę – oznajmiała wychodząc.

Próbowała wszystkiego, praktykowała jazdę tramwajem w tłoku, stanie w napierających kolejkach, gry zespołowe, w których dochodzi do zwarcia, tańce. Zapisywała się do organizacji, skarbnik przyjmował od niej składkę, ale zamiast dodawać, różniczkował. Na chwilę porwał ją ruch oazowy, wydawał się ocaleniem dla kogoś na pustyni. Chodziła, śpiewała, grała, eremitka wśród bractwa. A potem znów zostawała sama i sterczał kołek, niestety nie zawadzający innym. Nie

upowszechnił jej katolicyzm, w którym aktem największej samotności jest komunia.

Nietowarzyskie okazały się homilie.

Na takich czekają sekty, są ich setki, setki. Docierają wszędzie, jak mrówki faraona.

Ostatnio zobaczyłem w lokalnej gazecie pytanie i donos: Kto karmi Abchazów w Suchumi? Bakhtowie. Wszystko jest tu mistyczne, nawet słowo: karma. Powiatowi bakhtowie, którzy działają globalnie, rozwożą swoje zatrute pokarmy i serwują je głodnym, tak oto nakarmili już Azję.

Emisariusze chodzą od domu do domu i węższą. Pogotowia dobroczynne wypłacają zapomogi, które

potem odbiorą sobie, z nawiązką. Szarlatani unoszą ręce i zakreślają okrąg, prorokując nową erę co kwartał. Scjentyści ochrztili Freuda, analizują stare kompleksy pod nową nazwą, zapłacisz i jesteś wolny. Alchemiczni kapłani produkują gaz sarin, lepszy od cyklonu, skłonni zamienić całą atmosferę w komorę. Wyznawcy Księżycy, Sunmoona, dzienni i nocni, dyżurują przez całą dobę,

na zmianę. Miesiącami nie zdejmują ubrania zanukowcy, adepci Zanuka z Nemei, najszcześniejszej z planet, czekając na – lada chwila – ewakuację. Nie chcą być zbawieni w bieliźnie nocnej, w

pantoflach. Wiedzą, że Zanuk zstąpi.

Anna w tym czasie udaje się na poszukiwanie, wędruje od miasta do miasta. Rodzice sądzą, że jest na wakacjach, i spodziewają się co najwyżej kartki z pozdrowieniami – zawieszona nad mołem mewy z czerwonymi nóżkami na tle granatowego nieba bez gromu. Stacja mija za stacją,

wakacyjna sieciówka pozwala krążyć do woli. Spotkania z rówieśnikami – symetryczny plecak i spodnie obcięte w tej samej wysokości, u kolan, sandały i niby rewers z awersem pasujące do siebie odciski na małym palcu – potwierdzają złudzenie, że podróż, chociaż w ruchu, jest tu całkiem na miejscu.

Nie obejdzie się też bez narkotyków, w bibułce dla palaczy, a dla niepalących w strzykawce. Na polu namiotowym nad ranem Anna ma wizję, widzi wschodzący nad lasem piorun kulisty, brany omyłkowo za słońce. Lokatorzy z sąsiedniego namiotu pomagają jej dojść do siebie, niepomni, że nie po to się wychodzi ze skóry, aby zaraz tam wrócić. Nazajutrz Anna czuje się nieswojo, co może być objawem pożądanym, pozytywnym, wyzwania się z dawnej postaci. – Dlaczego odchodzą, znikają? A dlaczego mieliby zostać? Co ich łączy? Kolacje przed telewizorem, dobrym na trawienie, ale jeszcze lepszym na wrzody? Rozmowy o pieniądzach,

których nigdy nie starcza, bo chciwość zaliczana jest do potrzeb pierwszych? Religia sprowadzona do minimum, kilku świąt, nieboska, świecka? Samochód, co zamiast do transportu, służy temu, aby wzbudzać zazdrość? Kilka nie przeczytanych książek, w których zresztą nic nie ma?

Tragedie rodzinne nie dokonują się wtedy, kiedy zrozpaczona matka zwraca się do kamery i podaje od dawna już nieaktualny rysopis. Tragedie są wtedy, kiedy nic się nie dzieje. Córka wraca ze szkoły, w której wszystko dobrze. Zamyka się u siebie, w pokoiku dwa na trzy, ze słuchawek syczy się nagranie i refren powtarzany dokładnie w tym samym brzmieniu. Obiad dogotowuje się

na wolnym gazie o ciśnieniu nie odbiegającym od normy. Gwiżdże zaopatrzone w gwizdek czajnik.

Pies śpi zwinięty w kłębek i nam także udziela się senność, popołudniowa drzemka przedłuża życie o kwadrans. Za oknem niedrapieżne gołębie i kawki spacerują po dachu i nie ma żadnej obawy, że spadną. Do cukierni na rogu wchodzi chłopiec, zapamięta smak eklerki na wieki, rozjaśnione jej mgnieniem. W sąsiedniej kwiaciarni otwarcie kwitną kwiaty, odważnie, jakby nigdy miały nie

zwiędnąć. Na świątlach stoją inne postaci dramatu i cierpliwie czekają. W chwytającym słońce lusterku taksówki rozbłyśka splendor.

Zapada wieczór w pełnym majestacie. Do domu wraca bogatszy o jedną dniówkę salariat.

Kobiety wykładają zakupy, lodówka schłodzi je w ciemności, a piekarnik podgrzeje, naświetlając przy tym lampką kontrolną. Telewizor punkt po punkcie przekaże program wieczorny. Bobry budują kopiec z obniżonym wejściem, bo spodziewają się suszy. Na Zachodnim Brzegu także utrzymuje się boom budowlany. Nadal nie wiadomo, z kim ożeni się amant, gdyż propozycje z odcinka na odcinek tylko się mnożą. W grach liczbowych znów wylosowano same tłuste numery. Nadchodzi noc, dostarczycielka materiału na sennik. Kładą się lekomani, a lunatycy wychodzą. Rano. Kawa nam dobrze nie wróży, a w zlewie od jej fusów zapchał się odpływ.

Z takiego świata przeszła do nas Anna. O własnych siłach, białe autobusy rozwożące jeńców do sanatoriów zniknęły wkrótce po wojnie i teraz każdy zdany jest na zwykłe pekaesy. Kiedy opowiedziała już wszystko do końca (nie ma takiego sądu, przed którym można by dochodzić choć małej cząstki), widmo zaczęło zanikać, robiło się coraz węższe, jak gdyby przeświecało przez

szparkę, a potem zlewało się w punkt, powoli gasnący, w starym kineskopie na lampach. Anna obudziła się nowa. Ochrzciliśmy ją ponownie, nie zmieniając imienia. Teraz dotykaliśmy jej śmiało, całym ciałem, przywierała kurczowo i zastygała, trwała tak godzinami, odbierając sobie lata zaniedbań.

Otacza nas oschłość. Choroby. Małżeństwa są martwe. Przypadkowo rodzą się dzieci, wiele miesięcy po spazmie, kiedy uniesienie opadło i autor wypiera się autorstwa. Szpitale są pełne, sierocińce wydają się samorodne. Co wieczór dzwony w kościele biją na trwogę. Pogotowie ściga się na sygnale. Niczego nie ukrywamy. Drzwi do Domu zawsze pozostają otwarte, nie mamy

klucza i zamka, a klamkę zastępuje skobel używany w razie przeciągu. W oknach nie ma firanek, prześcieradła, jeśli są rozwieszane, to przeciw słońcu. Nachodził nas sołtys i pouczał o obowiązku zameldowania. Kurator szukał tu dzieci w wieku szkolnym, które mielibyśmy oddać na zatrąę do szkoły. Opiekuńczy kurator nie chce zrozumieć, że to my nauczamy. Sołtys zajęty ewidencją nie dostrzegł, że znak obecności jest w Domu. Nie potrzebujemy na to wzmianki w dowodach. Sami jesteśmy dowodem.

Anna powiła chłopca, nie widziałem drugiej równie oddanej matki. Bez powikłań, od pokoleń kultywujemy kunszt położnictwa. Powinni ją zobaczyć malarze, kiedy siadała z dzieckiem na schodkach i karmiła mlekiem bez domieszek i smoczka, ci sami malarze, co przez wieki starali się odrysować Dzieciątko, nadając mu formy zgodne z aktualną modą, tak że raz jest

tłustym bobasem o rączkach w wałki, a kiedy indziej wysmukłym szybkobiegaczem, biegłym, jeszcze zanim nauczył się chodzić, raz niemowlęciem zarośniętym ciemnym włosiem, a kiedy indziej znów łysym chłopcem o twarzy siedmiolatka. Wydawałoby się, że niemowlęta są bardziej do siebie

podobne niż osobnicy dojrzały, ale w naszej hagiografii to właśnie Dzieciątko zyskało postać bardziej różnorodną niż dorosły, zawsze ten sam, w tej samej łódce, z włosami jednostajnie czarnymi, z sercem otwartym, gotowym do transplantacji.

Ktoś jednak widział ten obraz – zazdrośny, złożył donos. Zostałem oskarżony o kontakty z nieletnią. Sam chciałbym, aby Annie odjąć tych lat najgorszych – czyż nie o to staraliśmy się od początku, i z dobrym skutkiem? Po wspólnej medytacji postanowiliśmy wyjechać, bez zwłoki, aby nie narażać innych na kolejne najścia. Odwykli od ubrań, założyliśmy naprędce coś, co odpowiadało panującej poza Domem porze roku, wzięliśmy pieniądze sprzed wymiany i stare dokumenty, opiewające nie wiadomo na kogo. Dziecko zostało, inaczej niż w Księdze, pod opieką sióstr, już i tak otoczonych czeredką.

Najgorszy był pierwszy tydzień, posuwaliśmy się nocami, pieszo, a dni spędzaliśmy w obejściach wśród zwierząt, niewykluczone, że lecząc przy okazji to, czemu nie dawała rady weterynaria. Chowaliśmy się o świcie, jeszcze mroźnym, para od sierści mieszała się z mgiełką właśnie wzbierającą od gruntu. Byle odejść jak najdalej stąd, gdzie wszyscy nas rozpoznawali, bili pokłony, wyciągali rękę na powitanie, aby ich dotknąć (wielu już uzdrowionych pcha się wielokrotnie, jak lekomani, wielu przychodzi profilaktycznie, w nadziei, że położymy im na ciele szczepionkę), okazowali wdzięczność, szczerą, ale nie wątpię, że szybko na biurku prokuratora z rejonu pojawiłyby się nowe doniesienia, od razu brane za dowód. Jedliśmy niewiele, czerstwy chleb zbierany dla bydła, piliśmy ciepłe mleko, pieniste, w blaszanym naczyniu, za pan brat z krową.

Siódmego dnia, zanim zdążyliśmy się schować, odkrył nas gospodarz i wziął za przybłądów.

Nic dziwnego, musieliśmy tak wyglądać, brudni, Anna nie uczesana, ja już zarośnięty, a jeszcze bez brody. Chwylił widły i zbliżał się niebezpiecznie, jak do gnoju. Nie miałem wyjścia, powstrzymałem go lewą ręką, a prawą znieczuliłem, anestezjolog dziwił się podobno, skąd we

wsi środki, których w mieście brakuje do operacji. – Nic mu nie jest, obudzi się zdrowszy – uspokoiłem Annę. Umyliśmy się i odświeżyli, zjedliśmy porządne śniadanie przy stole pierwszy raz od

tygodnia. Znalazłem jakieś ubranie, spodnie zbyt szerokie, ale za krótkie, trudno, wyglądałem jak konflikt korpulencji ze wzrostem. Nakarmiliśmy psa, który skomlał, i inne zwierzęta. Na szosie złapaliśmy okazję do miasta. Stanęliśmy w Hotelu Europejskim – niewykluczone, że w tym momencie zgłaszając się do kartotek Interpolu – jako ojciec i córka, niczym w perwersyjnej powieści, wzorcu niemoralności. Przezornie nie zostaliśmy na noc, odjeżdżając wieczornym pociągiem na północ albo południe, wschód albo zachód – wolę odczekać, aż ślady zatrą się na dobre, a list gończy pozółknie, jakby był sprzed wojny.

W przedziale panował zaduch. Wysiedliśmy kilka kilometrów przed celem, wymknąwszy się obławie, jeżeli urządzono obławę. jakiś czas chodziliśmy osobno, ja kilkadziesiąt metrów za Anną, nikt za mną, sprawdzałem to na każdym skrzyżowaniu, które obchodziliśmy jak kwadrat, sumując kąty przed właściwym skretem, najczęściej o dziewięćdziesiąt stopni, na przykład w prawo. Potem odwrotnie, ja przyspieszałem i wyprzedzałem Annę, obcą kobietę zmierzającą w tym samym kierunku, przechodnia, lekko ją potrącałem ramieniem, odwracałem się, wypowiadając

którąś z ustalonych formuł, zależnie od sytuacji, i tak szliśmy dalej, w sztafecie z metą nieokreśloną. Długo nie chcieliśmy angażować w to wiernych, narażać ich na ewentualne oskarżenia o pomoc poszukiwanym. jednak pomimo charakterystyki coraz częściej mnie rozpoznawano, najpierw czułem czyjś wzrok świdrujący przez plecy, a potem ręce wyciągały się ku mnie w oczekiwaniu na dotyk, którego udzielałem, ale nie bez obaw, że kiedyś złapią i przytrzymają.

Stare pieniądze zabrane jeszcze z Domu okazały się niewystarczające, ujęto im trzy czwarte wartości, bo oszczędzać należy w przedmiotach, w naturze, choćby w kartoflach, które szybciej drożeją, niż się gotują. Musieliśmy urządzać błyskawiczne publiczne seanse, niczym ambulans, który zdąży odjechać z miejsca wypadku, zanim przyjedzie policja. Anna zbierała datki, a ja, wyplątując się z rąk ozdrowieńców, zabezpieczałem odwrót, boczną, wąską uliczką, po schodkach, przez tunel pod skrzyżowaniem, przez bramy przechodnie, przez dworzec, gdzie kierunki myli wielodrzwiowy kołowrót.

Któregoś razu przedostałem się do szpitala w przebraniu masażysty, ociemniałego, i szedłem od łóżka do łóżka, prowadzony przez Annę w kostiumie pielęgniarki, wzbudzając

entuzjazm. Zdziałalibyśmy więcej, gdyby nie stróżówka przed oddziałem intensywnej terapii. Ignoranci pompują pieniądze w tomografy komputerowe i sądzą, że dotykiem leczy się najwyżej oziębłość płciową. Zebraliśmy grosze, bo ile wciska się masażysty na etacie, mniej niż salowej. Teraz zdrowi czekają tylko, by wpłacić, nie wiedząc, na czyje konto. Nieświadomi, dopłacają jeszcze ordynatorowi.

Korzystamy ze zgromadzeń – a niedawno z nich przecież rezygnowałem – z jarmarków, wieców wyborczych i targów, jak kieszonkowcy, którzy raz nas zresztą okradli. Mieszmamy się z tłumem, kupieckim, elektorálním, czekamy na pierwsze omdlenia albo zawały. Wkrótce skądś dochodzi wołanie o pomoc. jakiś partacz bierze się do masażu i pompuje umierającego jak balon. Rozpraszamy tłum, zawsze ciekawy śmierci. Staję nad delikwentem, podnoszę rękę... Niestety, zdarza się też, że przybywamy za późno, ciżba blokuje dojskie, nie zdążam i staję nad kłębkim chorób już rozwiązany, które jeszcze czuję na końcach palców, ale nie mam już po co ich zbierać i odchodzę o jednego uboższy.

Aby uniknąć takich sytuacji, staramy się niekiedy wyprzedzać rozwój wypadków – to Anna inscenizuje przypadłość. Omdlewa, dostaje drgawek, nieraz aż nazbyt. Wokół zbiera się wianuszek chorych, rozpoznających swój symptom, jakby wszyscy wypisani z jednego oddziału. Dotykam ich, po kolei, osobno, nawet jeśli starczyłoby dotknąć pierwszego, a pozostałych podłączyć do łańcucha, proponując im rabat grupowy. Niestety, nikt już nie wierzy w jednoczącą wspólnotę i każdy nawet w chorobie widzi tylko własny interes.

Raz wybraliśmy się na mecz piłkarski, którym dotąd gardziłem. Nie trzeba ucha muzycznego na schorzenia, aby w zdrowym ryku trybun rozpoznać spazmy, kiedy napastnik pada,

podcięty na polu kamnym. Dużo sobie obiecywałem, w innych warunkach mógłbym zejść na murawę i godzinami przyjmować, niczym przychodnia w obliczu epidemii. Mógłbym pomóc także

piłkarzom, cierpiącym na łękotki, wielokrotnie operowanym. Ktoś jednak udaremnił te plany. W zamieszaniu, niby ogólnym, ale nie wątpię, że ukierunkowanym na nas, otrzymałem cios w głowę, dobrze mierzony, deską wyrwaną z ławki. Anna tamowała krwotok koszulą rwaną na szarpie.

Wobec siebie healer pozostaje bezradny, samemu można się uszczypnąć, ale nie sposób się dotknąć, na szczęście jakoś wydostaliśmy się z matni w kierunku bramy, zakrwawieni jak wampir.

Tam już czekali, ustawieni w szpaler obławy, z tarczami, z pałkami do ziemi. Czekali, aż się wykrwawię i będę bezbronny. Cofnęliśmy się znowu na stadion. Porwał nas tłum, uciekający przez parkan rozpruty na szerokość bramki. Pierwszy raz to ja doznałem pomocy od tłumy, doraźnej, bo od tego czasu cierpię na fobię agory i publicznie prawie nie występuję.

Nie chcieliśmy korzystać z pomocy wiernych, ale nie było wyjścia. Mieszkamy w zakonspirowanych mieszkaniach, za cienkimi drzwiami z wizytówką o cudzym nazwisku. Za

ścianą słyszymy przekleństwa, głośniejsze od modlitw. Medytujemy na szpilkach, w każdej chwili gotowi do ewakuacji (jak zanukowcy, choć wiemy, że nie zstąpi Zanuk).

Zaszyfrowane, dochodzą nas wieści z Domu. Po naszej ucieczce przeprowadzono rewizję.

Zerwano podłogę w sypialni i przekopano ogródek w poszukiwaniu skarbów (których nie znaleziono). W spulchnionej ziemi będą nam lepiej rosły warzywa. Dom znajduje się pod obserwacją, cywilny samochód ze spostrzegawczym kierowcą parkuje na widoku. Co jakiś czas obserwator wysiada, przeciąga się i fotografuje, dla potomności, album domowy. Po przesłuchaniu są zatrzymywani. Nikt nie protokołuje, ponieważ mówią za dobrze.

Wiem, że wrócimy. Tułaczka, emigracja są drogą do sakry. Przyjmujemy je z dobrodziejstwem inwentarza, jak franciszkanie. Nie czujemy się wydziedziczeni z misji. Wiem, że nic jej już nie zatrzyma. Tymczasem ograniczamy się do pojedynczych przypadków, które łatwo

zlokalizować na podstawie drukowanej w gazecie prośby o datki na przeszczep szpiku dla dziecka.

jedziemy, pomagamy. Prosimy, aby zebrane już środki, teraz zbyteczne, przekazano na inny fundusz, który umożliwi powstawanie nowych sektorów. Ludzkość nigdy nie będzie szczęśliwa, ale można jej ulżyć. Być może brak mi śmiałości. Być może, jak wielu twierdzi, powinienem być zostać prezydentem. Kiedy patrzę, ile ściska dłoni i potrząsa nimi bez żadnego efektu, jestem skłonny przyznać im rację. Choć z drugiej strony, bywają przypadłości i w dotyku nieuleczalne.

Emporium

To ja wygrałem wybory, to na mnie głosowaliście. Nie na na program ani partie. Na mnie. Agencja reklamowa, którą założyłem, rozwijała się samoczynnie, niczym lawina. Wciąż przybywało produktów i hurtowników, którym zawsze będzie brakować stugębnych konsumentów.

Ile można zjeść margaryny, wypić trunków, nakupić samochodów, a do tego uciuć jeszcze oszczędności, żeby je złożyć w banku na kuszący procent? Produkty od dawna zalewają rynek. W

każdym narożnym sklepie jest ich tyle, że starczy na długie życie spędzone w obfitości. Trzeba zatem sprzedawać jedne kosztem drugich, sterować apetytem, kształtować preferencje.

Jak to robimy? Mechanizm jest prosty. (Na pozór: dopiero dziś rozumiem głębię mechanizmów.) Dostajemy wyniki wstępnych badań rynku. Profil klientów, wiek, zainteresowania.

Ile mają pieniędzy do wydania na nas. Gdzie są ich czułe miejsca, na czym im zależy. jaką najwyższą cenę będą w stanie przełknąć.

Nigdy nie wolno przedobrzyć, nie można ich urazić. jedno fałszywe słowo – i sprzedaż spada na łeb. Najlepiej jest trzymać się w górnym rejestrze. Górnym rejestrze, ale ich percepcji. Tak aby zrozumieli, natychmiast, bez wysiłku – komunikacja cepa z ziarnem. Jednocześnie niech czują się mile podbechtani. – Rozumiemy się świetnie, użytkownicy marki... – tu ręka sięga do portfela.

(Jestem daleki od cynizmu – streszczam pierwszy lepszy podręcznik marketingu.)

Niemoralni? Przeciwnie, krzewimy moralność: pozostajemy wierni żonie. To ona decyduje o losach budżetu, z którego czerpie także nasz interes. Udziela nam wskazówek, pod ścisłą obserwacją, nieprzerwaną, intymną, to jej sekretne sny mruczą w pamięci naszych komputerów. Ją zaprasza instytut badania opinii na degustację serów, niech jej smak rozstrzyga. Proszki do prania obiecują czystość, niepokalaną, dla całej rodziny. Pasty do zębów ślą jej moc uśmiechów i pocałunki, w których nie wyczujesz dziur. Kosmetyki łakną jej umęczonej skóry, podpaski wypijają jej miesięczną krew. Odkurzacze z filtrami dają jej odetchnąć. Jest oczkiem w głowie kineskopów, w których za trzydzieści sekund na wizji przed wiadomościami płacimy krocie, ale zarabiamy...

niech lepiej to zostanie tajemnicą.

Kiedyś pisałem bezinteresownie. Odważnie, nie schlebując gustom publiczności, narażając się na niezrozumienie. Sarkazm krytyków nie dawał mi zasnąć. Nikt z nich do dziś nie odkrył wywrotowych idei drzemiących pod uspokajającym metrum (wobec których wszyscy, jak jeden pień, pozostawali głusi). Czysta muzyka moich amfibrachów nie nadawała się do skandowania w tłumie. Cenzorzy lekko przykrawali tekst, nie rozumiejąc, że cały jest zamachem. Pielęgnowałem

wrażliwość w czeluściach pokoju, wynajętego w obskurnej kamienicy. Zadowalałem się kawałkiem

ryby smażonej na oleju rzepakowym. Rano, kiedy mgły jeszcze nie opadły, byłem już na nogach i Wymykałem się na pierwszy obchód pół. W śpiewie kosa odnajdywałem ton, który mi wtórował,

kiedy potem cierpliwie szlifowałem dystychy. Nikt nigdy nie usłyszał śpiewu kosa. Kanarki, tylko kanarki działają na publiczny słuch.

Pierwsze reklamy napisałem z zemsty. Nie chcecie słuchać mego głosu kosa, więc kupujcie

napoje gazowane, od nich dostaniecie czkawki albo niestrawności. Kupowaliście, sprzedaż wzrosła dwuipółkrotnie, a ja zarobiłem więcej niż za zbiór sonetów. Wkrótce miałem cały portfel zamówień. Musiałem odrzucać pewne propozycje, kierując się zawodową etyką, nie pozwalającą na reklamę produktów, które konkurują.

Dopiero dzisiaj widzę, jak bardzo się myliłem, odbierając tej pracy jej wielkość. To ona wprowadza porządek do chaosu rzeczywistości, buduje hierarchię, jest projektem bez mała teologicznym, któremu warto było poświęcić życie. teraz już bliskie celu.

Wszędzie słyszałem swoje, nie podpisane, slogany. Wypowiadały je piękne kobiety (które jednak najlepiej wypadają milcząc). Zachwalały alkohol i papierosy, nie pijąc i nie paląc, bo zabrania tego prawo reklamowe, a alkohol i palenie szkodzą, o czym informował tekst, stosownie umieszczony pod ilustrującym jego przeciwieństwo zdjęciem. Kiedy rzucałem najcięższe oskarżenia pod adresem całej ludzkości, w pierwszym tomie wierszy dodatkowo wzmocnione przez

męskie rymy, nie odezwał się żaden głos protestu, a nie sprzedany nakład książki wysłano na przemiał. Kiedy jednak zrobiłem reklamę papierosów i obowiązkowe ostrzeżenie przed ich szkodliwością: powodują raka i choroby serca, wydrukowałem dwa razy większe, niż zgodnie z prawem należy, a potem je uzupełniłem tą samą czcionką: dlatego wybieram lighty (tu marka) – wtedy organizacja konsumencka pozwała mnie do sądu i proces wciąż jeszcze się toczy, grożąc gorszą od raka i chorób serca utratą koncesji.

Kobiety nie są piękne same z siebie w powiększeniu dwa metry na cztery, a takich wymiarów od nich oczekuje miejsce pod plakat na złuszczonej murze. Pory ich skóry zieją otworami, musimy je cerować na naszym komputerze, w punkcie artystycznego cerowania skóry. Oczy ujawniają asymetrię, zęby trzeba naprawiać jak sztachety w płocie. Niekiedy stwarzamy jeden wizerunek, posługując się kilkoma ciałami. Tutaj bierzemy nogi, tutaj brzuch, układamy piersi, bez silikonu – konstruktorzy z żebra Adama.

Biedne, bezdomne modelki, nieświadome losu swoich sprzedanych bezpowrotnie ciał.

Zdejmujemy je w studio na neutralnym tle. Fotograf nachyla się nad aparatem, flesze buchają, reflektory grzeją, posrebrzane wklęsłe parasolki pomnażają światło, zamiast dawać cień. Niczym

69

gilotyna spada przesłona. Są martwe, unieruchomione, teraz komputery zajmą się zabalsamowaniem na wieczność ich ciał, składających się z wiązki punktów na ekranie, z setek tysięcy bezbronnych pikseli. Możemy z nimi zrobić wszystko, wszystko. Możemy je ubierać, rozbierać, przebierać. Zmieniać karnację skóry, kolor oczu, włosy, rozciągać je, przesuwając, rozświetlać, obracać wokół dowolnej osi, którą wykreślimy jednym boskim sztychem na ekranie. Możemy je wtapiać w tło, tak że nikt nie dojrzy, że naprawdę nigdy tam nie stały, rzucać w objęcia i wyjmować z objęć, zanurzać w cieczy, posypywać piaskiem, nakładać warstwy i zdejmować

warstwy. Uderzamy w klawisze jak wirtuoz, tekstura układa się posłusznie, punkty tańczą, z prochu powstałeś i w proch się obrócisz, w raster, cierpliwy jak robactwo.

Potem modelki, wegnane do rajy, zaczynają swoje drugie życie, prowadzone w myśl harmonogramu ustalonego przez specja od mediów. Zaludniają strony magazynów, afisze, opakowania. Patrzą przed siebie w cztery strony świata, na co pozwala obrotowy słup. Oblepiają sobą coraz więcej, jakby się rozlała maź. Wkrótce trudno będzie znaleźć miejsce, którego nie mają się reklamy, piąty żywioł, dodany do czterech. Zawładnęły prywatną korespondencją i w stertach folderów lądujących w skrzynce łatwo przeoczyć staroświecki list, pisany jeszcze ręką, niekupiecki.

Opanowaliśmy technikę druku na każdym podłożu, na papierze, folii, suknie, na szkle i asfalcie, nawet na piasku but odciska stygmat, grawerowaną na podeszwie markę.

Modelki, rozmnożone metodą klonowania, są triumfem nowego humanizmu, wszystkożernej konsumpcji i nic, co produkowane, nie będzie im obce. W trosce o harmonijny rozwój żywią się margaryną, tłuszczem nienasyconym. Żądze, jakie w nas rozbudzają, dają się zaspokoić w drodze transakcji – kupmy piwo i świat należy do nas, pienisty, wystrzelający spod kapsla. Oglądam ich doskonałe woskowane ciała i – nie kryję – ogarnia mnie czułość, boskie, słodkie uczucie.

Z czułością myślę też o naszych wielkich poprzednikach, pracujących w państwowych archiwach nad fotografiami, z których usuwali byłych dostojników, Berię, bo na każdego przyjdzie kolej, Clementisa – po nim, jak wiadomo, została czapka, widka, przeniesiona na głowę premiera, tymczasem jeszcze stojącego obok. Pracowali ręcznie, ślęcząc godzinami przy lampie,

z
pędzelkiem, w oparach chemikaliów, tracąc wzrok, ale nigdy ducha, niczym Meegeren.

Podziwiam

kocią zręczność redaktorów uzupełniających brakujące hasła w nowym wydaniu encyklopedii, aktualizowanym pod presją realiów. Kolekcjonuję także stare widokówki – nie wolno się odcinać od korzeni – niekiedy z rosyjska zwane odkrytkami. Zachody słońca nad kurortem, mżawka idąca

od fontanny, parki, plaże i porty, w górze smużki dymu, jak przystało na zgłiszcza po pożarze. W starych albumach o kartach przedzielonych postrzępionym na krawędzi pergaminem przechowuję

obrazy rodzinne, zaaranżowane na tle kurtyny z naniesionym górskim pejzażem, surowym,

majestatycznym, gwoli historii.

Gdyby nie nasi wielcy poprzednicy, ludzkość by była bezdomna. Ludzkość, która szlocha i wpada w obłęd po śmierci wodza oglądanego tylko na wcierkowych portretach, zwiewnych, zasłaniających fasady domów – wymaga przewodnictwa. Niestety, mężowie stanu stojący na wysokości umierają, a nowi nie dorastają tamtym do ostróg. Dlatego jak możemy, staramy się jej przewodzić, trzymając się świetlistego, wytyczonego szlaku, na którym zresztą coraz częściej ciekłe kryształy zastępują fluorescencję. Niekiedy, jesteśmy tego świadomi, ludzkość zbacza, wstępuje do sekt, których jest legion, bo nigdy nie brak fałszywych proroków.

Czasem przeciwnie, chce się wyzwolić spod przewodnictwa, mamiona pozorem wolności.

Szasta pieniędzmi, szarga świętości – nie wie, biedna, że my właśnie w ten sposób nią sterujemy, przy pomocy popędów.

Do tego używamy modelek i idoli, ich misja wcale nie jest bezbożna. Ciemne siły trzeba skanalizować, inaczej rozleją się, wystąpią z rynsztoka, zaleją, zatopią wszystko. Jeśli kogoś gorszy golizna, niech pamięta, że grzech rodzi się w oku. My eksponujemy czystość, o

dodatkowo

poprawionej rozdzielczości, wierzymy w prostą komunikację, w przekaz czytelny nawet z okien przemykającego przez skrzyżowanie samochodu, jeśli tylko dochowano wierności prawidłom typografii i dobrano właściwą czcionkę.

Oskarżają nas o najgorsze (a potem zwracają się także do nas, abyśmy tym oskarżeniom nadali formę przemawiającą do motłochu). O materializm, ogłupianie, rozbudzanie nastrojów, żarłoczność. Statystyki dowodzą, że gdyby nie my, bezrobocie wzrosłoby o setki tysięcy. Być może świat, pozbawiony przywództwa, zmierza ku zatracie. Ale my staramy się nadać mu przynajmniej

formę, layout, i ci, co tak lekkomyślnie oskarżają nas, mogliby równie dobrze oskarżać rozwój, postęp. A także tradycję, bo jej strażnik, papież, również korzysta z naszych usług i gdy rozgłasza urbi et orbi, stoi za nim z elektroniczną agendą w ręku nasz mediaplaner, kontrolujący nakład i zasięg.

Kolportuje się brednie o rozwiązłości naszego środowiska, przewyższającej podobno zabawy cyganerii. Nikt nie wie, że u fotografa na modelki w negliżu czeka ślepy asystent z kocem.

Opatulone, wyglądają na rozbitków, ofiary trzęsienia ziemi, pogorzalców cudem uratowanych. Głodnemu zawsze wilk na myśli, więc nie dziwota, że pozycjonowanie, szlachetną sztukę marketingu, uzna za rozpustę gorszą niż Kamasutra. My nie rozpowszechniamy pornografii, posługujemy się najwyżej sugestią, aluzją, którą jeszcze niedawno w poezji uważano za najwyższy wzorzec. W kwestii homoseksualizmu wolałbym nie zabierać głosu, ale są pewne dziedziny, w

których wrażliwość duszy okupuje się skazą, niewielkim zaburzeniem fizjologii. Talent domaga się ofiar, pokłosa, stąd gracze leworęczni, choćby w tenisie.

Aby położyć kres niezdrowym podejrzaniom, ułożyliśmy własny kodeks etyki, stosowany w całej branży bezwarunkowo i w wielu punktach surowszy niż tradycyjny katechizm, przekraczany

na każdym kroku przez stada owiec. Obowiązuje nas rzetelność, rzeczowość. Nigdy nie dopuszczamy się nieodpowiedzialnych, górnolotnych porównań, o członach hasających samopas.

Owszem, używamy superlatywu, ale pod warunkiem, że jesteśmy w stanie udowodnić go w liczbach. Używamy poetyzmów, ale tylko takich, które trafiają w sedno, a nie błakają się po rubieżach, jak u akmeistów. Tu nie potrzebujemy zresztą kodeksu, bo prowadzi nas głos wewnętrzny i wiemy, że sprzedaje się tylko relewancja, a nie pusta liryczność. Co jest relewancją, określają badania – skrupulatne, statystyczne – opinii. Nie znaczy to, że jej nie można kształtować –

można i trzeba, bo inaczej byłaby chwiejna, rozbieżna, niczym nietoperz zmieniająca kierunek. Nie używałbym tu pochopnie słowa: manipulacja, które ma dla nas znaczenie drugorzędne, techniczne, ograniczone do prostych operacji, patrz: rozdział o komputerowej obróbce obrazu. Obowiązuje nas klarowność, o którą – wiedzą to starzy mistrzowie – najtrudniej. Prześwieca przez ciemność znaczeń, mroki podświadomości, mgławicę niedopowiedzeń – jak lampka. Światłem, którego nie powstydziliby się Caravaggio. Jasno i dobitnie wypowiadamy prawdę. (O produkcie, ale produkt jest wszystkim.) Stajemy ponad zgiełkiem mowy, afazją kazań, bełkotem pozbawionych przyszłości gatunków. Musimy wyraźnie oddzielać nasze komunikaty od tekstów redakcyjnych – i całe szczęście, bo nie wyobrażam sobie, abyśmy mieli brać odpowiedzialność także za rojenia publicystów, pozbawionych umiaru.

Nigdy nie jesteśmy gołosłowni i jeśli drukujemy kupony uprawniające do rabatów, to zawsze musi być na nie pokrycie w towarze, inaczej niż nie tak dawno w systemie zaopatrzenia na kartki. Owszem, na wstępie dajemy obietnicę, ale dotrzymujemy jej, a także terminów napiętych w terminarzu. Jesteśmy rozliczani z każdego słowa, i nie dziwota, bo czasem zysk zależy od jednego wyrazu i kiedy drukujemy próbę chromalinową, czujemy się, jakby już ona wychodziła z wytwórni papierów wartościowych. Nie jesteśmy gołosłowni i to, co mamy do powiedzenia, piszemy wprost

na banknotach, z sygnaturą kasjera, nieinflacyjnych.

Oskarżają nas o makaronizmy, niesłusznie. Przeciwnie, to my stoimy na straży czystości komunikacji językowej. I gdyby to do nas zwrócono się o radę, Kościół już wcześniej

przeszedłby na mszę w językach narodowych, nie tracąc nic ze swego majestatu, a zyskując nowych słuchaczy.

Owszem, zdarzają się nam anglicyzmy. Niekiedy lepiej jest wiernie cytować niż zdradzać w nieudolnym przekładzie. Pomyśleć, że jeszcze niedawno naszych poprzedników pomawiano o narodowy socjalizm, kiedy walczyli z cudzoziemszczyzną. A przecież to my wołamy o wspólny rynek, zniesienie ceł zaporowych, swobodną cyrkulację towarów w Europie ojczyzn. To my odwołujemy się do tradycji góralskich, kiedy trzeba zwiększyć spożycie soku wyciskanego z rosnących w miejscowej glebie warzyw. A kto przywraca żywotność strofom zapomnianego eposu,

cytując je – tak, i wcale się tego nie wstydźmy – na korzyść, nomen omen, makaronu, szlachetniejszego od klusek? Wzburzenie wywołuje butelka z alkoholem na eksport, na której reprodukowano partyturę mazurka, a czyż muzyka nie jest wartością wspólną i czy nie powinna przekraczać granic?

Niekiedy, wracając z biura późnym wieczorem lub nocą, bo pracy jest coraz więcej, zachodzę przed wystawę dużej księgarni przy głównej arterii. Staję, kontempluję okładki. Pomińmy typografię, lubującą się w czcionkach nieczytelnych, jakby zaczerpniętych z innego alfabetu.

Zastanawiam się jednak, co mogą mieć do powiedzenia autorzy, a jeszcze bardziej – komu. My

w jednym dowolnym sklepie sprzedajemy więcej egzemplarzy czegośkolwiek, niż u nich wynoszą całe

nakłady, i tak w lwiej części nie upłynnione, zalegające w hurtowni. A przecież w myśl nowoczesnej teorii dzieła nic ono nie znaczy, dopóki czytelnik nie dopełni go własną treścią. (Zrozumiałem to już po swym pierwszym tomie.) Gdzie jest czytelnik? Gdyby zwrócono się do nas, niewykluczone, że potrafilibyśmy go znaleźć i pomnożyć. Gdyby zlecono nam redakcję tekstu,

oczyścilibyśmy go ze zbędnych ornamentów, retoryki, zawłości stylu, tak aby przemówił do czytelnika. Okładki także zaprojektowalibyśmy lepiej. A teraz jest za późno – piętrzą się na regałach jak Wieża Babel albo leżą pokotem na stołach. Tomy hermetycznych wierszy, zgrzebnych, zbędnych, które nie wytrzymałyby próby chromalinowej. (Ostatnio wprawdzie zauważyłem, że

zaczynamy wprowadzać pewien porządek także i do księgarni, w której coraz częściej pojawiają się serie bestsellerów i przy kasie obowiązuje hierarchia.)

Odchodzę z poczuciem niedosytu, nieoczytany. Kieruję się w stronę Rynku, zawsze tą samą trasą. Mijają mnie kobiety naśladujące nasze modelki elementami stroju. Późne słońce przefiltrowane przez chmury albo wczesny księżyc oświetlają, magentą albo chromem, domy i sklepy, dworzec i jego zwisającą na boki, ogromną, niesymetryczną, jak parasol z drutem złamanym z jednej strony, wiatę, kilka rachitycznych drzew na skwerku za kościołem, kolejny biurowiec międzynarodowej korporacji, w którego fasadzie odbija się neon wydzierzawiony przez holding (dzierżący także następną kawiarnię z ogródkiem sięgającym za róg, jak gdyby stał na

czatach), jeszcze dalej na południe wiadukt z zaciekami, jakich nie są w stanie zasłonić nasze rozwieszone jeden przy drugim billboardy, stare ruchome schody, ostatnio odnowione i oblepione przy tej okazji hasłami przyklejonymi do lica stopni, czytelnymi tylko dla wjeżdżających do góry, którym slogan ukazuje się na wysokości oczu i za chwilę znika u szczytu; w dali za rzeką stadion z koroną owalną, dla jajogłowych, przekształcony w ogromne

targowisko, bo igrzyska zostały

wyparte przez handel, bez którego jednak nie byłoby olimpiady, zaraz za zakrętem trzeci, licząc od pętli, przystanek trójki, jeszcze służący za pisuar, ale już zradiofonizowany, z podświetlonym rozkładem jazdy sponsorowanym przez szwajcarskie zegarki i afiszem nakłaniającym do

smarowania chleba margaryną oburącz, napis: lody, nawisły sopłami nad witryną zamienianą w ciągu dnia w okienko, gdzie dwadzieścia lat wcześniej kupowałem jako dziecko trzy kulki, latem po paru metrach ciekące po brodzie, drugi kościół, Świętej Trójcy, z niekomunikatywnym w tym

świecie witrażem, tramwaje sunące przez skrzyżowanie stadami, bo różniej w stadzie, i motorniczych przy pomocy stalowej wajchy przestawiających zwrotnicę, niekiedy tak upartą, że samozwrotnie wracającą do poprzedniej pozycji – wtedy tramwaj zbacza na chwilę z trasy, staje z piskiem, cofa się wśród przekleństw, a jednak z pożytkiem dla malowanych na jego boku napisów, które dopiero teraz ukazują się we właściwym porządku, najpierw podmiot, potem orzeczenie, a na końcu wykrzyknik, podobnie jak w oknie banku, gdzie po elektronicznym wyświetlaczu przesuwają się kursy akcji, od prawej do lewej, a nie odwrotnie, co powodowałoby inwersję i panikę na

giełdzie; giełdę mającą tylko u wylotu Alej, które, wciąż w drodze do Rynku, przecinamy skosem; nowy lokal partii, dziś, niestety, cząstkowej, nie, jak kiedyś, holistycznej, pełnej, działającej pro toto; kolekturę gier liczbowych, obleganą przez milionerów w środę; pizzerię i parkującą przed nią motorynki rozwożące wyroby w płaskich pudełkach z nadrukiem; dwie restauracje, jedna smaczniejsza od drugiej; park municypalny, gdzie światło – teraz padające od tyłu – rozprasza się lub zaostrza, napotykać na swej drodze drzewostan liściasty, topola, wiąz, kasztan i brzoza – z domieszką sosen; w parku plastikowe pojemniki na śmieci, ustawione tam przez centralę surowców wtórnych, wyprodukowane z zawartości, dla potrzeb ekologii, a także pozostały po pomniku cokół, na który pchają się gołębie bez zasług; bar szybkiej obsługi emanujący własnym, wewnętrznym światłem, z chorągwią na fasadzie, falującą i podgrzewaną przez reflektor, aby na wietrze nie wystygł hamburger, świeżo wyhaftowany; wreszcie Rynek, na który wchodzimy pod kątem, nową nawierzchnię położoną na kongres ekumeniczny, pręgierz, kolumnę, ratusz, zamek książąt w budowie, wały, barbakan, łuki wieńczące dzieło na skarpie i rozciągnięte wzdłuż wykopu prowizorium parkanu, a także inne, brak miejsca, aby je tu wymienić wszystkie – nośniki reklamy.

Oskarżają nas o merkantylną pedofilię, wykorzystywanie dzieci, a przecież w tym względzie obowiązują szczególne środki ostrożności, których zaniedbanie prowadziłoby do utraty koncesji. Poświęciliśmy im cały osobny rozdział i szereg wytycznych. Nie wolno nam podważać autorytetów, sugerować przewagi, zachęcać do obcowania z nieznanymi, wsiadania do samochodu z boczeńca, nawet kiedy ten gestem zaprasza do wnętrza wyposażonego w poduszkę powietrzną, nie wolno nam uciekać się do bezpośrednich apeli, mieć niską rzekomo ceną, zaniżać wieku wymaganego od użytkownika, nie powiedzieć o bateriach, jeśli są konieczne, aby uruchomić urządzenie elektryczne, jak również o farbach (albo kalkomani), jeśli na pudełku przedstawiono produkt pomalowany, a wewnątrz nie znajdziemy ani farbki, ani pędzelka. Nie wolno nam stosować 74

w przekazie przemocy – słowem, nie będziemy dalecy od prawdy, gdy powiemy, że nieletni otoczeni są opieką lepszą niż w niejednym domu poprawczym.

To głównie dla nich urządzamy konkursy, propagujemy zbieractwo kapsli, a do komputerów dołączamy program edukacyjny lub encyklopedyczny, zależnie od opcji. Kosztuje nas to niemało

środków, bo dorośli wykorzystują okazję, skupują kapsle, fałszują ich numery, i zamiast jednej nagrody głównej musimy wyasygnować cały szereg nie ujętych w kalkulacji nagród, jeśli nie chcemy narażać się na kolejny proces.

Nieprawda, że ulegamy modzie. My ją proklamujemy, bo zawsze trzeba się trzymać o krok do przodu, bywa, że trudny do przewidzenia ze względu na meandry i nieoczekiwane powroty. Niekiedy myliliśmy się, przyznaję, zwłaszcza w długości, określanej zazwyczaj względem kolan. Nie przewidzieliśmy także eksplozji beretów, zakładanych na bakier lub zsuniętych na czoło, będących, jak chcą historycy ruchów niepodległościowych, odpowiedzią na czapki z daszkiem, lansowane przez państwową wytwórnię wyrobów laminowanych. Do dziś w tej kwestii historycy spierają się pryncypialnie. Osobiście uważam, że żadne ruchy nie są niepodległościowe i nie ma innej historii niż historia mody.

Nie zawsze rozstrzyga daszek. Pamiętam czapki kepi, wysokie degolówki, zakładane z okazji wizyty prezydenta Francji. To trwało krótko, może jeden, może dwa sezony, ale kapelusznicy zarobili swoje, a młodzież poczuła się buntowniczo jak dreyfusardzi. Weźmy spodnie, najpierw szerokie, marynarskie, z myślą o potopie, potem, przeciwnie, wąskie niczym kalesony, choć z kantem. Materiały gładkie, lekko prążkowane, z jasną nitką powracającą co dwa centymetry, i miękkie, niemal z pluszu, zaraz wyświechtane na mankietach i przy kieszeniach. Ogromne klipsy, jak pół popielniczki, koszule bez bawełny, z zakazem prasowania. Trzeba wybierać, nie sposób ubrać się w to wszystko naraz. My kształtujemy wybór, kształtujemy krój, przyoblekamy ciało luźniej albo ciaśniej. Chronimy przed śmiesznością, bo jak by dziś wyglądał osobnik paradujący po ulicy w kepi, kiedy już głowa nie ta i prezydent nie ten. Wciąż przybywało nam zleceniodawców, którym mieliśmy przysporzyć konsumentów, tak by zapewnić światu nowe zamówienia. Wychowany w epoce kolejek, wyobrażałem sobie tę sztafetę jako jeden nie kończący się ogonek. Biuro pękało w szwach, wracałem coraz później, coraz bardziej zmęczony, i wkrótce przestałem odróżniać księżyc i słońce, chrom od magenty, cyjan, a także inne kolory.

Chciałem temu zaradzić, rozbudować biuro, może rozbić je nawet na dwie siostrzane agencje, dzielące się portfelem zamówień. Daliśmy ogłoszenie o naborze nowych współpracowników, w najmniejszym z możliwych formacie, tak by dostrzegli je tylko wtajemniczeni. Zgłosiło się pół tysiąca, w większości nieuków, i przez tydzień musieliśmy przyjmować teczki z podaniami i próbkami nieuctwa. Młodzi myślą tylko o karierach i wydaje im 75

się, że rynek jest walką na żarty. Chcieliby się wykpić dowcipem, naciągany bardziej niż gra półsłówki, z którego nikt się nie śmieje. Prawdziwą plagą są dzisiaj kalambury, tylko zakłócające komunikację. Nikt nie ma odwagi powiedzieć prawdy wprost, bez owijania w ironię, oczywistej, trafiającej prosto do serca. Na schodach kamienicy, w której zajmujemy ostatnie piętro, zrobił się zator, wróciła epoka kolejek.

W końcu zatrudniliśmy cztery osoby na próbę. Trzy zostały i nawet jeśli początkowo przysparzały nam tylko więcej pracy, były widoki... Niestety, pojawiły się nowe okoliczności. Mieliśmy w tym czasie kilka długofalowych projektów, obejmujących różne branże. Materiały termoizolacyjne, niepalne, odporne biologicznie, nie wymagające konserwacji, o minimalnym współczynniku przewodnictwa. Praliny w czekoladzie, rozplływające się w ustach, co

jednak wcale nie odróżnia ich od konkurencji, też płynnej i z nadzieniem. Preparaty owadobójcze, ale nieszkodliwe dla ludzi, tak że pokój zarasta roślinnością przez noc i budzisz się w gąszczu, zdrowy jak Tarzan. Oranzady o smaku prawdziwej pomarańczy, bez środków

konserwujących, w butelkach, kartonikach i puszkach, z kuponem zwrotnym upoważniającym przy następnej partii do rabatu. Towarzystwo ubezpieczeń wzajemnych, gdzie składki są mniejsze, bo akcjonariusze pilnują się nawzajem i w ten sposób zmniejsza się szkodowość. Wózki podnośnikowe, silne – tu nie mogliśmy dojść do porozumienia z klientem – jak słoń czy mamut. Biuro podróży wysyłające turystów tam, dokąd by ich inaczej nie poniosło, czarterem. A także kilka innych ofert w stadium zaawansowanej dyskusji.

Pamiętam, że był piątek i zanosilo się na jeszcze jedną roboczą sobotę, przechodzącą w niedzielę. Byłem już sam, włączyłem sekretarkę, żeby byle komu nie odpowiadać. Ostatni tego dnia telefon. Usłyszałem znajomy głos, Kandydata, mówiącego samodzielnie, bez rzecznika, jak na

wieczu, we własnej osobie. Podniosłem, przerywając mu w pół słowa. – Jestem – powiedziałem – jeśli to mnie pan szuka. – Słucham.

Prawdę mówiąc, zapomniałem o nadchodzących wyborach, na których używali sobie domorośli literaci z byle biura (będziesz wybierał, wybierz nasz produkt). Spotkaliśmy się jeszcze tego samego wieczoru i ustaliliśmy harmonogram na najbliższe tygodnie – miał zmienić bieg historii.

Czułem, że wypełnia się moja misja, zobaczyłem w nagłym skrócie jej sens i sumę, niczym w filmie puszczanym przed śmiercią, w którym wszystko się łączy w jedną wiązkę, nim zgaśnie, bezpowrotnie, jak magnezja. Ale ja żyłem, nie umierałem. I teraz mogłem scalić rozproszone przez lata doświadczenia. Ustąpiło zmęczenie, mimo kilkudniowej bezsenności widziałem wyraźniej niż kiedykolwiek czcionki, kolory, półtony i mogłem na oko robić to, co normalnie wymaga całego szeregu przymiarek. Potem, kiedy zasypiałem pod wpływem środków, budziły mnie ostre puenty, rzucane z trybuny wobec tłumu wyborców i dźwięczące w uszach jak

budzik. Notowałem je i jakoś zasypiałem znowu.

Sondaże nie dawały nam żadnych szans i pierwszą sprawą było odwrócić krzywą, którą według reguły White'a trudniej jest wypoziomować niż potem stopniowo podnosić, bo sprzedaż, gdy zyska własną dynamikę, staje się zaraźliwa jak epidemia, i efekt synergetyczny nie każe na siebie czekać, równanie łatwe do rozwiązania na modelu teoretycznym, ale w praktyce trudne do podźwignięcia.

Paradoksem naszej sytuacji było to, że przeszłość, która powinna nam dodawać skrzydeł, działała na naszą niekorzyść i należało się od niej odciąć, ale tak, by nie zrazić dawnych sojuszników. W ciągu kilku minut naszkicowałem tekst przeprosin dla ofiar dawnego systemu, wygłoszony potem słowo w słowo wobec obu izb parlamentu. Historycy mogą do woli zajmować się jego analizą, ale klucz leży raczej w rękach fonetyków, gdyż ów dokument był tylko emisją głosu. Zaczęliśmy zwykować, bo intonacja udziela się tłumom.

Wybielmy przeszłość – ci, którzy myślą, że ośmieszyli mój slogan chwytem paronomazji, mylą się zasadniczo. To nasz punkt wyjścia był negatywny i dopiero na jego rewersie ukuliśmy hasło wyborcze – im nie zostawiając tym samym pola manewru. Naszym sojusznikom podaliśmy slogan, a przeciwnikom wepchnęliśmy w usta ów antyslogan niczym knebel, tłumiąc argumenty groźniejsze. Jestem autorem obydwu.

Nie przeceniałbym jednak znaczenia haseł, nawet tak udatnych jak nasze. Decydująca jest telewizja i jeśli zapytać ludzi na wsi, na kogo będą głosować, odpowiedzą, że na spikera, bo ten im coś mówi. To nic, że spiker nie kandyduje. Żeby wygrać, wystarczyłoby się zatrudnić w

dzienniku jako usta mielące wiadomości, albo w prognozie pogody idącej od Wysp Azorskich. Niestety,

telewizja jest hojna dla aktorów murszejących w serialu, ale kandydatom czas dawkuje po aptekarsku.

Dlatego po wielu dyskusjach zwróciliśmy się do artystów estradowych, którzy zresztą nie mają oporów. Posunięcie nie pozbawione ryzyka, bo dusza artysty tchnie, kędy chce, zwłaszcza po alkoholu, a bez niego trudno się obejść. Ruszyliśmy w tournée po kraju w sile dwóch autobusów, w jednym Kandydat ze sztabem, a w drugim szansoniści, muzycy i prestidigitatorzy. Musiałem

tymczasem, dla potrzeb chwili, zostawić na biurku materiały termoizolacyjne, które się nie palą, i inne bieżące roboty, zlecając co mogłem, współpracownikom. W tym okresie straciliśmy dwóch ważnych klientów, ale jestem pewien, że jeszcze do nas wrócą, kiedy już ucichną skandale i zamknie się bilans.

Odkryłem nowy kraj, o trudnej do określenia wartości nabywczej, terytorium na razie zamieszkanе przez elektorat, który jednak z czasem da się uszeregować według grup docelowych.

jeździliśmy po miasteczkach, nie gardząc nawet dziesięcioletnimi. W wojewódzkich czekała telewizja i wóz transmisyjny przesyłał koncerty w eter. W remizach strażackich gasiliśmy pragnienie kontaktu z ludnością. Otwieraliśmy gminne przychodnie zdrowia, obsługiwaliśmy festyny, Kandydat tańczył, choć powinien się słać na nogach. Wyborców rozsadzał entuzjazm, a nam rosła krzywa.

Nocami siadaliśmy nad tekstami kolejnych improwizacji, przesuwając akcenty, zależnie od responsu, na jaki natrafialiśmy na trasie. Na sen pozostawało raptem kilka godzin, w czasie których nie mogłem zasnąć, bo bezsenność lubi się gromadzić i potęguje do sześcianu. Wtedy wychodziłem i szedłem po polu jak w czasach mojej młodości, z tym że częściej od kosów spotykałem teraz

nietoperze gnieźdzące się po stodołach, bezgłośnie i odważnie przelatujące mi nisko nad głową. Czasem na tle nieba odcinał się puszczyk, będący pod nieobecność sowy mózgiem nocy. Świtało i sprawy posuwały się o dzień do przodu.

Spodziewaliśmy się plugawych ataków ze strony przeciwników. Kandydat zostaje prześwietlony jak klisza wydobyta na światło z ciemni. Wszystko, co w innych okolicznościach jest tylko pigmentem, przydającym barwy postaciom, tutaj staje się zagrożeniem, niebezpiecznie wystając spod kamuflażu. Nie zdane na czas egzaminy, mandaty nie uiszczone za parkowanie pod

znakiem zakazu, dawne kochanki, przeżywające nagły powrót uczuć, w nawiązaniu do ciąży, którą przed laty przerwały, mieszkanie załatwione dla syna bez asygnaty, zeznanie podatkowe, gdzie

brakuje kilku spinaczy, ojciec posiadający konto za granicą, bo odpowiedzialność rozkłada się także na rodziców i dziadków, biegnąc przez pokolenia, tak że w nowym świetle staje nawet zabójstwo Abla, nie daj Bóg jakieś odgałęzienie w kierunku Aszkenazych – słowem, życie we wszystkich jego przejawach stanowi śmiertelne zagrożenie dla Kandydata.

Radziłem, aby nie tuszować niczego na siłę, bo nawet komputerowa obróbka obrazu ma swoją przepustowość i można zmienić detale, ale nikt nie będzie się porywał na całość i przekształcał konia w albatrosa, jeśli nie chce ryzykować hybrydy. W tym jednym mnie nie posłuchano i szkody, jakie wynikły z afery rozpętanej wokół funduszy dawnej organizacji młodzieżowej, niewiele brakowało, a wstrząsnęłyby urną. Od razu należało się przyznać. Po

pierwsze, ci ludzie są dzisiaj dorośli (już wtedy byli) i stanowią trzon aparatu. Nie wolno się odcinać od trzonu. Po drugie, wszystko wówczas finansowano w taki sam sposób, sport i kopalnie, deficyt w handlu z sąsiadami, odbudowę zabytków, przedszkola, rybołówstwo i budownictwo, obronność i transport – bo jedna była kasa i jeden główny księgowy. Wypierając się tych pieniędzy, daliśmy przeciwnikom do ręki oręż, którym mogliby wyciąć nas w pień, tym łatwiej, że już odciętych od trzonu. Nie mamy się czego wstydić i w istocie te inwestycje, nawet jeśli nie do końca zyskowe, były tylko forpoczta nowego ustroju, czego nie rozumieją ci, którzy oskarżają nas o to, że wlekleśmy się w ogonie.

Na szczęście ujawniła się prawda o funduszach wyborczych drugiej strony – to chce, niech wierzy w przypadki. Zamienione w arkusz kalkulacyjny gazety zonglowały liczbami, dodatkowo rozmnożonymi dzięki przeliczeniom, tam i z powrotem, na nowe pieniądze, bo denominacja objęła nie tylko język wartości, takich jak solidarność i wierność, ale także finanse. Krzywe się wyrównały.

Rozstrzygnąć miał pojedynek przed kamerami. Nie chciałbym sobie przypisywać nie swoich zasług, muszę więc uczciwie powiedzieć, że wydatnie pomogła nam konkurencja. Kontrkandydat przyszedł ubrany w kraciastą marynarkę w drobny wzorek, opalizujący na wizji, czego nie wytrzyma żaden kineskop. Był niewyspany. Chrząkał. Wpadał nam w słowo. Mogliśmy właściwie

się nie odzywać, tylko trwać, emanując ultramaryną.

Na monitorach śledziłem swoje dzieło, na pozór transmitowane na żywo, w istocie dopracowane lepiej niż niejeden commercial. Patrzyłem na rogowe oprawki, wybrane spośród setek wzorów i przebadane na reprezentacyjnej próbie krótkowidzów, na wąsy, które kazałem mu

przyciąć, tak żeby stwarzały wrażenie porządku, niewielką przerwę w zębach, regulowaną co do mikrona, nie pozbawioną wdzięku chłopcękości, na usta, w których rozpląnęłyby się nie tylko praliny, ale i gorzkie pigułki.

Wszyscy znają wyniki, jedenaście milionów siedemset tysięcy pięćset siedemdziesiąt dwa glosy, nie licząc nieważnych, z których większa część też była oddana na nas.

Ile wyniosłoby spożycie – czasem bawią mnie takie przeliczenia – tej grupy w stosunku rocznym? Parę tysięcy kilometrów batonów, lata rozmów telefonicznych, zalew napojów, spiętrzony przez tamę z chusteczek higienicznych.

Odrzuciłem wszystkie propozycje, właściwie bez skrupułów, chociaż przyznaję, że przez chwilę ważyłem w ręce tekę ministra, kinematografii albo komunikacji. Plotki o tym, że zostałem odsunięty, są śmieszne. Nie można odsunąć kogoś, kto trzymał dystans.

Wróciłem do biura. Mamy nowych klientów, z branży tworzyw sztucznych i bankowości. Pracuję, kształcę młodzież. Lepiej niż kiedykolwiek znam mechanizmy, ale staram się także dostrzegać misterny rysunek żyłek na liściach wiązu. Coraz więcej chodzę piechotą, za radą lekarzy. Śledzę kursy walut i zacząłem też obserwować zwyczaje ptaków nad wodą. Czy wystartuję ponownie? Nie wiem, po kampanii następuje kadencja i na razie jej będziemy doglądać.

Zebracy

Siadam na skrzyżowaniu i stamtąd widzę wszystko, magistrów zmierzających do pracy z

teczką pełną przypisów, doktorów eo ipso, emerytów, którzy zapominają, dokąd są w drodze, młodzież sunącą na łyżwach kulkowych, policję przechadzającą się surowo, jakby w akademii perypatetyków powtarzała każdy kilometr, psy ostro- i gładkowłose, prowadzone na spacer przez kynologów, księży na chwilę zasłaniających widok rozłożystą sutanną – Bóg zapłać! – cudzoziemców kręcących się wokół swojej osi, z przewodnikiem w ręce szukających kierunków, kobiety w zaawansowanej ciąży, bez wózka, i wychudłe, pchające go przed sobą, pary przytulone, jakby szły w przewężeniu, i dwójki rozwodowe, idące osobno, każde w swojej koleinie, dzieci w pojedynkę, ciągnięte na ręce wyprostowanej w łokciu, albo grupowo, jak na wspinaczkę trzymające się sznurka, głodnych spieszących do kuchni na obiad i tych, co nie wytrzymali z głodu, już jedzą parówkę kupioną w kiosku z szybkim jedzeniem, nachyleni do przodu, aby nie kapnął na koszulę sos lub musztarda, widzę czekających na umówione spotkanie dziesięć minut, kwadrans i tych, co przychodzą po czasie, już jej nie zastając, bo przed chwilą odeszła, zniechęcona, i kwiatki teraz wziętną w ręce, na której zegarek wyraźnie pokazuje podziałkę, mógłbym pośredniczyć nie tylko w tym spotkaniu, niedoszedł, ale także w innych, ja, który siedzę na skrzyżowaniu i widzę

docentów wąskospecjalistycznych, zielonych w dyscyplinach pokrewnych, pojazdy czekające na światłach, jedno- i dwuśladowe, z kontyngentu, którym skapują z rury resztki nie spalonej benzyny, kieszonkowców Ignących do tłumu niczym proletariusze, z żyłką już przygotowaną do skoku,

prostyucję kroczącą krokiem rozkołysanym w biodrach, na wolnych obrotach, z obfitą szminką, torebką na złotym łańcuszku, skrywającą pudełeczka z pudrem, która wskutek nieporozumienia, szarpnięta przez stręczyciela, rozsypuje swoją zawartość na trotuarze i makijaż przez chwilę podkreśla odlany na chodnikowych płytach herb miasta: orła wspartego łapami na dwóch wieżach i ostrzającego o nie pazury, podczas gdy dziób ujęty z profilu przebija chmury niby samolot, widzę i chmury zbierające się nad kolegiatą, w ciągu wieków paloną i odbudowywaną, bo dostrzegam także i tło, kontury, wzbogacone, jeśli trzeba, o historyczny zarys.

W wiekach średnich nasze znaczenie było nie do przecenienia, a i potem nasza rola, zwłaszcza w przewrotach społecznych, zasługiwałaby na niejedno studium, ale historia woli zajmować się jednostką wybujałą w pałacu, a nie siedzącą na trotuarze, odkąd pojawiły się trotuary.

Marzyłbym, aby każdy z moich poprzedników pozostawił choć pobieżną relację (pobieżną! – nasze obserwacje nigdy nie są zdawkowe), do której teraz bym się dopisywał, zachowując ciągłość, jak stacja meteorologiczna odnotowująca opady z lipca roku Pańskiego, co pozwala na wykres i

krzywą, jak termometr, zawsze działający, nigdy w spoczynku, nawet kiedy wskazuje na zero. W ten sposób byśmy stworzyli księgę honorową, wystawioną nie dla wybrańców, w zamknięciu, ale na placu publicznym, dla wszystkich, do której gość wpisuje się całym sobą. Niestety, moi poprzednicy zniknęli bez śladu, świeć, Panie, nad ich duszą wydziedziczoną. Z trudem się zatem, samotny, przedzieram przez tłum będący na razie masą nieokreśloną, zajmuję historyczne miejsce pod murem, widzę, jak południk się krzyżuje z równoleżnikiem, wyznaczając nowe współrzędne, i zaczynam pracę od podstaw.

Wybieram dzień celowo powszedni, dobrze osadzony w tygodniu, na przykład środę, o przeciętnych prognozach, prawie bezchmurny, z lekko opadającym ciśnieniem, które może spowodować opóźnioną reakcję, mimo że indeks na giełdzie zachowuje tendencję wzrostową i parkiet musi być w gotowości. Nie są przewidywane żadne manifestacje, nie licząc tej, która trwa

nieprzerwanie, a jednak wciąż umyka kamerze i oku – ale nie uprzedzajmy wypadków, obserwację

należy prowadzić w stosunku jeden do jeden. Częstotliwość pozostaje wzorcowa, żadnych zakłóceń w dostawach, pyłkom na razie nie spieszo opuszczać topoli i imieniny Eustachego także nie

powinny zakłócić tu czegokolwiek. Słowem, siadamy. Na początek rzucam kilka drobnych, sam sobie – i ze studni nie tryśnie, póki do pompy nie wlać choć szklanki wody.

Pierwsza podbiega dziewczynka, lekko przestraszona, oddaje resztę po lodach, kupionych chwilę przedtem w kiosku, wydającym te końcówki nie wiedzieć po co, bo pięciogroszówki, niepotrzebny brzęczyk, już dawno powinny być wycofane, przez moment patrzy mi w oczy, a ja mruczę podziękowanie – nawet jeśli w głębi duszy pogardzam jałmużną, także o nominale większym, staram się nie uronić szczegółów, bez których nie byłoby panoramy. Przyzwyczajony do drobnych, wiem, że gra się toczy o grube.

Wkrótce potem pojawia się, dla symetrii stworzenia, chłopiec, do niego mrużę oczy, niech myśli, że jestem ślepy i nie widzę świeżej plamy zdobiącej stebnowkę, po jogurcie jeszcze widocznym jako błąd punkt w kącie ust, obok śliny, że nie widzę za paznokciem brudu i że nie dostrzegłem lęklivego zaciekawienia, jakim mnie obdarza, nim odbiegnie w podskokach, lekko, bo lżejszy o dobry uczynek.

Kobieta, która mogłaby być jego matką, zostawia pierwszy banknot, nachylając się, jakby raczej coś podnosiła, a nie odkładała do czapki. Na: – Bóg zapłać! – odpowiada: – Amen – czyżby modliła się do mnie o wsparcie? Błogosławię jej, na ile mogę.

Staruszka, wdzięczna, że los jej tego oszczędził, odlicza złotówkę od renty – mógłbym ją dofinansować, jeśliby jednocześnie zostawiła numer rachunku lub adres.

Mężczyzna w jasnym prochowcu musi mieć na sumieniu niejedno i wątpię, czy zostanie mu odpuszczone za tę garstkę miedziaków spadających z hałasem – jeden nie trafia i toczy się po trotuarze, aż wreszcie ktoś go podnosi, rozgląda się, nie wiedząc, komu oddać, dostrzega mnie, 81

podchodzi i dokłada do utargu, jak makler. I jemu dziękuję za pośrednictwo w transakcji, niech pokój będzie w domu maklerskim.

Wolna od zajęć młodzież przechodzi grupą pięciu wyrostków, co kopia puszkę w pół drogi między walcem a krążkiem. Zawadzają o czapkę, więc wygrażam im laską, biskup wyglądający jak

bezsilny starzec.

Nigdy nic nie wyjaśniam, zostawiając to domyślności przechodniów. Koledzy zajmujący pobliskie stanowiska wypisują na tekturach historie mrozące krew w żyłach. Nie umiałbym kłamać, nie chciałbym utożsamiać się z chorymi na syndrom. Nie straciłem wszystkiego w pożarze. Nie

brak mi środków, przeciwnie, dysponuję nadwyżką. Nie jestem głodny, najwyżej łakomy. I nie zbieram na bilet do rodziny, wielodzietnej, porzuconej pod gołym niebem. Nie pozostaję bez pracy (przecież w niej siedzę) i nie wiem, czy jestem nieuprawniony do zasiłków, bo nigdy nie przyszłoby mi do głowy się ubiegać.

Nie zajmuję się także innymi czynnościami. Nie gram na skrzypcach ani na organkach. Nie połykam płomieni. Nie modlę się, ruszając suchymi wargami. Nie sprzedaję szczotek z końskiego włosia, produkowanych w spółdzielni przez inwalidów, ani biletów na tramwaj, podrabianych poza serią w drukarni. Nie uprawiam pantomimy, przedrzeźniając przechodniów tak długo, aż znikną lub staną. Nie zobaczycie mnie także pod budką z piwem, jak stoję w

otoczeniu koleżków

dmuchających w piankę nad kuflem i żywo przeskakujących z tematu na temat w rozmowie nie pozbawionej obscenów, ale jednak serdecznej. Nigdy nie zarzygałem izby wytrzeźwień, kartoteki policyjne milczą na mój temat, a jeśli widzieć we mnie konfidenta, to tylko w sprawach duchowych.

Tymczasem mija godzina i przenoszę część pieniędzy – pierwszą transzę – z czapki do kieszeni, aby zapewnić płynność finansową. Ruch się wzmaga i penitenci podchodzą niemal w ogonku. – Bóg zapłać – wystawiam z konieczności rachunek uproszczony, bez specyfikacji, zbiorowy, płatnikom nie potrącającym wpłat od podatku.

Mija mnie wycieczka z prowincji, przewodnik staje na skrzyżowaniu otoczony wianuszkiem turystów, na chwilę zamieniając je w rondo. jak dowódca kierunki natarcia, a potem ewakuacji, tak on pokazuje ręką Stare Miasto i Nowe, z ocalałym cudem kościołem Bonifratrów, Zakole i zamykający perspektywę od południa Ostrów. Nie rzucam się w wir walki ani sprostowań, zajmuję zawsze tę samą pozycję, eksterytorialny niczym konsul. Za chwilę podejdzie wycieczka

cudzoziemców i kompas zawaha się w tłumaczeniu, róża wiatrów zdmuchnie im czapki z daszkami

jak żagle. Moja będzie zaś tkwić nieporuszona, obojętna na wiatr i kompas. Gotowa na przyjęcie dewiz, setek lirów i funta, którymi zasypią mnie, biorąc za żywy pomnik. Niekiedy muszę inkasować pomyłki, ale Rzymowi one też się zdarzają, nawet u Świętego Piotra, gdzie konfesjonały 82

oznaczone są w kilku językach, w jakich prowadzi się spowiedź, tak że odpuszczenie ma szansę uzyskać grzesznik i poliglota.

Jak jednak przełożyć choćby grzechy główne, pychę i chciwość, nieumiarkowanie w jedzeniu, kiedy wiadomo, że jeden się naje przystawką, a drugi potrzebuje całego menu specjałów kuchni lokalnej. A zazdrość? – Temu nie zazdroścę – słyszę często o sobie. Ja im także nie. Czy w ten sposób wyzbyliśmy się zazdrości?

Nie, nawet przy statystycznie możliwych pomyłkach i wahaniach kursów moja czapka jest pewniejsza niż konfesjonały.

Ktoś mógłby mi zarzucić, że misja, której się podejmuję, ma charakter tylko zewnętrzny, że zatrzymuję się na twarzach i wypukłościach, na karoserii pojazdów, nie wnikając im do silnika. Nieprawda, wszystko da się wyczytać z twarzy i gestów, a pątnicy wychodzący z tunelu metra wraz z sobą wydobywają to na jaw. Defilują z całym dobytkiem jak w czasie przeprowadzki, a ja prowadzę wielokanałowy monitoring. Zawsze ciągną za sobą fabuły, niczym welony, i tu, na skrzyżowaniu, krzyżują się wątki. AA poślubił EnEn, która się rozwiodła, i żyją w związku niesakramentalnym. BD i CD łączy natomiast przypadkowa zbieżność nazwisk, nie kazirodztwo. Mężczyzna w płaszczu obrzuca seksualnym wzrokiem kobietę w kostiumie, a czekający na przystanku student patrzy tylko przed siebie, nie grzesząc myślą, co się okaże na egzaminie. Tych, którzy nie dochowali postu i jeszcze się oblizują na wspomnienie śniadania, idą tabuny. Ktoś z nich wrzuca mi brudny pieniążek, roznoszący zarazki. Znowu przechodzi działająca w porozumieniu

grupa, tym razem kibiców, wykrzykująca slogany zachęcające naszych do walki. Kulejący na jedną nogę pokutnik przesuwają się do cienia, a na słońce wydostaje się zza zakrętu pielgrzym bez laski. W

tym samym momencie kierowca z nadmierną szybkością skręca na strzałce, cudem unikając wypadku.

Nie koniec na tym. Raz po raz powracają te same postaci, nierzadko w tych samych godzinach. Staruszka posuwistym krokiem dochodzi do latarni, czule ją obejmuje i po chwili oddala się w stronę ławki, szepcząc zdrowaśki. Dzień w dzień powtarza ten sam rytuał, mimo że latarnia jest elektryczna, zapalana centralnie i nie potrzebuje wsparcia. Wariat wykrzykuje wyrazy wyłamane ze składni zawsze koło południa, wygrażając przy tym pięścią najeźdźcom, atakującym zewsząd, tak że hejnał znowu urwie się, nie dograny do końca. Nauczyciel zmierza do szkoły, zgodnie z rozkładem zajęć, a uczeń biegnie w jego ślady, powtarzając formułę. Wielokrotny recydywista czeka na przystanku, starożytnym, gdyby zsumować czas oczekiwania, datującym się na wieki całe, jak rumowisko. Na czerwonym stoi odnawiający się niczym bylina fiat w parku maszyn i zawory grają mu, aż miło, wciąż ten sam motyw. Nie koniec na tym. Aferzysta wyciąga telefon z pochwy na piersiach i odpowiada: Tak, tak,

nie zapomni, wpadnie dziś wieczór. Odkłada do kieszeni słuchawkę, wcześniej wsunawszy antenę, żeby nie zawadzała. Nasilają swoją aktywność ptaki, gołębie stosujące taktykę drobnych kroczków i sroka kiwająca się na koszu do śmieci, ogon jakby był na zawiasach, oddzielony od reszty.

Małoletnia w opiętych skórzanych spodniach, wydających jęki, zawraca, bo czegoś zapomniała w

poprzedniej stronie, co stwarza szansę na opamiętanie, którą zaprzepaści, kiedy godzinę później przejdzie, z premedytacją, na obcasach wystukujących marsza. Fiat zmienia pasy, sygnalizując zmianę pomarańczowym migaczem.

Jeszcze nie koniec, ale tymczasem, by nie być posądzonym o stosowanie schematu zbiorowej odpowiedzialności, weźmy przypadek jednostkowy, mężczyzna, lat około czterdziestu pięciu, z wąsem sumiastym, ale łysiejący. W pracy, na co wskazuje wyraz twarzy skupiony, czoło spocone, z lekko ukośną zmarszczką jak dział wód biegnącą przez środek, marynarka skrojona w

ciemno, nieurlopowa, a także okulary, siodełkowate na nosie, o kształcie motylkowatym, jakby poza krótkowzrocznością dokuczał astygmatyzm, czemu dziwi się brew sklepiona łukiem nad powieką. W krawacie rysunkowym, obrazującym myszkę ze znanej kreskówki w momencie triumfu nad kotem, związanym w główce.

Przechodzi, niepomny, że rozstrzygają się losy, na chwilę zwalnia kroku, jeszcze raz obrzuca chybionym wzrokiem hotel, kiosk, przystanek, gdzie właśnie przystaje długo oczekiwany autobus, kłania się machinalnie komuś w sytuacji wcale nie lepszej, zamiast żarliwie zespolic się z nim, bo zawsze łatwiej dzielić z kimś dołą. Jeszcze kupuje papierosy, wystukuje z paczki jednego, wkłada do ust, zapala, lont tli się, powoli, gdyż nie ma pośpiechu.

Weźmy panią, aby nie być posądzonym o dyskryminację niewiast, tak, panią, która stoisz w tłumie sądnym, czekającym na przejście po pasach wśród morza samochodów. Nie widzisz oczka,

co wspina się podstępnie od kostki ku górze. Pamiętasz, że środa i jedenastego, ale mimo to nie znasz dnia ani godziny, liczonej na elektronicznej tablicy w witrynie z prędkością światła. Poprawiasz ją na swoim zegarku, błyskając bransoletą, która odciska na skórze desę jak w skamielinie. Mogłabyś się zatrzymać i trwać tak, słup soli pośród dwutlenków i siarki. Jedna noga lekko ugięta w kolanie i parasol wbity w trotuar, zwiastun pogody, stalagmit. Mogłabyś jeszcze ująć cało, z siatką pełną spopielałych zakupów, z konserwą z czwartorzędu, szczelnie

zamkniętą. A

jednak ruszasz, od razu na żółtym, w pierwszym rzędzie, z piersią poprzedzającą cię o rozmiar stanika, z zakupami rozkołysanymi w siatce, włosom na dobre rozwianym przez styling, prowadzisz tłum na wokandę niczym na barykadę.

– Anna! – woła cię głos opatrności, nie znający wołacza. Odwracasz głowę, zbaczasz. Całujesz szminką w policzek, trzy razy, witasz się wylewnie, zostawiając ślad karminowy. Witasz się, a przecież należałoby się pożegnać. – Żegnaj! – nie przechodzi ci przez gardło. – Bywaj! – też 84

nie, zamiast tego mówisz, naiwna: – Na razie! – z błędem, bo tu nie wyrokuje się warunkowo, tylko nieodwołalnie.

Dziecko, o jeszcze nie ustalonej płci – trzeba, jak w arce, dać szansę każdemu spośród gatunków – gra w klasy, znalazłszy na trotuarze miejsce ustronne, nie wychodzone. Rzuca blaszane pudełko po paście do butów, ciężkie, napełnione piaskiem, skacze, uważa, aby nie nastąpić na linię.

– Dziecko, pójdz z Bogiem! – Nie słyszy, skręca tułów, a potem odrywa jednocześnie obie stopy od ziemi i obraca się przodem. Przez chwilę krzyżuje ręce na piersi, w iks, na znak niewiadomej. Niestety, skusi, stanąwszy na linii.

Nie zapominam o czapce, która tymczasem pęcznieje, jakby woda uderzyła do głowy. jeszcze nie wiem, na co przeznaczę dzisiejsze fundusze, na jakie akcje, kotłów czy kabli. Pewne tylko, że je pomnożę, zgodnie z biblijnym nakazem.

Ktoś mógłby mi zarzucić, że obraz jest wycinkowy, odcięty – od zachodu ścianą hotelu, a od południowego wschodu fasadą banku, w niej co najwyżej odbijają się tyłem ci sami przechodnie, których przed chwilą lustrowałem z przodu.

Nieprawda, jeszcze raz nieprawda. Niech ci, co chowają się po klatkach w betonowych blokach, nie myślą, że są niewidzialni, kiedy oblizują talerze po kolacji, gotują wodę, czytają pismo, niedokładnie, a okruchy znaczą tłustą plamką to, co wcale nie wyróżnia się głębokością i wagą. Niech się nie czują bezpieczni ci, co planują już, jak by tu zdążyć przed pierwszym opłacić zaległe składki, podsumowują kolumny na papierze w kratkę, wyrwanym z zeszytu w twardej oprawie, ani ci, którzy zasłonięci gazetą, w zaciszu studiują ruch krzywej, bo pewny zysk, obiecany

– przez kogo, jak nie łupieżców – okaże się krachem, głośnym jak wybuch, i niech się nie cieszą ci, których ominie podmuch, bo wszyscy są dotknięci, a trąd roznosi się drogą powietrzną wraz z pyłkiem.

Mógłbym się zresztą zadowolić wycinkiem, gdyż on, pobrany w odpowiednim miejscu, świadczy o marskości i raku. Poszerzam jednak ogląd, dla niedowiarków. Anna. Udała się w miejsce, nad którym napis obwieszczał: niedrogo i smacznie, zjadła, lekko tylko dosalając kartofle ugotowane do smażonej ryby, dochodzącej samodzielnie na ruszcie obok. Jedząc, milczała, pomna na ości sterczące jak egipskie zgrzebło w wykopalisku. – Kawa – dodała, już bezpieczna, popiła biskwit, do herbaty serwowany jako herbatnik. Zapłaciła, wstała i wyszła, przedtem poprawiwszy makijaż w lusterku. Anna, lat około dwudziestu pięciu, sawantka. Znika w czeluści przejścia

podziemnego, tramwaj uwozi ją w kierunku uniwersytetu. Co zrobi, czym się odkupi? Pójdzie do biblioteki studiować grzeszne teksty? Spotka się na seminarium z innymi, wcale nie lepszymi, używającymi tej samej metody do zapętlenia sensu, mimo że ten został dawno objawiony, prosty i wielki, a pętla dobra jest na szyję wisielca? Odsiedzi swoje w kinie i pośmieje się z przygód, 85

przygodnych, wcale nie śmiesznych. Spróbuje coś zanotować, wieczorem po filmie, i zaraz przerwie, bo zdania zmierzają donikąd, jeśli nie prowadzi ich laska, ważniejsza od gramatyki. Kolacja, ziemskie pokarmy, zatrute przed terminem. Sypialnia pozbawiona tajemnic. Nawet sny, w których podobno jesteście mądrzejsi, wygasną przed świtem i nic z nich nie zapamięta, kiedy z głową pustą jak pianka, ale ciężką, jakby była z żeliwa, idzie zaparzać kawę, nie zapalając światła, które razi, a nie oświetla.

Anna jest sama, po wielu próbach i przejściach. Na schodach spotka sąsiadkę, z którą nie mieszka. Wymienia się uśmiechami, gasnącymi już na półpiętrze, gdy tylko się wyminą, w ciemnej klatce, nie opromienionej nawet watami. Kupi w kiosku gazetę, nie pokrzepią jej wieści z

konferencji ani synodu. – Czy pani na następnym – zaskoczy ją pytanie współpasażera szukającego wyjścia. – Tak – tu wysiądzie i wspólnota posiadaczy biletów wcale nie odczuje ubytku. Anna

przystanie, skręci, pójdzie prosto, skręci jeszcze raz, za rogiem wstąpi do apteki, wykupi receptę, drogą, bo choroba jest pełnopłatna. Nikt nie będzie jej śledził i gdyby ziemia zapadła się pod nią na rogu Żwirki, nawet wzmianka nie zostałaby w raporcie geologów, dla których nie jesteście

dość tektoniczni. Anna wróci po własnych śladach do przystanku, odchodząc niekiedy na boki ku wystawom, dwa razy znowu gdzieś wstąpi i kupi zamiast rzeczy poważnych – drobiazgi. Pójdzie dalej. Księgarnia – tafla książek, próżna mądrość mieszająca się z daremną głupotą, obie czyhające na czytelnika, któremu wydaje się, że podręcznik albo powieść obwieści cokolwiek.

Nic nie

obwieści, a wierszy, co stoją na wąskiej półce w głębi, także nikt nie spamięta. Mięśny, który nie tak dawno ział pustkami, teraz pełny, zapchany wnętrznościami. Meblowy, z pokojami wywróconymi na zewnątrz, jakby mieszkać od podszewki, przed ścianką.

Anna mija, już obojętna, sklepy, oferta nie dosięga jej, nie będzie czytać i trawić. Pod kościołem napatoczy się żebrak, wcale nie moja filia. Anna uklęknie w nawie. – Łaskiś pełna, więc udziel jej i nam, by wytrwać, kiedy kataklizm wokół. – Złoży ofiarę, na remont bazyliki, pieniądze wyrzucone w cement i błoto. Przeżegna się, umoczy palce w misie ze święconą wodą, siedlisku

bakterii, wypłukującą wiernym brud z paznokci, niezdatną, z dodatkiem chlorków. Wyjdzie znowu na światło.

Tak oto, klucząc i potykając się o fałszywe tropy, Anna powraca, nadchodzi od strony banku, w tych samych butach, spętanych sznurowadłem, we włosiennicy z dekoltem. Miesza się z

tłumem, jak ona marnotrawnym, pokutnym w tłoku.

Co zrobią? Będą się szarpać, lecz harpun już przeszył i nie ustąpi. Będą próbować szczęścia ze sobą, kopolować na darmo. Gonić – nie koniec na tym – za marnym groszem, rozdrabniać całość, którą tylko ja mam na oku. Będą patrzeć, wspinać się na palce, wyglądać liczby szczęśliwej na czole tramwaju – trzynastka, i na domiar skręca do bazy. Zmierzcha, nad restauracją zapala się 86

neon i płonie, płonie czerwonym światłem, tak by nie zepsuć ciemni. Będą jedli z karty pokarmy, jak z ręki. Z banku wychodzą maklerzy, chciwi opcji na czapkę. Przesuwają się obok, ja wstaję, otrzępię spodnie i odchodzę za nimi, na czym nie koniec.

Suveniry

Nie będę więcej pisał. Nie dowiecie się, jak skończyła się ta historia. Nie dowiecie się nawet, jak się zaczęła. Czy się zaczęła. Czy był to rzeczywiście zbieg okoliczności, kiedy w upalne letnie popołudnie – mógłbym z łatwością tu zamieścić jego spragniony wody opis – bohater natknął

się na bohaterkę, w kwaciarni, w której – dla kogo – kupił siedem, pięć, jedenaście róż, trzy róże.

– Z przybraniem? – zapytała gruba sprzedawczyni. – Z przybraniem – postanowiła, nie doczekawszy się odpowiedzi (nie dowiemy się, czyje niedoczekanie).

Wprawnym ruchem zawinęła wokół łodyg sztywną aluminiową już nie folię, jeszcze nie blachę, wtykając między nie kruchy asparagus z liszczem różowej wstążki, bo kwiaty same w sobie nie są wystarczająco ozdobne. Zapłacił dokładnie tyle, ile zapłacił.

Wychodząc zderzył się z Anną, przewrócił wiadro, w którym stały tulipany, oblał siebie i ją od stóp do kolan, przez chwilę brodził wokół, pod nosem przeklinał, a jednocześnie przeproszał (najmocniej, panią), brzuchomówca, nigdy się nie dowiecie, co głośno wypowiedziały usta, a co burknął, zagadką pozostaje treść, spis rzeczy i kartka z zatartym planem – kwiaty, poczta, księgamia i numer telefonu, pod który nie zadzwonił, bo woda dosięgła także i kartki, a atrament rozlał się, wydymając ósemkę jak bańkę. Chciał koniecznie zapłacić za pralnię.

– Jaką pralnię? – zapytała Anna. – Chyba nie sądzi, że upiorę buty.

Jej nogi były mokre i gładkie, ciemne jak u Mulatki, z różową plamką blizny pod lewym kolaniem, blizny, powiedzmy, po ranie.

– To zaraz wyschnie – zapewniał – upał od tygodnia nie zelżał i będzie trwał aż do następnego nizu, który jednak dopiero zakręca nad morzem Barentsa. – Na dowód dotknął nogawek, nieprzyjemnie przyległych do łydek. – Już prawie suche – skłamał – proszę mi wierzyć.

Sprzedawczyni tymczasem wyżywała ścierkę do wiadra po kwiatach.

Może zapłaci i za tulipany – zdawała się mówić z wyrzutem.

– Zapłacę pani i za tulipany – powiedział.

Zebrał je prędko i wręczył Annie.

– Nie, proszę – protestowała.

Teraz widzimy Annę w drzwiach kwaciarni, klęczącą przed nią grubą sprzedawczynią, zielone, obite w kilku miejscach wiadro, pozostałe rośliny, o łacińskiej nazwie alia plantae, zegar wiszący nad ladą, a na obrotowym stojaku rozłożone kartki, żałobne od dołu, radosne od góry, w środku zaś stykające się brzegami, jakby umrzeć nazajutrz po imieninach.

Nie będę śpiewał. Niech proszą. Niech przytupują, nawet gdyby zgotowali mi owację na

stojąco, nie będę bisował, niech siadają. Po ostatniej, tak, ostatniej książce przebrała się miara, czara się przepełniła. Pracowałem nad nią najpierw lata, a potem jeszcze miesiące spędziłem nad korektą, odbitki niewyraźne i zadrukowane zbyt gęsto skakały mi do oczu i nawet na krótkie godziny nie mogłem zasnąć, budzony zaraz tęym uderzeniem kadencji jak okiennicą, która trzaska na wietrze poprzedzającym burzę.

Nie powiem, były recenzje. Recenzenci, wszy na kołnierzu, doceniają mój talent. Wszy doceniają kołnierz, a mszyce wyrażają się pozytywnie o kwiatkach, w duchu symbiozy. Najpierw centralne dzienniki zamieściły notatki, w rubryce nadesłanych nowości. Liczba stronic, wydawnictwo, cena, nawet w starej walucie niewygórowana. „Gazeta” wybrała mnie na człowieka

tygodnia. Co dzieje się z ludźmi tygodnia, kiedy mija tydzień? Czy znikają? Znany pisarz ogłosił swój opus magnum – napisał „Przegląd”, niedouczony, nie odróżniający rodzajów. Znany komu? Per ignotum ignorantom. Potem zaczęły się dywagacje krytyki, także wiedzącej swoje. Nurkowanie, podłączanie pod prąd. Uwłączające porównania, na które nie zasłużyłem. Koncepty, koncepty pełną gębą, poznawcze metafory, ciężkie, od których nośnik ugina się jak muł pod workiem. Kiedy słyszy słowo: globalizacja, mój kot zwija się w kłębek, w kulkę. Na koniec ujęli mnie literaturoznawcy, znawcy litery. Hołdownicy teoriom, twórcy kulturowej pamięci, systemu memów, prywatnie także, rzekłbyś, rozmemłani, nie pamiętający, gdzie położyli korkociąg, niewykluczone, że wyrzucony wraz z korkiem. Nie jest osobą kulturalną ktoś używający dzikiego przymiotnika: kulturowy. Anna wkrótce zapomniała o incydencie w kwaciarni, sfatygowane, przechodnie tulipany położyła na grobie żołnierza poległego w walkach, obok innych, gnijących tam już od paru dobrych tygodni. Zapomniała nawet, po co wstąpiła do kwaciarni, środek owadobójczy, który wreszcie poradziłby sobie z zarazą rozprzestrzeniającą się po całym domu, od kwiatka do kwiatka, mimo że gdy tylko ją dostrzegła, dotknięte egzemplarze zaraz wystawiła na balkon. Zaraza lubi jednak miejsca zamieszkiwane i, marnotrawna, wraca. W piątek lub nawet, przyspieszając wypadki, czwartek Anna znów znalazła się w ich pobliżu (wypadków w miejscach zamieszkiwanych). Szła do koleżanki, raptem parę przystanków, więc pomyślała, że zamiast czekać na tramwaj, równie dobrze może zrobić sobie spacer, nadkładając jedną przecznicę, żeby obejrzeć od zachodu swój ulubiony, zalany słońcem widok, pointylistyczny, zważywszy na liście, przez które światło przedzierało się przesłane i rzucało na tynk starej willi deseń plamisty, ułożony we wzorec. Tym razem zobaczył ją zawczasu i zrazu stanął jak wryty, lecz szybko oprzytomniał, postawił stopę na murek i z braku sznurówek zapinał buty na pasek, jeden, a potem drugi, chociaż od spodu gumy i tak opinały podbicie, kłamry tylko pozorowały zapięcie i elegancję. Podczas tej 89

operacji ukradkiem patrzył, jak Anna się zbliża, i kiedy była już o parę metrów, wyprostował się, odchrząknął i nie kryjąc zdziwienia, zapytał:

– Jak tulipany?

– Jak róże – odparowała Anna – czy zniewoliły wybranek?

– Ach nie – zaczął gorączkowo się usprawiedliwiać – były dla odchodzącej na emeryturę sekretarki, po której wielki porządek zostaje w papierach, i grzałka, co przez trzydzieści lat pracy podgrzała ocean. – Adam Ański. Powiniennem był się już wcześniej przedstawić – wyciągnął rękę do Anny, niepewnej, czy słyszy całe nazwisko, czy tylko końcówkę.

– Anna – odpowiedziała i mruknęła swoją godność panieńską.

Nie miała nic przeciwko temu, żeby ją odprowadził. Przeszli kolejne dwie przecznice, krążąc wokół celu. Było późne popołudnie, syte i bezludne, mieszkańcy pochowali się na tarasach z tyłu, od strony ogrodów, od frontu biegały kosy, nieloty, zaszczekał pies, sfinksowaty, bez rasy.

Wystawiają nas do nagród, do wiatru. Handlarze rzucają na stół trzy tysiące, a potem robią nam bankiet, piją i cytują tytuły, z zapalem, aż skwierczą słońce paluszki. Bawią się naszym kosztem. Oliwki jak gałki oczne łypią na nas ze stołu. Odlewają nam statuetki, kalekie postacie, w ospowatym brązie, do pasa wysmukłe jak uchwyt, na którym zacisną się szpony, od torsu w

górze

nagle rozrosło, jakby Giacometti się roztył. Rzeźbiarze, mogą się na nas odlać.

Przeczytałem werdykty kilkudziesięciu nagród, od konkursu o laur po Nobla. Wszystkie powinienem był dostać. Za poezję, prozę i dramat, a także muzyczne, teatralne, baletowe za niejednego piruet, puchar przechodni z rąk wojewody, dyplom recytatorski, wszystkie bez wyjątku pokojowe, pieniężne, za oryginał i przekład, pardubickie i pulitzery, aż po turniej pyszałków, gdzie jestem rozstawiony z numerem zero. Zgarnąłem wszystko, w jednym coup du monde. Nagrodzonemu koniowi zajrzyjmy w zęby. Equus laureatus, galopuje na rzecz całej hipiczości, pokonując przeszkody. Z końską wrażliwością oddaje złożone uwarunkowania, poszerza nasze rozumienie końskości. W pokrętnych czasach, którymi władza chaos, żywotne wartości zdają się zagrożone na każdym kroku – wychodzi na prostą i nawet jeśli zad jeszcze buksuje na torze, to łeb już główkuje nad celem. Po pracowitych sezonach, w zakładzie unasienniania wciąż przekazuje geny, z pokolenia na pokolenie. Czeka nas wielkość, o jakich nie śnił Przewalski. Wreszcie trafia na cokół i po latach miejscowy przewodnik tłumaczy w esperanto zagranicznym turystom, stojącym wokół fontanny w rozlazłych adidasach, jakiego konia to pomnik.

Za trzecim razem już umówiony czekał na Annę. Nie przychodziła. W parku odbywał się znów spektakl popołudniowy. Dzieci odbiegały od matek i nie reagowały na wykrzykiwane imiona, jakby to nie je ochrzczono. Pięcioletek Sebastian – imię za długie jak na okrzyk trwogi – postanowił

przechrzcić się samopas i wpadł do stawu, płosząc stadko kaczek jękał. Dziewczynki furkotały skakanką, zbyt prędko, jak w starym projektorze przygotowującym o drzenie taśmę. Staruszka dziedziczka lustrowała spod dłoni przystawionej do czoła, sinej i przezroczyściej – niczym plastikowe daszki sprzedawane opodal przez inwalidę na wózku – nieswoje włosy, ze swoich wydziedziczona. Sprzedawca waty, albinos o słodkim zaroście, kręcił niez mordowanie, dosypując cukru do ognia. W pustej muszli koncertowej spał pozbawiony publiczności pijak i bisował na

drugim boku. Anna nie przychodziła.

W kawiarni zastawionej pod klonem klienci nie dojadali, więc kawki spacerowały po stołach i dopełniały dzieła, dopijały roztopione lody, pewne siebie, jakby napis: lody – wyrób własny, oznaczał karmę dla ptactwa. Czytelnik prasy popołudniowej walczył z łopoczącą na wietrze gazetą. Wokół pnia goniły się rude wiewiórki w kinie akcji, miejscowym, nie amerykańskim, w

którym byłyby szare. Chrząst żwiru pod butem zaliczmy do omamów dźwiękowych, bo alejki od założenia parku były bite i miło co najwyżej szemrały pod kołami rowerów. Tak czy owak, Anna nie przychodziła.

I któż dostał tę kolekcję nagród? Katolicki rozwodnik, pederasta stojący na baczność tak, że pięty mu się rozchodzą, a duże palce schodzą w strzałkę na próżno wskazującą kierunek, bo nie posunie się już ani o krok do przodu, skamieniały, ugięty pod laurem, stary narcyz przeglądający się w strumieniu tak brudnym, że nawet wymiotło nutrie, sklerotyczna diarystka, pokątnie dopisująca trafną prognozę post factum, pod starą datą. Zastrzegła, że dziennik będzie opublikowany

dwadzieścia lat po śmierci, niepomna, że pośmiertna była za życia.

Dygają i dziękują, tak uprzedzająco, że można by z góry odgadywać rymy, gdyby jeszcze mówili do rymu. Dlaczego nikt z nich nie wpadnie na pomysł – tak prosty! – żeby zrobić zwykłe wyliczenie, na co wydadzą ile, przynajmniej pozostałby dokument, który nie kłamie w oczy,

najwyżej kłuje. A przecież kupują samochody, wille, stare obrazy, podróż dookoła Europy, nowe mieszkania w kondominium z widokiem na zatokę, obdarowują wnuków i kuzynów, spłacają długi, zasiedlają hotel i jak Nabokov mieszkają w nim tak, jakby i jego kupili, w kasyno przepuszczają w jeden wieczór roczny żołąd i wcale im od tego nie zbywa na obligacjach oprocentowanych o dwa punkty ponad inflację w stosunku rocznym. Oto jest projekt uczciwego przemówienia. Siłę buduje się tylko na prawdzie. Przynajmniej tyle należy się życiu od sztuki. Wyliczenie kosztów, kalkulacja o ileż ciekawsza od artystycznych rachub. Ale nie, oni dziękują i szybko przeskakują do refleksji ogólnych, moralnych, głębokich jak sztolnia, roztapiają się w troskach nad losem, imponderabiliach, triviach, uniwersaliach, zawsze łatwiejszych niż trudna sztuka detalu.

Anna zadzwoniła wieczorem. Bardzo przeprasza. Nic jej nie wypadło, tylko najpierw tramwaj stał w długim korku kilkunastu wozów, co raczej przypominało pociąg, tarasujący miasto pociąg repatriantów z centrum do dzielnic podmiejskich, a potem okazało się, że zamiast pomknąć w stronę parku, skręca do zajezdni. Chciała zadzwonić, ale było już za późno na telefon do domu, a jeszcze nie wiedziała, że abonent Ański w kieszeni marynarki na piersi nosi komórkowy, trzecią komorę serca, delikatnie brzęczący rozrusznik, który go łączy z żyjącym światem. Dlatego błędnie sobie wyobrażamy abonenta, że stoi za szafą w przedpokoju i na kartce w notesie kreśli es-flores, nad którym zdumiałby się psycholog, przytrzymuje jednym ramieniem słuchawkę, a drugą ręką wyciągniętą do kuchni gasi gaz pod czajnikiem, przytykając jednocześnie do rozgrzanego metalu długopis, który za chwilę włoży do ust i tak zastygnie z roztopionym na wardze plastikiem. Nie, nic z tego, abonent przeweksłował swój numer stacjonarny na komórkowy i – nie do wiary – nadal jest w parku, i z ulgą słucha wyjaśnień Anny, którą bał się stracić, nim za trzecim razem dokona się sztuka.

– Nie szkodzi – mityguje – drobiazg. – Myślał, oszukuje, że coś jej wypadło.

Myśl zawsze bezpieczniejsza od podejrzeń, że to my wypadamy. jeszcze raz się umawiają, na wtorek, który przystoi poprawce – i park, od godziny ponury – wyniosły się stąd dzieci, staruszka, sprzedawca waty, ba, kaczkę pochowały się w zarośla i śpią z głową odwróconą do tyłu, bo zasnęły w trakcie lustracji – oto park znowu się rozjaśnia, co pijak w muszli omyłkowo bierze za jupitera, budzi się, zrywa na nogi chwiejne, nierówne i czeka, czeka na aplauz. Na jego szczęście właśnie nadciągają koleżkowie z piwem pobrzękującym w kartonach po cztery. To miejsce, ten

browar – myśli Adam i czuje, że chętnie sam by, nie wie, jak to ująć: zarzucił? Skosztował?

Poszedłem kiedyś na koncert z okazji wręczenia nagród artystom estradowym. Grały rozrywkowe kapele. Wśród publiczności przeważała młodzież. Wyła, kiedy tylko wokalista podchodził do mikrofonu. Padała na kolana, kiedy trząskając stojakiem o ziemię. A gdy wydobył ryk z gardła, piętnastoletnie dziewczyny rwały na sobie ubrania i szarpie rzucały na scenę. Mdląły, zatrute czadem odlotowym. Pielęgniarki nie nadążali z wynoszeniem i kładli po dwie na noszach, jak zmarłych przeznaczonych do zbiorowego grobu, a pod teatrem migał światłami ambulans, w

którym kierowca nastawił radio i rozwoził koncert po mieście – nie ma, nie ma ucieczki.

Oprzytomniałe, w karetce wciąż słyszały idola. – Jeszcze – charczał w refrenie – jeszcze. – Więc znowu mdlały.

Chciałbym, aby to zobaczył autor tomu wierszy. Z pięciuset egzemplarzy zostało

sprzedanych trzydzieści. Wśród komputerów wracamy do ery rękopiśmiennej. – A przecież – grzmiał werdykt (tom wierszy został nagrodzony na corocznym jarmarku poezji) – dopiero sztuka nadaje sens i piętrzy znaczenia, wyzwala z samotności bezmyślnego tłumu, który na skrzyżowaniu 92

gubi kierunki, najpierw rozpierzcha się na linii wschód-zachód, a po chwili, z następną zmianą świateł, północ-południe, że o rondzie nie wspomnę. Nawet idole tęsknią do sztuki. W pierwszym lepszym sklepie muzycznym natraficie na odkrywcze koniunkcje. Weźcie do ręki platynową płytę, której nakład sięga miliona, a jej obroty na gramofonie, przetransponowane na prostą, sięgnęłyby Marsa. Muzyka – Wójcik. Słowa – Norwid. Wieszczył słowa Wójcikowi. We wtorek po koncercie A. A. i Anna trafili do jednej z tych modnych piwiarni na Trakcie, przed którymi wzdłuż barierki ustawia się kolejka, a bramkarz, wzbudzając ciekawość przechodniów, wpuszcza po dwie osoby, wewnątrz zaraz ginące w starannie dozowanym tłoku. Starsi, pamiętający czasy prawdziwych, nie aranżowanych ogonków, zaglądną niekiedy do środka i zawiedzeni widzą długi kontuar, wiszącą nad nim baterię butelek, porcelanowe krany do piwa, stożki, walce, reklamy, mnogość błahych używek zamiast jednego solidnego towaru, rzuconego na ladę jak w eleganckim sklepie, gdzie wystawia się jeden garnitur, jeden but, jedną walizkę, jak kiedyś ocet w spożywczym – cokolwiek, ale jedno, jedno zwarte w sobie. W piwiarni architekt wnętrza na wszystkich ścianach, drzwiach i kolumnach, fałszywych, nie sięgających nawet sufitu, umieścił uchwyty, klamki, zamki, pokrętła i rączki od kufrów, których upraszano dotykać, szarpać nimi, przekręcać, bo od tego są, aby poczuły rękę. Na drzwiach do toalety jedyną funkcjonującą w tym towarzystwie klamkę oznaczono wielką czerwoną strzałką – tu naciskać, a jeśli wolne, ustąpią. – Piwo? – zaproponował Adam. Po drugiej butelce Anna śmiała się z byle dowcipu. Adam opowiadał coraz śmieiej. Nachylał się nad nią i szeptał puenty do ucha. Szybko przebiegł przez szkołę, na którą się złożyli nauczyciele zatajający wiedzę i lekcje wuefu, kiedy piłka nie chce trafić do kosza. Zamówił nową kolejkę i uniwersytet wydał się jeszcze bardziej komiczny, małowmne niby Buster Keaton kolokwia i wojsko, gdzie przymiotnik analogiczny odnosi się do drewna, z jakiego zrobiona jest podkładka, tego samego co kolba. Potem mówił coś o prowincji, na którą musiał pojechać do pierwszej pracy. Naczelnik wydziału, łapownik, chciał go wprowadzić w tajniki finansów, poglądowo, stosownie do działów w roczniku statystycznym, budownictwo, handel i transport, a nawet rybołówstwo, mimo że znajdowali się w głębi kraju, z dala od wody, ale od czego, patrz punkt poprzedni, transport, rybny, lądowy. Anna już nie słuchała. Widziała poruszające się wokół usta, domyślała się gwaru jak w roju, anegdot opowiadanych na wyprzódki w rajach narratologów. Widziała dym, szklanki przy ustach, głowy, wzniesione butelki piwa jak trąbki, ale to wszystko oddalało się od niej, jeszcze trzymała się klamki, na szczęście nie ustępującej, nie prowadzącej donikąd. Widziała czyjaś rękę na swoim kolanie, czuła ciężki, zlewający się z powiek niby ołów makijaż, usta pełne śliny przy uchu, język, usta...

Kim byłem? Skromnym chłopcem, chowającym się w niezamożnej rodzinie. Samoukiem czytającym cokolwiek, co składało się z liter. Być może zamiłowanie do książek wzięło się ze słabości innych przedmiotów. Wszystkie rozpadały się i psuły w rękach i jeśli gdzieś wbudowano

pokrętko, to po pierwsze, nie należało nim kręcić, bo działało bezpowrotnie, niczym mechaniczny zapalnik bomby. Wyłącznik najpewniej było omijać, włączając wtyczkę wprost do kontaktu jak pajęczarz własnego sprzętu. Szansa, że zatnie się w pozycji zero, była jak pięćdziesiąt do setki, a czterdzieści pięć przemawiało za tym, że sam się wyeliminuje i stanie w pozycji: przepływ, oznaczonej przez wężyk. Pękała obudowa z ebonitu o obłych kantach i odsłaniało się kłębowisko przewodów, z których część prowadziła do celu, ale część w pole. Na przewodnicach ślizgały się rozciągnięte sznureczki, a wskaźnik jak zamurowany stał w miejscu. Pękał termometr i rtęć skakała w kulkach jak oparzona. Oprawka podbierała zarówno energię i rozgrzewała się tak, że nie można jej było odkręcić, za to tamta świeciła ledwie ledwie, nie mocniej niż lampka kontrolna.

Przegrzewał się również wiatraczek na parapecie, nad kaloryferem, który dla symetrii się zapowietrzył, jakby chciał odlecieć.

Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że tandeta jest także w książkach. Papierowe postacie, bez krwi i bez kości. Opowiadania prowadzące donikąd. Narrator, który zamiast usunąć się elegancko, wciąż się obnaża, ekshibicjonista w płaszczu narracji. Wyrastające wszędzie jak perz porównania.

W prozie niechęcy rymy, a w poezji nic poza prozą. Język, co zamiast po imieniu nazywać, samozwrotny, sam się przedrzeźnia. Nerwowe wykrzykniki zamiast długich, upajających kadencji.

Przez wiele lat pomagałem innym. Pracowałem w różnych redakcjach. Dostawałem stosy tekstów, którym brakowało przecinków i żarliwości. Odsyłałem, proponowałem zmiany. Na druk jeszcze za wcześnie – pisałem – ale proszę za jakiś czas znów coś przysłać. Mówi się, na wyrost, o szkole nowej wrażliwości. O młodych pisarzach, którzy nagle odkryli, że jest rzeczywistość (jest i rzeczywistość – czy nikt nie dostrzega w tym tautologii?). To moja szkoła. Niestety, nie do końca, ale przynajmniej tego ich nauczyłem.

Wyszli z piwiarni już dobrze po północy. Szli niepewnym, podwójnym, asekuracyjnym krokiem i na wystawach co rusz odkrywali coś zabawnego.

– Popatrz – zaśmiewała się Anna, znów przytomna, pokazując gadżet w perfumeryjnym.

– Albo ten – wtórował jej Adam i wynajdywał komiczny, nieożywiony tułów, okutany w kilka koszul, bezpłciowy mimo zawieszonych na nim krawatów.

Do łez rozbawiła ich dmuchana ogromna butelka szampana, zamiast tysięcy bąbelków jeden wielki bąbel. Nie mogli się nacieszyć szwajcarskim scyzorykiem monstrualnych rozmiarów, otwierającym samoczynnie wszystkie ostrza i obracającym się przy tym, jakby gilotynę przerobić

94

na wiatrak. Wreszcie gdzieś koło Starego Targu złapali taksówkę i pojechali do niego, nie, do niej, przez dłuższą chwilę spierając się o adres.

Kim jestem? Starym, pełnym lęków pisarzem i wiem, że młodzież nie nazywa mnie mistrzem, lecz zgreдем. Boję się już wszystkiego. Z niepokojem zaglądam do rubryki odpowiedzi redakcji, którą sam tak długo tworzyłem. Niczego tam nie posyłałem, nie sądzę, żeby odnalazł się po pięćdziesięciu latach mój debiutancki liryk zawieruszony przez pocztę: Żyjemy tu w zaułku, w którym jest tak ciasno, że światło nie ma jak opuścić lamp. A jednak z lękiem sprawdzam, z czyich to wierszy nie skorzystamy. Ostatnio znalazłem uwagę zaadresowaną do młodego adepta prozy:

Pana teksty są o niczym, o niczym dosłownie. O, pomyślałem, prześlępił talent.

Boję się, jakby wojna wciąż trwała. Z drżeniem biorę do ręki gazetę i czytam bez zrozumienia alfabet. Zewsząd osaczają mnie skróty. Domagają się rozwiązania, ale ja już ich nie

potrafię rozwiązać. Nie pojmuję przekształceń w jednoosobowe spółki. Nie rozumiem, dlaczego nawołuje się do prywaty. Dlaczego raczej ma mieć partykularyzm. Łapu-capu zamienia się legitymacje członkowskie na świadectwa udziałów, które zaraz się łączą w jednostki uczestnictwa w czymś małym. Czy legitymacja nie była świadectwem jednostki? Znowu zmieniają nazwy ulice,

a wymienić należałoby asfalt. Nie wiem, gdzie mieszkam, dokąd wyemigrowała moja mała ojczyzna, gdzie podziła się Europa, kto leni się w domach pracy twórczej i bez żadnej inwencji tasuje wyrazy. Nie śpi Azja i wraz z tenisówkami przychodzą do nas jej nogi. Nie rozumiem ogłoszeń. Co znaczy, że osiemnastka proponuje mi bez i total? Czy powinienem zadzwonić? Wcale nie używam już telefonu w obawie, że przełącza się na system audio.

Ze zdumieniem przypatruję się kolegom, którzy całe życie uważali, że rolą pisarza jest opiewać. Opiewać to, co jest, co istnieje, nie tam, bujając w obłokach, ale na wyciągnięcie ręki, za węglem, tuż obok. (Dlatego opiewano Właszczyka.) A teraz nagle wybiegli, zaprzęgli się do przemian. Potępiają konserwatyzm, który dzisiaj oznacza sympatie rewolucyjne. Potępiają konserwatyzm ci, co sami nie potrafią żyć bez kwasu.

Owszem, chciałbym przechować. Dobrze pamiętam, całkiem wystarczająco na memuary. Dzisiaj jednak wzięcie mają suweniry, pamiątki z kiosku nad morzem, bursztyny z zatopionym komarem, który nie ukąsi, lakierowane korzonki, mewy na cokołku wyklejonym muszelkami, zapalczany falochron, kotwice z cienkiej blachy przypinane do klapy. Metaloplastyka. Plastik. Nie piszę, nic nie powiem. Notuję już tylko martwą naturę przedmiotów. Na moim biurku żółty ołówek, od lat nie używana obsadka ze śladem atramentu, lampa jak lampa, nie spodziewajcie się żadnych porównań, lometka, przez którą podglądałam wróbla na trzepaku, gdzie przez całe

popołudnie wisi dywan z powtarzającym się wzorem, szary komputer, kompatybilny z czymkolwiek. W sztuce nie ma nic bardziej żywotnego od martwej natury przedmiotów. Wszystkiego się boję, boję się wejść do sklepu, boję się gwałtowniej poruszyć, jak po

zawale. jeśli jest, boję się Boga.

Na Nowym Mieście złapali taksówkę i pojechali do niego. W windzie brakowało żarówki i śmierdziało. jechali w ciemności, rozświetlanej przez chwilę na piętrach. Przycisnął ją do ścianki, szarpnęło i kabina się zatrzymała. Na krótko oderwał rękę od lycry i szukał nadpalonego guzika z numerem. Całą wieczność manipulował przy zamku wystawiającym na próbę cierpliwość włamywacza. Upadli na kanapę, przygniatając i łamiąc pozostawioną tam książkę, otwartą na stronie z niepasjonującym opisem. Nogą odepchnął kota, który także domagał się tarcia. Odpiął haftkę i piersi, już o rozmiar za duże, odetchnęły z wdzięcznością. Łańcuszek się zaplątał we włosy i szarpał jak depilator na karku. Materiał zaczepiony o obcas – Anna nie zdjęła butów – odznaczał

się nadzwyczajnym współczynnikiem rozciągliwości. Piwo parowało i mieszało się z potem i dezodorantem, który według słownika nie pachnie. Unosił się i opuszczał na łokciach, a ciało klaskało w sobie zgotowanych owacjach. Jeszcze nie teraz. Teraz pomyślmy o czym innym, niepodniecającym, zapobiegającym przedwczesnej fontannie.

W sejmie trzyma się koalicja i jaskierniowcy wciąż mają przewagę. Ulga budowlana będzie odpisywana od podatków, a nie jak wcześniej, od podstawy opodatkowania. jeśli ekspres wyrusza ze stacji o szóstej piętnaście, a z przeciwnej strony jedzie spóźniony o dwie godziny pospieszny, to zakładając, że składy powinny się spotkać o pół do siódmej, o której się zderzą. Znow zapchał się przepływ w wannie i trzeba by coś z tym zrobić.

Nie dowiedziecie się niczego, kto przeżył, a kto zabił. Naciskam klawisz i widzę czarny

pulsujący kwadrat, który linijka po linijce zawraca i połyka litery, dwa n i dwa a w słowie Anna, nic spowite w czeluść, nawet ładne, nie powiem.

In Dichters Lande

Tłumaczem – zaspokoilem ciekawość wopisty. – jestem tłumaczem, jadę na konferencję. – Zostałem zaproszony – pokazałem mu zaproszenie.

Czułem nieznaczną ekscytację, przyjemność kontroli, kiedy porządek panuje w walizce. – Rzeczy osobiste, zużyte, znoszone – zapewniłem celnika, stojącego dalej, u końca długiej metalowej lady, na którą dziś niczego jeszcze nie wywlekli. – Nie ma wśród nich niczego, co jest zabronione – tłumacz powinien trzymać się litery.

Jestem – penetrowałem wzrokiem szpaler zgromadzonych po obu stronach niklowanych zagród. W tłumie oczekujących nie było nikogo, kto by chciał się właśnie ze mną ścisnąć. Ktoś się lekko uśmiechnął i zaraz spuścił oczy, bo rozpoznał we mnie osobę niewłaściwą. Pani ze związku obiecywała mi asystę od początku. – Wyślemy – powiedziała – kogoś na lotnisko, nie zginie pan na pewno, proszę się nie martwić. – Nie zginę, nie martwiłem się, przeciwnie, przyjeżdżałem do

miejsc nie moich zmartwień.

Stałem trochę z boku, w najwłaściwszym punkcie. Oczekujący się powoli wykruszali, znikali, doczekawszy się swoich połówek. Kwiaty zmieniały właścicieli, wózki na bagaże hamowały, na chwilę pozbawione ręki. Minął kwadrans, pretendujący do całej godziny – spóźnienia na lotnisku liczymy poczwórnice. Nie spieszyło mi się, stałem na pewnym gruncie, wykafelkowanym w fantazyjny zygzak. Wszędobylstwo kafelków sugerowało czystość, zaprowadzoną po latach zaniedbań. Teraz kafelkowano hurtem, jak się dało, wszystko, pizzerie i pomniki, kioski, kontuary, katafalki, kościoły, w nich konfesjonały, zainfekowane gorzej od toalet, nawet cmentarze ożywiane modą opalizowały o zachodzie szlachetną poświatą azulejos, jakby całe wstępowały do nieba.

Czekałem, studiowałem tablicę kursów walut, wszystkie zdawały mi się niekorzystne.

Tłumacz funtów i marek, nie dość, że niedokładny, coraz szerzej rozsuwał kurs kupna i sprzedaży, a na końcu transakcję wieńczyła prowizja, oznajmiona petitem u dołu okienka, tak że jej wysokość zniknęła zupełnie za rozłożoną na ladzie przed szybą stertą broszur, które zachęcały do używania kart płatniczych, wygodniejszych, łagodzących katorgę przeliczeń. Małe chorągiewki nadzianych narodów widoczne na tablicy obok symboli walut trąciły herezją albo rebelianctwem, gdzieś

brakowało gwiazdy, gdzieś krzyż się rozwarstwił, a z naszej znikł zupełnie i cała niebieska torowała drogę ku unii monetarnej. Liczyłem, ile razy trzeba by wymieniać, żeby zupełnie pozbyć się gotówki. Rozumowanie było prawidłowe. jeśli się zawsze traci na wymianie, to kiedyś wreszcie nie zostanie nic.

Zmęczony, zubożały siadłem na ławce pod ścianą. Teraz miałem przed sobą

wielki telewizor, zawieszony na specjalnym rusztowaniu. Poruszały się fioletowe usta piosenkarki, ale odłączono od nich głos. Nie wiedziałem, w jakim języku śpiewa, nie znałem melodii, akordu, nie mogłem się przyłączyć nawet do refrenu. Wszystko działo się zresztą na odwrtkę, samochody wracały, zasysał się dym. Jabłka wskakiwały na drzewa, proch się zbijał w kłoc. Piosenkarka

otwierała usta, biegnąc cały czas do tyłu, więc musiała, żeby się nie mylić, wyśpiewywać palindrom. Zaraz się zakrztusi – przemknęło mi przez głowę – tylko patrzeć, jak połknie

wykrzyknik!

– Czy pan... – w tym momencie, bezbłędnie wymówione, usłyszałem własne nazwisko.

Są straszne korki. Przemknąć się mogą, i to z trudem, tylko motocykliści. Nawet minister, który miał odlecieć tego popołudnia, musiał zawrócić metrem i wziąć helikopter, żeby się dostać na lotnisko. Na rondzie Rodła karambol odciął wszystkie kierunki i można się wydostać tylko pod

prąd, wjeżdżając na wiadukt prowadzący do Kujawskiej, która jest od roku w remoncie, skądinąd skandal, tam wielokrotnie ryzykując życie, przejechać przez trawnik, oddzielający dwa pasma – już nie jestem pewny, czy powiedziała pasma, czy nitki? – potem nadkładając osiem kilometrów, podjechać od południa, na parking zarezerwowany dla personelu, bo na ogólnym nigdy nie ma miejsca, chyba żeby parkować, tarasując chodnik, ale wtedy na koła zakładają klamry, więc już lepiej ryzykować mandat, prawdopodobny, jeśli się nie pospieszymy.

Słuchałem szczęśliwy, rozumiałem każde słowo. Podziwiałem obfitość imiesłówów, współczesnych, napawających tak trudnym do wyrażenia w innych językach uczuciem uczestnictwa, plenipotencji.

W radio powiedzieli, że karambol był dziełem zamachowców, ale zaraz zdementowali. Ktoś huk otwierających się poduszek powietrznych, przynajmniej dwudziestu naraz, najwyraźniej musiał

wziąć za strzały. Zamach był wczoraj, ale się nie udał, kula przeszła dwa centymetry od celu, a wybuch w ogóle nie nastąpił, wzbogacając tylko archiwum niewypałów. Zamachowców nie łapią,

nawet ich nie szukają, bo wiadomo, że wkrótce sami eksplodują w reakcji, która jest łańcuchowa, chociaż ogniwa oddziela nieraz cały tydzień bez strzału.

Korki stały się nową formą życia w stolicy, wiadomo, że wiele z nich jest prowokowanych przez obnośnych sprzedawców, zrzeszonych w dwóch gildiach, na kierunku wschodnim, od mostu

po Dworzec Główny, i południowym, aż do ronda, oba targowiska centralne, wcześniej skupione na placu i stadionie, rozciągają się teraz całymi kilometrami wzdłuż arterii i alej. Co sprzedają? Wszystko, nawet dają w leasing, pewni, że samochód nie zając, nie umknie i wkrótce znajdzie się znów w korku, zmuszony do spłaty jak w banku. Zaczęło się od drobiazgów, gumy do żucia, gazet, choinek z zapachem, dyndających pod lusterkiem, w którym widać nie kończący się sznur pojazdów, zdrapek, na które świerzbi ręka, czymś wreszcie zajęta, nie obeszło się bez zebraków, co jak automaty inkasowali drobne, trzymane w portmonetkach na parking. Potem ruszyła

gastronomia, najpierw jeszcze nieśmiało, chipsy, lody, fast foody – bo korek stał na trasie szybkiego ruchu – potem jednak coraz wykwintniej, à la carte, z obrusem rozkładanym na małych stolikach ze specjalną klamrą zaciskaną na kierownicy, z francuskim nazewnictwem, poché, mis en bouteille, co bardziej przezorni na obiad umawiają się w korku, pewni, że znajdą stolik i że nikt ich nie będzie poganiał z jedzeniem.

Czy byłem głodny?

– Nie, zjadłem w samolocie.

– Jak podróż?

– Nie wiem, chyba dobrze, jeszcze się okaże – dojeżdżaliśmy już do hotelu, który migał przyjaźnie strzałką, za każdym razem trafiającą w to samo miejsce nad drzwiami.

Czy coś jeszcze? Czy o czymś zapomniała? Wszystko inne znajdę w koperce, która czeka na mnie w recepcji.

– Dziękuję – podziękowałem.

W pokoju hotelowym zastałem wszystko w porządku. Łóżko, położone centralnie, bo w końcu o nie tu chodzi, zasłane ciężkim pikowanym ornatem, który starczyłby za dwie kołdry. Biurko pod lustrem, wąskie, plastikowy listownik – czy tak nazywają się wykładane gąbką okładki o rogach wzmocnionych blaszką, skrywające papier listowy? – cztery puste szuflady, w piątej

Biblia z zakładką na Jeremiaszu, telewizor, tym razem stojący na jednej nodze, a na ścianie obrazek z widokiem, którym można nacieszyć oczy. Postawiłem walizkę na meblu bez nazwy, ni to półce,

ni krzesło, ni szafce, służącym jako stojak do walizek. Wziąłem prysznic, zimny albo wrzący, nie znający stanów przejściowych. Wytarłem się w nowy ręcznik, odporny na wodę. Teraz – pomyślałem – zejdę posłuchać, co przed zaśnięciem mówią rozmówcy, wszyscy moi.

Siedzieli albo stali przy barze, zakręconym w podkowę. Wziąłem podwójną z lodem.

Zamieniłem się w słuch, ale dobiegały do mnie tylko resztki, końcówki bogatej fleksji, czasem głośniejsze powtarzane wyrazy, na podstawie których nie sposób było zrekonstruować całej skomplikowanej siatki. Ktoś coś stracił, komuś coś ukradli, ktoś pierdolił taki interes, ktoś się spóźnił, bo utknął w korku, a jak w końcu dotarł na miejsce, to było po herbacie, uważam.

Uważałem, miałem napiętą uwagę. Wszyscy zwracali się do mnie, oryginały, które domagają się przekładu. Barman pytał, czy coś jeszcze podać. Tak, jeszcze raz to samo, czułem lekki poszum, jakby włączyć magnetofon (nagrywał, nie odtwarzał). Recepcjonistka uśmiechała się zza lady, odesłałem jej ekwiwalent uśmiechu, dokładny, bez ryzyka, że zamieni się w grymas. Jacyś spóźnieni podróżni wtaczali walizki i rozglądali się niepewnie po holu, wbijali wzrok w mylny wzorek marmuru pod nogą, zapętlony i śliski jak wodorost.

Któryś w końcu wyszedł, żeby sprawdzić, czy strzałka nie zgasła i czy rzeczywiście ich tutaj

przywiodła. Jakaś prostytutka chciała się ze mną zespolić. – Proszę napisać tu – podsuwała kawałek gazety – numer pokoju. – Wyjąłem jej z ręki gazetę i przeczytałem wezwanie sądu rejonowego do wnoszenia roszczeń wobec nieruchomości, która, jeśli takie nie wpłyną, zostanie przez zasiedzenie nabyta. Mogłem także kupić na licytacji poupadłościowej wózek widłowy, pod warunkiem

wpłacenia wadium w terminie, który gonił. jakaś spółka wzywała mnie do pozbycia się udziałów. Nie mogłem się ich pozbyć, nie mogłem się zespolić z jedną prostytutką w sytuacji, kiedy partycypowałem we wszystkim, chłonałem rzeczywistość całą tkanką, każdym włóknom, absorbowałem całość, w tym kolejną podwójną whisky nalewaną przez barmana, który rozumiał, że jestem przedstawicielem wszystkich, że nikt nie może wymagać ode mnie jednego stosunku, nie

może mnie ograniczać do paru udziałów, bo stawka jest wyższa, stawką jest cały indeks, a nie poszczególne, samotne, rozproszone jak niedobitki jednostki uczestnictwa.

Nazajutrz obudziłem się z bólem w obu półkulach. Wziąłem radykalny prysznic, na przemian gorący i zimny. Ubrałem się w czystą, wyprasowaną koszulę, znalazłem ją w plastikowej torbie za drzwiami. Włączyłem radio, piosenkarka w kółko śpiewała ten sam palindrom, ullu lullu ul, kołysanka dla pszczoł. Zobaczyłem, że miga lampka ostrzegająca, że ktoś zostawił wiadomość.

Zadzwoiłem do recepcji. – Tak – powiedziałem – rozumiem. – Zszedłem na śniadanie.

Przypomniałem sobie samotne śniadania w domu. Gorką kawę, gorzki sok grejpfrutowy, gorzkie przypalone grzanki pod słonym masłem, radio bez kołysanek, za to z dokładną prognozą dla całej linii brzegowej, stan morza – cztery, stan zatoki – lód, aż do marca, tak że można po niej jeździć samochodem, o ile ten także nie zamarznął. Spod drzwi brałem gazetę, jeszcze pachnącą

farbą, a już przecież dla mnie nieaktualną. Nikt nie wzywał mnie do przetargów, wpłacenia wadium,

żaden termin nie gonił, a akcje, które zajmowały kilka ostatnich stron, były tak nieruchome, jakby je ogarnął paraliż. Niechby – myślałem – spadły, niechby nastąpił krach, fluktuacja, huśtawka.

Czytałem, ale bez żalu mogłem się oderwać, przestać w dowolnej chwili. Siedziałem przy stole w kuchni i nic mnie nie porywało. Nawet wyniki gier liczbowych wydawały się tak oczywiste, że mogłbym je z łatwością podać na kilka tygodni naprzód. Nic bym na tym nie wygrał, nic by się nie stało. Stan zatoki – lód, a wraz z nim hibernacja.

Zszedłem do restauracji. – Sto siedemnaście – podałem numer pokoju, znowu byłem częścią wspólnoty, maître d'hôtel rozkładał ręce, chciał mnie objąć, zapraszał mnie do stołu. Z tego samego dzbanka lała się kawa. Odcinałem pasztet ze sztaby, w której w jedno się stopiły wątroby. Nawet ciepłe bułki podane na blasze łączyły się bokami – jakby ciasto rosło bez granic – i teraz trzeba było jak opłatkiem nimi się łamać.

Siedziałem w rogu sali i znów miałem pełnię przed sobą, mniejsza o docinki purysty, który twierdzi, że róg nie wystaje zza pełni, bo ta jest baloniasta, a przed sobą można w najlepszym razie 100

mieć połowiczność. Tak, była cała, kompletna, doskonała jak piorun kulisty – a ja tylko ją domyślałem, jak drzwiczki do spichrza. Śniadanie leżało przede mną na talerzu nietknięte, nie mogłem nic przełknąć bez ryzyka, że pękne.

Miałem dwie godziny do rozpoczęcia obrad. Wiedziałem, że na konferencję przyjdzie mój polemista, tego dotyczyła odebrana rano wiadomość. Postanowiłem pójść na piechotę, okrężną drogą, przez boczne, mniej uczęszczane ulice i park, teraz zapewne pusty, z liśćmi jak zwykle nie sprzątanymi od paru sezonów, ostatniego lata widziałem je jeszcze wszystkie na stanowisku, na drzewie. Spacer pozwoli uspokoić zmysły i uporządkować argumenty w głowie, na wszelki wypadek spisane też na kartkach, które trzymałem w kieszeni, zwinięte w trąbkę. Potem – układałem dokładnie marszrutę, żeby nie zbłądzić, nie zboczyć – skreć na skarpe i od tyłu dojdę na uniwersytet, przynajmniej pół godziny przed czasem, nie spiesząc się, nie pocąc, nie wywalając języka, bez zadyszki, tak zgubnej dla dykcji.

Czego dotyczyła polemika? Spraw podstawowych, bo przecież o drobiazgi nie warto się spierać – pogardzałem krytyką przekładów, w której krytyk poliglota sporządzał katalog pomyłek i odstępstw, dobry na erratę, ale niewart polemik. Każdy w końcu gdzieś się pomyli, i z tego żyje redaktor, niestety, dziś na wymarcu, tak że nawet tu nie będzie interweniował, podkreślał, kpił, może się zdecydować, albo-albo, na wymarcu czy żyję? Mój polemista za pomyłkę uważał przekład jako taki, przekład w ogóle, uważał go za coś przeciwnego literaturze. Pomysł absurdalny, każdy się zgodzi. Wystarczy wejść do pierwszej lepszej księgarni, żeby zobaczyć, że przekład

dominuje, oryginałów nie starcza choćby na połowę. – Literaturą – argumentował, zachowując pozory logiki – jest to, co powiedziane zostało tak-a-nie-inaczej, dla tego tak-a-nie-inaczej stało się literaturą. Wiersz jest ostateczny, już nic nie możemy w nim zmienić. Wiersz jest tylko sobą, tylko wierszem. – Tylko sobą, tylko u siebie – pamiętałem, jak powtarzał te zaklęcia z żarliwością

proroka. – Przesunięty, przestaje być wierszem, cytowany, choćby w najlepszej wierze, będzie tylko cytatem, gdy umiera poeta, wtykanym do nekrologów. Niepotrzebnie, bo już sam cytat nie jest niczym innym niż nekrologiem.

– Cytat, z konieczności, jest nekrologiem, a cóż dopiero przekład? To rejterada, która

wypiera literaturę, cofa ją do stadium wariantu, zabójczej dowolności, wystarczy wziąć do ręki dwa konkurencyjne przekłady jednego tekstu. Nic nie jest tam nieuchronne, wszystko dowolne, wszystko daje się powiedzieć inaczej. Przekład jest rozwiązaniem zagadki, i zawsze błędnym, opowiadaniem dowcipów od końca, z powagą, nicowaniem podszewki, co wylazła na klapy.

Warto

pisać – mój polemista był, oczywiście, pisarzem, uważał się za pisarza, najdosłowniej nieprzekładalnego – warto pisać dopiero, kiedy się nie wie, kiedy się nie rozumie. Niewiedza – uogólniał, dramatyzował – to warunek pisarstwa, jedyne godnego tej nazwy. Pisarz nie powinien 101

rozumieć. – A tłumacz? – Tłumacz, który nie rozumie, jest swoją parodią, jest parodią tłumacza, tak jak, szerzej rzecz ujmując tłumaczenie jest parodią literatury.

Zajęty rekonstrukcją naiwnych argumentów mojego polemisty – w istocie samobójczych, zabijających także pojęcie czytelnika, dla którego nie było już miejsca (bo przecież każda lektura to przekład i cytat, tak jak każdy przekład jest – najlepszą z możliwych – lekturą) – nie zauważyłem, że przeszedłem już dobry kawałek przez miasto. Niczego nie widziałem, szedłem jak koń w

kopalni, chciałem zawrócić, niczym w książce, którą bezwiednie czytamy, przekładamy w niej strony, póki się nie ockniemy, nie zorientujemy, że myślą jesteśmy zupełnie gdzie indziej i akcja toczy się bez naszego udziału, gdzieś bokiem, w polu. Wtedy szybko kartkujemy z powrotem i dobrze, jeśli trafimy na rozwidlenie, które zbiło nas z tropu.

Chciałem zawrócić, jeszcze raz przejść krok za krokiem drogę od hotelu. Obejrzeć dokładnie to, co ledwie mi mignęło, zamazane, nieostre. Przeknina po przecznicy, starałem się przypomnieć sobie obraz. Plamę jeszcze zamkniętej kwaciarni, z czymś niebieskim w środku, co równie dobrze mogło być chabrem, astrem lub wstążką, zaciśniętą na niewiadomym. Twarz kobiety, która stała naprzeciwko na światłach i odgarniała włosy, niepotrzebnie, bo i tak nie dostrzegłem ust, całkiem bez wyrazu, ani koloru oczu, obojętne, czy w okularach, czy szklach niekontaktowych, ani tym bardziej zmarszczek, najciekawszych, żłobień, bez których nie może być naprawdę mowy o rysach twarzy, tutaj nieledwie przezroczystej, białej jak w magazynie mody, z lekko w dwóch punktach zamarkowanym nosem, z policzkiem, co stracił piegi i kontur,

z makijażem, który nie podkreślił niczego, bo wszystko zatuszował. Chciałem sobie przypomnieć innych przechodniów i czułem się bezsilny, podobny chiromantce zmuszonej wysnuć cokolwiek

z naciągniętej na bęben skóry.

A przecież wiem, że musiałem przechodzić przez ulice tętniące życiem. Gdzieś biegły do szkoły dzieci i w tornistrach im grzechotały ołówki, narzędzia wiedzy. Gdzieś w małej budce skwierczał tłuszcz pod mięsem odwracany szybkim ruchem przez sprzedawcę w pomiętym kitlu,

który zaraz potem potrząsał butelką z keczupem i przypominał w tym kogoś innego, energicznie pociągającego za sznury. Dzwony były w którymś kościele, a ja nie dość, że nie wiedziałem, w którym, to w ogóle nie słyszałem, że biją. Spłoszone na dzwonnicy gołębie podrywały się do lotu z furkotem skrzydeł, poza jednym, ogłuchłym, ten tylko przekrzywił głowę, nie mogąc się nadziwić.

Czule obejmowali się narzeczeni, na metalowy guzik od mankietu kurtki po cichu nawijały się włosy, za chwilę szarpnięte, ostrzeżenie, że rozwód się nie dokona bez bólu. Ktoś nie zdążył, ktoś czekał, ktoś o kulach gramolił się po schodach i kłął na czym świat stoi. Na czym stal? Nie

czułem go pod podeszwą, nie widziałem niczego.

Co stało się z podaną na śniadanie komunią? Wystarczyło kilka wyrażonych konceptów, aby mnie odizolować. Komunikacja zanikła – mój polemista był górą. Jak można tłumaczyć, jeśli nie jest się świadomym oryginału? Jeśli nie jest się przekonanym. Gdzie podziało się uczucie sytości? Gdzie może podziąć się pełnia? Poczulem zagrożenie, niepokój. Byłem głodny, nie zjadłem w końcu nic na śniadanie. Czulem potęgujące się z każdym krokiem uczucie braku, jakbym coś zgubił, jakby mi coś odpadło. Przez chwilę nawet kulałem – brakowało mi kuli. – Gdyby nie to, że znajduję się w zupełnie innej dzielnicy, blisko uniwersytetu – powiedziałem do siebie –

pomyślałbym, że idę ulicą Żwirki. jednopasmową, ślepą żwirki, osieroconą żwirki, żwirki bez Wigury.

Przypieszylem, zacząłem się pilnie rozglądać, skupiony, z uwagą napiętą, jakby wszystko leżało teraz na płytce pod mikroskopem. Byłem już na bocznych ulicach, poza ścisłym centrum. Zniknęły kwaciarnie, sklepy, budki z gazetami i mięsem, nawet gołębie rzadziej zapuszczały się tu, nie mając nic do roboty. Szedłem wzdłuż szarych kamienic tynkowanych w łaty. Obok zamkniętych drzwi, niekiedy bogatych w rzeźbione motywy roślinne, ale częściej zabitych dyktą, płaską, pozbawioną ornamentów, jeśli nie liczyć śladów po kopniakach – widniały domofony, rzędy metalowych przycisków, schowane pod plastikowym daszkiem, żeby deszcz nie wywołał lokatorów z domu w pogodę, kiedy i psa nie wygnasz. (Psy tymczasem urzędowały na miejscu po

trawniku, oznaczonym zdeptaną tabliczką, obwąchiwały się ostrożnie, cyrkulowały, jeden najwyraźniej nabierał chęci do kopulacji, która drugiego napawała wstrętem, więc szczyrzył zęby i warczał.)

Gdzie byłem? Powinienem już dochodzić do parku. Spojrzałem na zegarek, zobaczyłem, że stanął. Na chwilę i ja się zatrzymałem, przyłożyłem tarczę do ucha. Nic nie tykało. Stuknąłem palcem, sekundnik ruszył i po pięciu sekundach znów się zatrzymał. Na ulicy nie było nikogo, kogo mógłbym zapytać o godzinę. Podbiegłem do pierwszej bramy. Przez chwilę szukałem nazwiska,

jakbym, primo, znał zegarmistrza, secundo, wiedział, że właśnie tu mieszka, tertio, że w czasie pracy jest w domu. Doprawdy, musiałby zaistnieć wyjątkowy zbieg okoliczności. W końcu nacisnąłem guzik obok nazwiska Kobzdej, podaję je tu w brzmieniu nieco zmienionym. – Przepraszam – powiedziałem – że niepokoję, ale chciałem wiedzieć, którą mamy godzinę. – Ja ci, kurwa, dam godzinę – ryknęło z domofonu, wyraźnie rozstrojonego. A więc nie tylko ja przeklinałem czas, nagle wyzbyty miary. Kiedy odchodziłem, coś chlapnęło na trotuar, opryskując mi spodnie, niegroźnie, raptem na jednej nogawce kilka kropel, wyschnie, nie będzie śladu.

Zza rogu wyszła dziewczynka i podskakując zmierzała prosto na mnie. Przez chwilę przestraszyłem się, że bierze mnie za kogoś innego, sąsiada albo wuja, dawno nie widzianego, że rzuci mi się w ramiona, przylgnie i będzie czekała na pieszczoty, do których nie byłem skory.

Usunąłem się przezornie na bok i kiedy zbliżyła się na półtora metra, zagadnąłem głośno, ale taktownie:

– Nie wiesz, która może być godzina?

– Nie wiem dokładnie, ale będzie chyba dziesiąta – powiedziała i pobiegła dalej, podskakując teraz tak, aby nie nastąpić na spojenia chodnika, który miał ich więcej, niż planowano, bo płyty były w wielu miejscach popękane i nadkruszone.

Dziesiąta, będzie i chyba – trzy słowa zakolały mi w głowie. Spokojnie! Nawet jeśli by dodać kwadrans – wołałem mieć tę rezerwę – zostawało pół godziny do rozpoczęcia obrad, a cała do mojego wystąpienia, obliczonego na dwadzieścia minut (nie miałem zamiaru, wbrew panującym

zwyczajom, przeciągać go poza przyznany mi limit, kiedy wszyscy ziewają i marzą o kawie i papierosach, i można by powiedzieć cokolwiek, bluźnić, złorzeczyć, mnożyć sprzeczne przykłady, które wołają o pomstę, a sala i tak przytaknie, milcząc, bo wszyscy marzą tylko o kawie i pisuarze, i leżących w nim zmoczonych niedopałkach, wypalonych już przez innego szczęściarza nałogowca).

Do tego trzeba dorzucić kwadrans akademicki, nic nie zacznie się przed jedenastą, czy dlatego początek wyznaczono na za piętnaście, aby potem zaczynać punkt, z pozorowaną punktualnością?

Jakby się uprzeć, mógłbym wrócić jeszcze do hotelu i wziąć prysznic – czułem, że pocę się nieprzyjemnie i dezodorant miesza się już z wodą kolońską, niestety innej marki, a przy szybszych ruchach – czułem to coraz silniej – nie starcza i obojga.

Mógłbym wziąć taksówkę, kazać jej czekać pod hotelem, a potem na Wydział podjechać od frontu, a nie, jak planowałem, podejść od tyłu, od skarpy. Zacząłem się nawet rozglądać, ale nic nie jechało. Samochody stały zaparkowane w trzech czwartych na trotuarze, niektóre od bardzo dawna, o czym świadczyła warstwa kurzu i ekskrementów, wielokrotnie grubsza od blachy.

(Robota gołębi

– przemknęło mi – więc jednak tu bywały!) Niektóre stały w pokrowcu, zakapturzone, tak że nie rozpoznasz rocznika i marki, chyba że po kołach, jeśli odsłonięte i mają firmowy kołpak, choć też może się zdarzyć, że ten będzie nieoryginalny, przekłamany, przełożony dla niepoznaki. Szedłem teraz równym, szybkim krokiem, pewien, że za chwilę znajdę się w parku, jeszcze jedna, góra dwie przecznice. W mieście pociętym na proste kwartały nie sposób się zgubić, nawet jeśli nie ma ponumerowanych ulic i alej tworzących z nimi algorytm, a tabliczka z nazwą, jakiej od dłuższego już czasu wypatrywałem, albo jest całkiem nieczytelna – bo farba zeszała i na patrona wskazuje tylko końcówka genetywu, niewykluczone, że mylna, okazująca się po wnikliwej analizie sufiksem – albo wcale nie ma tabliczki i na narożniku dwa podłużne plastry, nieco ciemniejsze ślady po niebieskich blachach na szarym, złuszczonego tynku, czają się wzajem na siebie z obydwu stron na równej wysokości i pilnują swoich rewirów jak sfinksy. Mniejsza o imiona, nazwy własne, 104

nieprzetłumaczalne i z trudem poddające się deklinacji – w prześwicie ulicy widziałem już bezlistne korony, rozchodzące się we wszystkich kierunkach, jak na rysunku w notesie leżącym przy

telefonie. Dochodziłem, zgodnie z planem, do parku.

Wyszło słońce, zrazu nieśmiało, pokazało się w jednej wąskiej szparze między chmurami, potem coraz odważniej, oświetlając przeciwną stronę ulicy, północną, więc żeby nie pozostawać w cieniu, przeszedłem na drugi chodnik, mimo że zostało już raptem kilkadziesiąt metrów, a po nich znajdziemy się w parku, na wolnej przestrzeni, przerywanej tylko przez drzewa, o tej porze roku przeświecane na wylot. Tam skręcimy na południe, pod słońce i lekko mrużąc oczy, mijając dzieci z przedszkola, które zawsze, ile razy tamtędy przechodzę, kręcą się na karuzeli i współ z jej zużytym łożyskiem piszczą; mijając niewielki pomnik – ze wstydem muszę wyznać, że nie sprawdziłem, dla kogo wzniesiony, jednak sprzed wojny, może nawet pierwszej, dość stary, żeby się ostał – zostawiając po prawej altankę, gdzie pijacy urządzają bachanalia i szkło wdeptane w alejki trzeszczy pod butem, dochodzimy spacerkiem na uniwersytet, do pierwszych budynków,

zajętych przez administrację, co rozrasta się kosztem studentów, rozsyłanych do odległych dzielnic, prawie na wieś, teraz zwaną kampus, żeby było czyściej i uczeniej.

Kiedy uskakując między samochodami, wziąłem ostatnią przeszkodę w postaci arterii, w jaką zamieniła się kiedyś spokojna, jak pamiętam, ulica, poczułem się niczym zdobywca, byłem u celu wędrowki, bez niczyjej pomocy – Kobzdeja z drugiego piętra, taksówkarza, zbyt zajętego, żeby po mnie podjechać (wcześniej jeszcze odrzuciłem propozycję pani ze związku, bo koniecznie chciała przysłać po mnie samochód). Staram się być samodzielny i zachować kontakt ze światem, szczególnie na zamkniętych obradach, kiedy nas odgradzają i krążymy po krótkiej orbicie, wśród kilku nazwisk, wpatrzeni w wizytówkę wywieszoną na kłapie, w agrafkę, która każe właścicielowi sygnować marynarkę, mimo że krawiec już ją raz sygnował.

Także mój polemista nie popsuł mi szyków, choć przecież usiłował. Śmiać mi się teraz chciało z jego argumentów, owszem, błyskotliwych – błyszczących, mylili się koledzy z Norwegii, kalkując rodzimy wyraz – ale przecież płytkich, zapadających nie głębiej niż kawałek butelki

wdeptany po libacji w trawnik przez pijaków – pijacy, właśnie do nich dochodziłem. Trzeba zaś było słyszeć, jak je wypowiadał! Jakby to były zaklęcia, słowa modlitwy, z żarem, jaki rozpałał najbardziej oziębłych sceptyków. A przecież sam był sceptykiem, gorzej, likwidatorem! Był cenzorem, ignorantem, przez którego tyle straciłem, mniejsza o gołębie sfruwające z wieży kościoła, tych zawsze jest po dostatkiem, choć nigdy nie zataczają kręgów dokładnie tych samych. I mniejsza o przechodniów, z definicji niejednokrotnych, którym się jeszcze napatrzę, a zwłaszcza na światłach, gdy stoją ustawieni do fotografii, do kamery zawieszanej na słupie, która przekazuje obraz do centrali, a tam już umiemą rozpoznać zaginionych ze wzrokiem wlepionym w asfalt i

poszukiwanych, w tylnych rzędach, odwracających głowy odruchowo, żeby sprawdzić, czy zgubili

ogon. I mniejsza o sprzedawcę hamburgerów, choć byłem coraz bardziej głodny i dałbym mu zarobić, mniejsza o piękność z magazynu mody, one są zawsze podobne, więc stratę można odrobić, ale – i tu dochodzimy do sedna – została uszczknięta pełnia i teraz sztuka polega na tym, by ją załatać.

Czy znów – ocknąłem się – nie szedłem za długo? Wyjątkowo nie spotkałem dzieci, a po karuzeli nie pozostał nawet ślad koła na piasku, widać wzięli ją do remontu, słusznie, skoro piszcziała do wtóru dziatwie. Kto wie, może zresztą zamknęli przedszkole, dzieci płacą koszty transformacji i chowają się same, tylko patrzeć, jak wyrosną na zuchów, na liberałów. Może zamiast karuzeli, sterowanej centralnie, potrzebne im huśtawki, a bankrotom zjeżdżalnie do piachu?

Co gorsza, zniknął też pomnik i nie mogłem sobie darować, że nie dowiem się, po kim. Marny los wydzwigniętej na cokół osoby, pewnie nie docenionej za życia, a pół wieku po śmierci jeszcze

wciąż narażonej na rozkład, demontaż, żeby choć z pompą, wśród tłumów, gdzie zawsze znajdują się ukryci zwolennicy, wierni, ale nie, zapewne po cichu, na boku, może nawet obyło się bez płoszenia gołębi – które teraz, z braku wzniosłości, przysiadły na koszu do śmieci i rozrzuciły wokół ukryte w nim skarby – w najlepszym razie w asyście dzieci, przedszkolank, pijaków... Tak, pijacy, znak opatrności! Już majaczyli wśród drzew podchodzących ku skarpie, już dobiegały pomruki

synkopowane czkawką, już byłem prawie przy nich, na dobrej drodze!

Ulżyło mi, przez chwilę chciałem ich uściskać i gdyby mnie nagabnęli o drobne, dałbym

przynajmniej piątkę, może dwie, może nawet banknot. Znów wyszło słońce, już po raz drugi w momencie, który by wskazywał na timing. Czym jest euforia? Haustem powietrza, podskokiem na

jednej nodze? Głupiutkim refrenem, wygrywanym na ukulele, palindromem wyrwanym prosto z piersi i zatykającym jak łyk alkoholu o mocy nad moce? Biciem serca, nagłym uderzeniem gorąca, tak że wrze dezodorant? Czy może pogonią za własnym cieniem, do wtóru werbli, wśród wróbli

czmychających ze ścieżki i też ćwierkających, sadzeniem wydłużonych kroków, tak by nie odrywając jednej nogi od ziemi, drugą stąpać już gdzieś w okolicy głowy?

Cienie! Na Boga, coś się tu nie zgadza! – zamarłem w rozkroku i musiałem podeprzeć się ręką, aby całkiem nie upaść. Cienie padały w niewłaściwą stronę! Skręcałem na południe, przygotowałem oczy, spodziewając się blasku, zmrużyłem je jak krótkowidz, który wyszedł bez okularów, szykowałem się na chwilową pomroczność, skokową akomodację i żeby nie zboczyć, dokładnie zapamiętałem, którędy biegnie alejka, wznosi się lekko w lewo ku skarpie. Tymczasem miałem cienie przed sobą, a słońce – odwróciłem się jeszcze, aby to potwierdzić – stało mi za plecami, dokładnie nad żurawiem, który gniazdował na póki co niewysokim drapaczu. Nie było wątpliwości, szedłem na północ, w najlepszym razie na północny zachód. Chciałem sprawdzić jeszcze inne cienie, bardziej stabilne, rzucane przez pasiaste słupki z łańcuchem i betonowe latarnie 106

w prążki, z kłębkami przewodów zwisających ze schowków otwartych na oścież (upewniłem się, że nieczynne, a więc nie było konkurencji dla słońca); aby wykluczyć złudzenie optyczne, podniosłem w górę rękę, jakbym zgłaszał się do odpowiedzi, o którą tutaj, jednoznacznie, niełatwo – ale w tym momencie słońce znów zaszło i cień wsiąkł w już i tak wilgotną ziemię. Gdzie byłem? Gdzie byłem, jeżeli nie w parku, o którym poza drzewostanem naturalnym świadczyły płotki z prętów żelaznych, pogiętych ludzką nogą? Ku czemu wznosiła się alejka wygięta w lewo, jeżeli nie ku skarpie? Co zniknęło bez śladu, jeśli nie karuzela i pomnik? Postanowiłem zażądać wyjaśnień od pijaków. Stali nieopodal, w połowie wzniesienia. Podszedłem zdecydowanym krokiem. Zajęci kontemplacją skarpy, zobaczyli mnie dopiero, kiedy chrząknąłem,

być może zbyt głośno, gdyż chrząknięcie na dzień dobry przeszło w kaszel, ledwie zaleczony przed wyjazdem, samoczynnie odnawiający się w takich wypadkach. Ja też dopiero wtedy stwierdziłem,

że nie jest ich dwóch, bo poza jednym wyższym i drugim mniejszym – tych widziałem z daleka – był i trzeci, bez wzrostu, ukośnie rozciągnięty na ziemi.

– Przepraszam, czy park ten dochodzi do uniwersytetu? – zapytałem stanowczo, ale uprzejmie, być może z lekkim germańskim akcentem, jaki niekiedy ujawnia się w takich sytuacjach, choć na ogół mówię bez niego, może niepotrzebnie z postponowanym zaimkiem, jaki nie przystoi kolokwializmowi, lecz na pewno nie dając powodu do reakcji, cytuję:

– A na chuj ci, koleś, uniwersytet?

Tego było za wiele. Na chuj mi uniwersytet? – Mnie uniwersytet? – stuknąłem się palcem w pierś, w której gotował się wybuch. Przecież to ja, nie kto inny, to ja byłem jemu potrzebny. – Beze mnie – wrzasnąłem na pijaka – bylibyście zaściankiem! Nikt by was nie zrozumiał! Nikt by o was nie pamiętał, przepadlibyście bez wieści, czy przykład narodów, do których w drukarniach brakuje czcionki, nic wam nie mówi? Czy niczego was nie nauczyła historia? Czy myślicie, że świat będzie się wsłuchiwał w waszą pijacką dykcję, pełną zająknięć, w rozbrajającą – nawet ja miałem kłopot z wymówieniem tego słowa, musiałem dwa razy próbować – rozbrajającą

czkawkę, bijącą, gdzie

popadnie, zdolną rozerwać dyftong?

– Człowiek, tylko spokojnie – teraz przyzwał mnie ten niższy, z pominięciem vocativu. –
Lepiej dorzuć piątkę, bo zabrakło – wysunął w moim kierunku rozwartą rękę, pełną drobnych
monet, srebrnych, i drobniejszych, miedzianych.

Nie jestem skąpy, przeciwnie, nasze powołanie zakłada hojność. Ileż razy musimy opierać
się pokusie, żeby powiedzieć coś oryginalnego, własnego; Z łatwością moglibyśmy sami zapełnić
księgarnie i biblioteki. Nikt w końcu nie napisał tylu powieści, ile zostało przetłumaczonych. Ale
autor jest jak gatunek pod ochroną i zamiast z nim konkurować, my go rozmnażamy. Jesteśmy
niczym zakład unasienniania, dlatego zupełnie nietrafne było porównanie –jakiego dopuścił się
107

islandzki prozaik – przekładu do aktu w prezerwatywie: – Niby – powiedział – to samo, a jednak
co innego. – Jesteśmy skromni, nikt z nas nie wyrywa się do pierwszego szeregu, mimo że nikt
lepiej od nas nie wie, jak się w nim znaleźć, nikt nie zgłębił równie głęboko tajników dzieła, nie
obnażył

jego słabości, staramy się je naprawiać, ergo każdy kolejny przekład może być lepszy od
poprzedniego, i od oryginału, unieruchomionego raz na zawsze, nikt, nikt... – powtarzałem to
słowo, bo wiem, że dla wielu – mój polemista nie był tu odosobniony – jesteśmy nikim.

Nie jestem skąpy, czyż nie obiecywałem nawet i dwóch piątek, niewykluczone, że
wyrażonych przez jeden banknot? Czyż nie dołożyłbym, jeśli rzeczywiście zabrakło? Ja, o
którym, kiedy mówi minister – kto wie, czy właśnie nie w tej chwili, otwierając obrady – padają
nieuchronnie, niby szlachecka partykuła przy nazwisku, stwierdzenia o, cytuję: nieprzebranym
dorobku, używanym zamiennie z wkładem, o, nie koniec cytatu: czuwaniu przy skarbcu, o
zaskarbieniu sobie wdzięczności, ja miałbym się nie dołożyć do drobnych? Ja, który tygodnie i
lata spędzałem nad cudzą kartką, starając się ją pomnożyć, który wzbogacałem metafory,
krzyżowałem ich pola, klonowałem rymy w poezji, bezlitośnie tępiąc je w prozie, miałbym teraz
poskąpić

pijacom? Zawsze oddawałem ducha twórczości i dychę chętnie jeszcze dołożę.

Już sięgałem po portfel. Najwyżej – pomyślałem – zapłacę, stać mnie. Już sięgałem po
portfel, kiedy ocknął się ten trzeci, leżący skosem na skarpie, zupełnie nie wprowadzony w
temat, i zasugerował ex abrupto, z mety, żeby Witold lub Wiktor (– Wiciu – powiedział,
używając wołacza i deminutivu) mi lepiej przyjechał, a nie, żeby się prosił.

– Ochujaleś? – usłyszałem, powiedziane nie zorientowałem się przez kogo, ale skierowane
do mnie.

Jeszcze nie ochujalem, inaczej, niż sądzili! Odwrotnie niż w całej mojej życiowej praktyce,
tym razem to ja wykonałem pierwszy ruch, uprzedziłem ich – i to ja przyjechałem Wiktorowi
(myślał, że nie znam slangu!). Żeby nie zaczynać ab ovo – kopnąłem go w genitalia. Witold zgiął
się wpół, zatoczył, potknął o nogi wstającego właśnie trzeciego i upadł, wyrzucając przy tym w
górze garść drobnych, które rozsypały się wokół na kształt fontanny, jakbyśmy zgodnie z
przysłowiem wszyscy mieli tam wrócić, z żonami.

Trzeci okazał się średniakiem, środkowym ogniwem łączącym niższego z Witoldem.

Ledwie zdążyłem to skonstatować, kiedy właśnie ów niższy i wcale nie dorównujący mi
wzrostem, stojący jednak wyżej na skarpie (która – zaczynałem się znów niepokoić – czy nie jest
po prostu nasypem?), strzelił mnie z głowy, siedliska myśli. W ostatniej sekundzie zdołałem się
nieco

odchylić, głowa ześlizgnęła się i poczułem ugryzienie w obojczyk, a jednocześnie ból w nosie i

ciepły katar, który, zobaczyłem to kątem oka, póki jeszcze na nie coś widziałem, spływał mi już po brodzie.

Zanim jednak dotrze do mnie słodki smak krwi, uderza co innego: z ust, które gryzły, więc najpierw się musiały otworzyć, zionęło wcale nie alkoholem, przeciwnie, czymś nie konserwowanym, przegniłym. Oszukano mnie! Pijacy wcale nie wypili, byli zupełnie trzeźwi, kto wie, czy w ogóle nie abstynenci. W momencie kiedy to zdemaskowałem, średniak zaatakował od

tyłu czymś drewnianym, drągiem albo po prostu konarem, wcześniej opadłym z drzewa, nie żadnym kijem bejsbolowym, o którym tyle nazywałem się w samolocie. Kij bejsbolowy jest krótszy, zwężony u nasady i przede wszystkim obły, gładki, miły w dotyku, a ja odczułem wyraźną szorstkość na karku, tarcie pochodzące – jak zaraz wyszło na jaw – od kory.

Utrzymałbym się na nogach, gdyby nie to, że średniak – który stał teraz niżej, pół kroku za mną – widząc, że ledwie sięga mi ramion, poprawił na wysokości kolan, podcinając mnie, aż się znalazłem na klęczkach – sędzia byłby tu odgwizdał karnego. Nie będę się modlił, ich niedoczekanie! – znów coś bluźniłem. Faulowali dalej, kopali mnie z dwu stron i już nie wiedziałem, która noga należy do kogo. Przy upadku z kieszeni płaszczka wysunęły mi się notatki do wystąpienia. Nie lubię nosić teczek i wszystko notuję na luźnych kartkach, wolantach, które nieraz wpłynęły na bieg historii radykalniej niż woluminy. Kartki teraz rozsypały się po skarpie. – Pomoc... – krzyknąłem, urywając na rdzeniu, bo już mnie kneblowali, Wiktor z Witoldem przyciskali mnie kolanem do ziemi, średniak zbierał kartki i podawał je liliputowi, a ten wciskał mi je do ust, wpychał mi głęboko do gardła moje własne wywody. Jak dobrze, że tak wielu tematów w ogóle w nich nie poruszyłem, ograniczając się do aktualnych polemik. A nie jest łatwo się

streszczać, gdy mowa o translacji, bo wbrew uogólnieniom mego polemisty nie ma tu żadnych reguł (Nie ma reguł, ale są przykłady – słyszałem Jean Le Ronda).

Już odchodzili. Dobiegło mnie: – ...jak wpierdalał... – i śmiechy.

Wypluwałem papier, kartka po kartce. W ustach czułem słodycz, coraz większą, ale wiedziałem, że papier uczyni mi w brzuchu gorzkość, za wcześniej, bo przecież trzeba głosić słowo jeszcze przed wielą ludzi, patrz: Apocalypsis, 10:11.

